

AGATHA CHRISTIE

**MORDERSTWO W ORIENT
EXPRESSIE**

**TŁUMACZYŁA ANNA WIŚNIEWSKA-WALCZYK
TYTUŁ ORYGINAŁU: MURDER IN ORIENT EXPRESS**

Dla M.E.L.M. Arpachiya, 1933

I FAKTY

ROZDZIAŁ PIERWSZY ZNAMIENITY PASAŻER TAURUS EXPRESSU

Piąta, zimowy ranek w Syrii, Przy peronie dworca w Aleppo stoi pociąg szumnie określany w przewodnikach kolejowych jako Taurus Express. W jego skład wchodzi kuchnia i wagon restauracyjny, wagon sypialny i dwa wagony linii lokalnych.

Przy stopniach prowadzących do wagonu sypialnego stał młody Francuz, olśniewający w mundurze porucznika armii. Rozmawiał z niskim mężczyzną, opatulonym po uszy, tak że widać mu było jedynie zaczerwieniony czubek nosa i dwa szpice podwiniętych do góry wąsów.

Panował siarczysty mróz, toteż wyprawianie w podróż owego niedużego, dystyngowanego przybysza wydawało się zadaniem nie do pozazdroszczenia. Lecz porucznik Dubosc wypełniał je mężnie. Z jego warg spływały okrągłe zdania wypowiedziane w wykwintnej francuszczyźnie. Nie, żeby dokładnie orientował się w tym, co się ostatnio wydarzyło. Oczywiście, jak zwykle przy takich okazjach, szerzyły się plotki. Generał — jego generał — miał coraz gorszy humor. I wtedy zjawił się ten nieznamy. Belg, ale wyglądało na to, że przybył aż z Anglii. A potem minął tydzień — tydzień niezwykle napięcia. I zaszyły pewne wypadki. Jeden z bardzo wybitnych oficerów popełnił samobójstwo, inny podał się do dymisji. Anulowano niektóre obostrzenia regulaminu wojskowego. Generał zaś — ten sam generał porucznika Dubosca — nagle odmłodził o całe dziesięć lat.

Dubosc podsłuchał przypadkiem fragment rozmowy między generałem a tajemniczym przybyszem.

— Ocaliłeś nas, mon cher — mówił wzruszony generał, a jego siwe, sumiaste wąsy drgały w takt wypowiedzanych słów. — Ocaliłeś honor Francji i zapobiegłeś przelewowi krwi! Jakże mogę wyrazić swoją wdzięczność, że pospieszyłeś na moje wezwanie? Przebyć taki szmat drogi...

Na co nieznamy (mienił się monsieur Herkules Poirot) zrewanżował się stosowną repliką, w której między innymi znalazło się i takie zdanie:

— Ależ jakże ja mógłbym zapomnieć, że ty kiedyś ocaliłeś mi życie!

Z kolei generał znalazł właściwe słowa. Wypierał się jakichkolwiek zasług z przeszłości, natomiast coraz goręcej mówił o Francji, Belgii, chwale, honorze i tym podobnych sprawach, aż wreszcie obaj mężczyźni uścisnęli się serdecznie i na tym zakończyło się wzajemne komplementowanie.

Ponieważ tyle tylko dowiedział się porucznik Dubosc, całe wydarzenie było dla niego owiane mgłą tajemnicy. Natomiast fakt, że jemu właśnie powierzono misję odprowadzenia monsieur Poirota na Taurus Express i że wypełniał ten obowiązek gorliwie i z zapalem, wróżył młodemu oficerowi jak najlepszą karierę w przyszłości.

— No to dzisiaj mamy niedzielę — zauważył porucznik Dubosc. — Nazajutrz, w poniedziałek wieczorem, już się znajdzie pan w Stambule.

Nie pierwszy raz wypowiedział tę kwestię. Konwersacja na peronie, tuż przed odjazdem pociągu, z natury swojej sprowadza się zazwyczaj do powtórek.

— Otóż właśnie — zgodził się monsieur Poirot.

— I, jak sądzę, zamierza pan kilka dni pozostać w tym mieście?

— Mais oui. Nigdy dotąd nie bawiłem w Stambule. Szkoda by więc było potraktować to miasto jedynie jako przystanek w podróży. Comme ça — pstryknięciem palców zilustrował swoje słowa. — Nic pilnego mnie nie goni. Toteż spędzę tam kilka dni jako turysta.

— La Saint Sophie jest niezwykle piękna — oświadczył porucznik Dubosc, który jej nigdy nie widział.

Przez peron przeleciał podmuch mroźnego wichru. Obaj mężczyźni zdrżeli z zimna. Porucznik Dubosc kątem oka zdołał spojrzeć na zegarek. Za pięć piąta — jeszcze tylko pięć minut!

Zaniepokojony, że tamten spostrzegł jego gest, pospiesznie zaczął mówić:

— O tej porze roku podróżuje niewiele osób — popatrzył w górę na okna wagonu sypialnego.

— Otóż to — zgodził się monsieur Poirot.

— Miejmy nadzieję, że w górach Taurus nie złapie was śnieżycy

— A bywa tak?

— Owszem, zdarza się. Ale w tym roku jeszcze jej nie było.

— No to miejmy tę nadzieję — powiedział monsieur Poirot. — Choć prognozy pogody z Paryża nie są pomyślne.

— Wyjątkowo niepomyślne. Na Bałkanach obfity śnieg.

— Z tego, co słyszałem, także i w Niemczech.

— Eh bien — odezwał się czym prędzej porucznik Dubosc, przeczuwając z obawą, że za chwilę znowu zapadnie milczenie. — Jutro wieczorem, o siódmej czterdzieści, już pan będzie w Konstantynopolu. — Rzeczywiście — potwierdził monsieur Poirot, po czym w desperacji dodał:

— La Saint Sophie, słyszałem, że jest bardzo piękna.

— Mam wrażenie, że jest wspaniała.

Ponad ich głowami, w oknie jednego z przedziałów wagonu sypialnego uniosła się roleta. Pojawiła się twarz młodej kobiety.

Mary Debenham, odkąd w ubiegły czwartek wyruszyła z Bagdadu, niewiele zaznała snu. Ani w pociągu do Kirkuku, ani w zajeździe w Mosul, ani minionej nocy w tymże pociągu nie wyspała się należycie. A teraz, znużona bezsennym leżeniem w gorącej duchocie przegrzanego przedziału, wstała, by popatrzeć przez okno.

Najprawdopodobniej to Aleppo. Oczywiście, nic ciekawego. Jedynie długi, skąpo oświetlony peron. Skądś dobiegały odgłosy wrzaskliwej, gwałtownej arabskiej kłótni. Pod oknem rozmawiało po francusku dwóch mężczyzn. Jeden z nich to oficer francuski. Ten drugi to niepozorny człowieczek z ogromnym wąsiskiem. Uśmiechnęła się blado. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała kogoś tak szczelnie opatulonego. Na dworze musi być bardzo zimno. To dlatego tak straszliwie przegrzewają pociąg. Usiłowała szerzej uchylić okno, ale ani drgnęło.

Do rozmawiających mężczyzn podszedł konduktor Wagon Lit. Powiadomił ich, że pociąg za chwilę rusza. Tak więc lepiej będzie, jak monsieur już wsiądzie. Mały człowieczek zdjął kapelusz. Przecież jego głowa kształtem przypomina jajo! Mary Debenham, mimo strapiień zaprzęających jej głowę, roześmiała się. Zabawny człowieczek. Jeden z tych, których nikt nigdy nie traktuje serio.

Porucznik Dubosc wygłaszał mowę pożegnalną. Ułożył ją sobie zawczasu i zachował na ostatnią chwilę. Była niezwykle kwiecista i wytworna.

Nie dając się dystansować, monsieur Poirot odplącił mu w podobny sposób.

— En voiture, monsieur — odezwał się konduktor Wagon Lit.

Z nieskrywanym ociąganiem monsieur Poirot wszedł po schodach do pociągu. Za nim konduktor. Poirot pomachał dłonią. Porucznik Dubosc zasalutował. Pociąg z przeraźliwym zgrzytem ruszył powoli w dalszą drogę.

— Enfin! — mruknął monsieur Herkules Poirot.

— Brrr... — zatrząsł się porucznik Dubosc, uświadamiając sobie dotkliwie, jak bardzo przemarzł...

— Voil?, monsieur — konduktor teatralnym gestem zademonstrował Poirotowi doskonały wygląd przedziału sypialnego oraz gustowne rozmieszczenie bagażu. — A tę małą walizeczkę, monsieur, postawiłem o, tutaj. — Wymownie wyciągnięta dłoń nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Herkules Poirot umieścił na niej złożony banknot.

— Merci, monsieur — konduktor nabrał energii i przybrał urzędowy ton. — Ja mam bilety monsieur. Poproszę także o pana paszport. Jak rozumiem, monsieur w Stambule robi sobie przerwę w podróży.

Monsieur Poirot przytaknął.

— Przypuszczam, że nie ma zbyt wielu podróżnych? — zapytał.

— Nie, monsieur. Mam jeszcze tylko dwójkę pasażerów, oboje to Anglicy. Pułkownik z Indii i młoda dama z Bagdadu. Czy monsieur życzy sobie czegoś jeszcze?

Monsieur życzył sobie małej butelki wody mineralnej Perriera.

Piąta nad ranem to niezręczna pora na zaczynanie podróży. Do świtu całe dwie godziny. Świadomy, iż tej i nocy nie otrzymał swojej porcji snu, i zadowolony z wypełnionej z powodzeniem delikatnej misji, Poirot zwinął się w kłębek w kącie i zasnął.

Gdy się obudził, było wpół do dziesiątej, zrobił więc wypad prosto do wagonu restauracyjnego w poszukiwaniu gorącej kawy.

Akurat przebywało tam tylko jedno z dwójki pasażerów, bez wątpienia młoda angielska dama, o której wspominał konduktor. Była wysoka, szczupła, ciemnowłosa, miała może dwadzieścia osiem lat. Sposób, w jaki spożywała śniadanie, demonstrował jej chłodną pewność siebie, a to, jak wezwwała kelnera, by dolał jej kawy, zdradzało obycie w świecie i doświadczenie w podróżach. Ubrana była w ciemną sukienkę podróżną z cienkiego materiału, znakomicie nadającą się do przegrzanego pociągu.

Monsieur Poirot, nie mając nic lepszego do roboty, zabawiał się dyskretnym obserwowaniem pasażerki.

Uznał, że należała do tych młodych kobiet, które bez najmniejszych trudności potrafią o siebie zadbać, niezależnie od tego, gdzie się znajdują. Była zrównoważona i kompetentna. Spodobała mu się surowa regularność rysów jej twarzy i delikatna, blada cera. A także ułożone w eleganckie fale lśniące czarne włosy i oczy — szare, chłodne i jakby nieobecne. Jednakże w mniemaniu Poirota była nieco zbyt kompetentna, by można ją było zaliczyć do tego typu kobiet, które określał jako jolie femme.

W tej chwili do wagonu restauracyjnego wszedł drugi pasażer. Wysoki mężczyzna między czterdziestką a pięćdziesiątką, o szczupłej sylwetce, opalony, lekko posiwiwały na skroniach.

— Pułkownik z Indii — powiedział do siebie Poirot. Nowo przybyły uklonił się dziewczynie.

— Dzień dobry, panno Debenham.

— Dzień dobry, pułkowniku Arbuthnot.

Pułkownik stanął naprzeciwko niej z dłonią opartą o krzeselko.

— Czy pani pozwoli? — spytał.

— Oczywiście. Proszę siadać.

— Cóż, pani rozumie, że śniadanie nie zawsze nastraja do pogawędki.

— Mam nadzieję. Ale mimo to ja nie gryzę.

Pułkownik usiadł.

— Boy! — zawołał rozkazującym tonem.

Zamówił jajka i kawę.

Przez chwilę jego wzrok zatrzymał się na Herkulesie Poirocie, lecz zaraz obojętnie przesunął się dalej. Poirot, który potrafił nieomylnie czytać w myślach Anglików, wiedział, że tamten mruknął do siebie: „To tylko jakiś przekłety cudzoziemiec”.

Wierna swojemu narodowemu temperamentowi para Anglików nie była zbyt rozmowna. Wymienili między sobą kilka zdawkowych uwag i niebawem dziewczyna wstała i poszła do swojego przedziału.

W porze lunchu ponownie usiedli przy jednym stoliku. I tym razem oboje całkowicie zignorowali obecność trzeciego pasażera. Wiedli bardziej ożywioną niż przy śniadaniu pogawędkę. Pułkownik Arbuthnot opowiadał o Pendźabie i od czasu do czasu zadawał dziewczynie jakieś pytania o Bagdad, gdzie, jak się okazało, pracowała jako guwernantka. W trakcie rozmowy odkryli, że mają

kilku wspólnych znajomych, co natychmiast sprawiło, iż stali się mniej sztywni. Gawędzili o starym Tommym Kimstam i Jerrym Jakimstam. Pułkownik dopytywał się, czy dziewczyna jedzie prosto do Anglii, czy też zatrzyma się w Stambule.

— Nie, jadę tam bezpośrednio.

— Czyż to nie szkoda?

— Przebyłam już tę trasę dwa lata temu i wtedy w Stambule zabawiłam trzy dni.

— Ach, tak. No cóż, muszę wobec tego wyznać, iż jestem niezwykle rad, że jedzie pani wprost do Anglii, gdyż ja także mam taki zamiar.

Niezgrabnie, sztywno skłonił się, przy czym się lekko zarumienił.

Nasz pułkownik ma romantyczną duszę — pomyślał rozbawiony Herkules Poirot. — Podróż pociągiem jest równie niebezpieczna jak rejs statkiem!

Panna Debenham odpowiedziała z chłodną uprzejmością, że będzie jej bardzo miło. Miała nieco peszący sposób bycia.

Herkules Poirot zauważył, że pułkownik odprowadził ją do przedziału.

Wkrótce za oknami pociągu ukazały się wspaniałe krajobrazy Taurusu. Kiedy mijali leżące w dole Wrota Cilician, stojąca w korytarzu tuż obok pułkownika Arbuthnota dziewczyna niespodziewanie westchnęła. Poirot, który znajdował się w pobliżu, usłyszał jej szept:

— Jak tu pięknie! Chciałabym... jakżebym chciała...

— Tak?

— Tak chciałabym móc się tym cieszyć!

Arbuthnot milczał. Tylko kwadratowy zarys jego podbródka przybrał jakby twardszy i bardziej zacięty wyraz.

— Jak mi Bóg miły, dałbym duszę, abys ty nie była w to wmieszana! — powiedział po chwili.

— Pst... ciszej, proszę.

— Och! Wszystko w porządku. — Odrobinę zniecierpliwionym spojrzeniem obrzucił Poirota. Potem mówił dalej: — Ależ mnie nie podoba się to, że pani pracuje jako guwernantka, zmuszona biec na każde skinienie tyrańskich matek i ich rozpuszczonych bachorów.

Roześmiała się, w jej śmiechu dało się zauważyć jakby cień nieopanowania.

— Och! Proszę przestać myśleć w ten sposób. Poniewierana guwernantka to tylko wyolbrzymiony mit. Mogę zapewnić, że są tacy rodzice, którym nogi się trzęsą właśnie na mój widok.

Nie powiedzieli już nic więcej. Może Arbuthnot zawstydził się swojego wybuchu.

— Byłem świadkiem dziwnej, małej komedijki — powiedział do siebie w zamyśleniu Poirot.

Przypomniał sobie to spostrzeżenie w przyszłości.

Do stacji Konya dotarli tej samej nocy o wpół do jedenastej. Dwójka angielskich pasażerów wysiadła, by rozprostować nogi. Spacerowali tam i z powrotem po ośnieżonym peronie.

Monsieur Poirot zadowolił się obserwowaniem przez zamknięte okno rojnej krzątaniny na dworcu. Jednakże po upływie jakichś dziesięciu minut uznał, iż mimo wszystko haust świeżego powietrza może mu dobrze zrobić. Przygotował się więc starannie, owinał w liczne okrycia i szale oraz zabezpieczył eleganckie obuwie wsuwając kalosze. Tak uzbrojony zszedł na peron i, idąc wzdłuż niego, zawędrował aż za lokomotywę.

Głosy zdradziły mu, do kogo należą dwie niewyraźne sylwetki stojące w cieniu wagonu bagażowego. Mówił Arbuthnot.

— Mary...

Dziewczyna przerwała mu.

— Nie teraz. Nie teraz. Kiedy już będzie po wszystkim... Kiedy to będzie już poza nami... wtedy...

Monsieur Poirot dyskretnie się wycofał. Był zdumiony.

Ledwie poznawał ten zwykle chłodny, opanowany głos panny Debenham.

— Zdziwiałające — mruknął do siebie.

Nazajutrz zastanawiał się, czy tamci przypadkiem się nie poróżnili. Tak niewiele ze sobą rozmawiali. Pomyślał, że dziewczyna wygląda na stroskaną. Pod jej oczami pojawiły się głębokie cienie.

Okolo wpół do trzeciej po południu pociąg zatrzymał się. Z okien wyjrzały głowy podróżnych. Niewielka grupka mężczyzn skupiła się z jednej strony toru, pochylając się i wskazując coś pod wagonem restauracyjnym.

Poirot wychylił się i zagadnął przechodzącego obok konduktora Wagon Lit. Ten powiedział parę słów i Poirot cofnął głowę. Odwrócił się i omal nie wpadł na Mary Debenham, która stała tuż za nim.

— Co się dzieje? — spytała, jakby zadyszana, po francusku. — Dlaczego stoimy?

— Nic takiego, mademoiselle. Coś się zapaliło pod wagonem restauracyjnym. Nic poważnego. Ogień już ugaszono. Teraz naprawiają szkody. Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, zapewniam panią.

Uczyniła drobny, gwałtowny gest, jakby sam pomysł niebezpieczeństwa odtrącała jako coś z istoty swej nieważnego.

— Tak, tak, rozumiem. Ale chodzi o czas!

— Czas?

— Właśnie, to spowoduje opóźnienie.

— Możliwe — zgodził się Poirot.

— Ależ my nie możemy mieć opóźnienia! Ten pociąg ma dojechać o 6.55, a trzeba jeszcze przepłynąć Bosfor i na drugim brzegu złapać odchodzący o dziewiątej Simplon Orient Express. Gdyby się spóźnił o godzinę czy dwie, stracimy to połączenie.

— Owszem, możliwe... — zgodził się Poirot.

Popatrzył na nią zaciekawiony. Dłoń, spoczywająca na poręczy okna, nieznacznie drżała, tak samo wargi.

— Czy to ma dla pani aż takie znaczenie, mademoiselle? — spytał.

— Tak. Tak, ma. Ja... ja po prostu muszę złapać tamten pociąg.

Odwróciła się i poszła korytarzem do pułkownika Arbuthnota.

Denerwowała się jednak niepotrzebnie. Po dziesięciu minutach pociąg ruszył w dalszą drogę. Na Haydapassar przybył spóźniony zaledwie o pięć minut, nadrabiając podczas jazdy stracony czas.

Bosfor był wzburzony, toteż monsieur Poirot niezbyt dobrze zniósł przeprawę. Na promie rozdzielono go z jego towarzyszami podróży i więcej już ich nie widział.

Po przybyciu do mostu Galta udał się prosto do hotelu Tokatlian.

ROZDZIAŁ DRUGI W HOTELU TOKATLIAN

W Tokatlian Herkules Poirot poprosił o pokój z łazienką. Potem podszedł do biurka recepcjonisty dowiedzieć się, czy nie ma dla niego korespondencji.

Czekały trzy listy i telegram. Na jego widok brwi Poirota uniosły się nieco w górę. Była to bowiem niespodzianka.

Jak zwykle starannie, bez pośpiechu, otworzył depeszę. Ujrzał dobitne, wyraźne słowa:

„Spodziewany przez pana obrót w sprawie Kassnera nastąpił szybciej proszę niezwłocznie wracać”.

— Voil? ce qui est embetant — mruknął zirytowany Poirot. Zerknął na zegar. — Muszę wyjechać już dziś wieczór — wyjaśnił recepcjoniście. — O której odchodzi Simplon Orient Express?

— O dziewiątej, monsieur.

— Czy może mi pan zarezerwować przedział sypialny?

— Z całą pewnością, monsieur. O tej porze roku nie ma żadnych trudności. Pociągi jeżdżą prawie puste. Pierwsza czy druga klasa?

— Pierwsza.

— Tres bien, monsieur. Dokąd pan życzy sobie jechać?

— Do Londynu.

— Bien, monsieur. Wykupię panu bilet do Londynu i zamówię rezerwację na przedział w wagonie sypialnym Sтамбул–Calais.

Poirot ponownie spojrzął na zegar. Za dziesięć ósma.

— Czy zdążę zjeść obiad?

— Ależ oczywiście, monsieur.

Mały Belg skinął głową. Pospieszył odwołać rezerwację pokoju, potem przeszedł hallem do restauracji.

Kiedy składał zamówienie u kelnera, poczuł na swoim ramieniu czyjaś dłoń.

— Ach! Mon vieux! Cóż za przyjemna niespodzianka! — odezwał się za jego plecami czyjś głos.

Człowiek, który to mówił, był niskim, krępym, podstarzałym mężczyzną, o włosach obciętych en brosse. Uśmiechał się wniebowzięty.

Poirot zerwał się na równe nogi.

— Monsieur Bouc.

— Monsieur Poirot.

Monsieur Bouc był Belgiem, dyrektorem Compaigne Internationale des Wagon Lits, zaś jego znajomy to niegdyśjsza, sprzed wielu, wielu lat znakomitość belgijskiej policji.

— Zawędrowałeś daleko od domu, mon cher — zauważył monsieur Bouc.

— Miałem małą robótkę w Syrii.

— Ach! A teraz wracasz do domu. Kiedy?

— Dziś wieczór.

— Cudownie! Ja także. To znaczy, ja jadę tylko do Lozanny, gdzie mam coś niecoś do załatwienia. Jak sądzę, wybrałeś Simplon Orient?

— Owszem. Poprosiłem właśnie, by zamówiono mi miejsce w wagonie sypialnym. Miałem szczerą ochotę zabawić tutaj kilka dni, lecz otrzymałem depeszę wzywającą mnie do Anglii w pilnych interesach.

— Ach! — westchnął monsieur Bouc. — Les affaires... les affaires! Ale ty... ty, mon vieux, dzisiejszymi czasy znalazłeś się na samym szczycie!

— No, może odniosłem kilka maleńkich sukcesów — Herkules Poirot usiłował przybrać skromną minę, lecz z mizernym skutkiem.

Bouc roześmiał się.

— Zobaczymy się później — powiedział. Monsieur Poirot skupił się całkowicie na tym, by nie umoczyć w zupie wąsów.

Gdy już dopełnił owego skomplikowanego zadania, w oczekiwaniu na następne danie rozejrzał się dokoła. W restauracji siedziało może z sześć osób, a z owej szóstki tylko dwóch mężczyzn przyciągnęło uwagę Herkulesa Poirota.

Zajmowali stół nie opodal. Młodszy, sympatycznie wyglądający, był bez wątpienia Amerykaninem. Jednakże to nie na nim, a na jego towarzyszu skupił uwagę mały detektyw.

Był to mężczyzna w wieku między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką. Z pewnej odległości wydawał się być dobrotliwym filantropem. Jego nieznacznie łysiejąca głowa, wypukłe czoło, uśmiech odsłaniający bardzo białe, sztuczne zęby — wszystko to przemawiało na rzecz dobrodusznego charakteru. Zaprzeczały temu jedynie jego oczy: małe, głęboko osadzone i chytre. I coś jeszcze. Kiedy mężczyzna, wypowiadając jakąś uwagę, przebiegł wzrokiem po sali, jego oczy przez chwilę zatrzymały się na Poirocie. I właśnie w tej sekundzie w jego spojrzeniu pojawiła się dziwna wrogość i nienaturalne napięcie.

Zaraz też wstał.

— Zapłać rachunek, Hector — polecił.

Miał nieco ochryply głos. Brzmiący fałszywie, miękko, groźnie.

Gdy Poirot w barze dołączył do swojego przyjaciela Bouca, tamtych dwóch właśnie opuszczało hotel. Zniesiono ich bagaż. Młodszy doglądał tej operacji. Akurat otworzył przeszkłone drzwi i powiedział:

— Wszystko gotowe, panie Ratchett.

Starszy mężczyzna chrząknął z aprobatą i wyszedł.

— Eh bien! — odezwał się Poirot. — No i cóż myślisz o tej parze?

— Amerykanie — stwierdził monsieur Bouc.

— Bezsprzecznie Amerykanie. Ale ja pytałem, co sądzisz o ich charakterach?

— Ten młodszy wydaje się całkiem sympatyczny.

— A drugi?

— Mówiąc prawdę, mój przyjacielu, nie przyglądałem mu się specjalnie. Wywarł na mnie nieprzyjemne wrażenie. A na tobie?

Herkules Poirot, nim odpowiedział, zastanowił się chwilę.

— Kiedy mijał mnie w restauracji — rzekł wreszcie — doznałem osobliwego uczucia. Tak jakby mijało mnie dzikie zwierzę. Okrutne, bezlitosne, bestia!

— Ma jednak, ponad wszelką wątpliwość, szacowny wygląd.

— Précisément! Jego ciało, ta klatka, jest w każdym calu godna szacunku. Ale spoza kraty wyziera dzika bestia.

— Masz bujną wyobraźnię, mon vieux — orzekł monsieur Bouc.

— Całkiem możliwe. Ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że otarłem się o zło.

— W postaci tego godnego dżentelmena z Ameryki?

— Dokładnie w tej postaci.

— No cóż — stwierdził rozbawiony monsieur Bouc. — Może być i tak. Na świecie panoszy się tyle zła. W lej właśnie chwili otworzyły się drzwi i wszedł recepcjonista kierując się ku dwójce przyjaciół. Miał zakłopotaną i przepraszającą minę.

— Zdarzyło się coś niesłychanego, monsieur — zwrócił się do Poirota. — W pierwszej klasie wagonu sypialnego nie ma ani jednego wolnego miejsca.

— Comment?! — zawołał monsieur Bouc. — O tej porze roku? Ach, to bez wątpienia jakiś zjazd dziennikarzy... polityków..?

— Nie wiem, sir — odpowiedział recepcjonista, zwracając się do niego z szacunkiem. — Ale to fakt.

— No cóż — odezwał się do Poirota monsieur Bouc. — Nie martw się, mój przyjacielu. Coś na to zaradzimy. Zawsze jedzie wolny jeden przedział, numer 16. Konduktor się tym zajmie. — Uśmiechnął się, zerknął na zegarek. — Chodźmy — powiedział. — Czas ruszyć w drogę.

Na dworcu monsieur Bouca z najwyższym uszanowaniem powitał ubrany w brązowy uniform konduktor Wagon Lii.

— Dobry wieczór, monsieur. Zajmuje pan przedział numer 1.

Wezwał tragarzy, by przewieźli bagaż do wagonu, na którym mosiężna tabliczka obwieszczała cel jego przeznaczenia:

ISTAMBUŁ–TRIEST–CALAIS

— Słyszałem, że macie komplet?

— To wprost nie do wiary, monsieur. Właśnie tego wieczoru cały świat ruszył w podróż!

Mimo to musicie znaleźć wolny przedział dla tego lula o dżentelmena. To mój przyjaciel. Może zająć numer 16.

— Już jest zajęty, monsieur.

— Co takiego?! Numer 16?

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i konduktor uśmiechnął się. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku i o ziemistej cerze.

— A jednak, monsieur. Jak panu mówiłem: mamy komplet, wszystkie miejsca zajęte.

— Cóż to się wyprawia? — dopytywał się zirytowany monsieur Bouc. — Czy gdzieś jest jakaś konferencja? Zjazd?

— Nie, monsieur. Czysty przypadek. Traf chciał, że dzisiejszą noc wiele osób wybrało sobie na podróż.

Monsieur Bouc cmoknął zmartwiony.

— W Belgradzie — powiedział — zostanie dołączony wagon sypialny z Aten. Również pociąg Bukareszt–Paryż. Tylko że my do Belgradu dojedziemy dopiero jutro rano. Problemem więc jest dzisiejsza noc. Czy i w drugiej klasie nie ma żadnego wolnego łóżka?

— W drugiej klasie jest miejsce, monsieur.

— Wobec tego...

— Ale to przedział damski. Zajęty już przez pewną Niemkę, pokojówkę.

— L?, l?! Cóż za niezręczna sytuacja — stwierdził monsieur Bouc.

— Nie kłopotz się, przyjacielu — odezwał się Poirot. — Przyjdzie mi więc odbyć podróż na siedząco w zwykłym wagonie.

— Ależ skąd, za nic. — Bouc znowu zwrócił się do konduktora. — A może ktoś się jeszcze nie zgłosił?

— Zgadza się — potwierdził konduktor. — Nie pojawił się dotąd jeden z pasażerów.

Mówił wolno, z wahaniem w głosie.

— No proszę, dalej!

— To łóżko numer 7, druga klasa. Tamten dżentelmen jeszcze nie przyszedł, a już za cztery dziewiąta.

— Kto to taki?

— Anglik — konduktor sprawdził na liście. — Jakiś pan Harris.

— Takie nazwisko to dobry omen — ucieszył się Poirot. — Czytałem Dickensa. Ten monsieur Harris w ogóle nie przybędzie.

— Proszę wnieść bagaż monsieur do numeru 7 — polecił Bouc. — Jeżeli zaś ten jakiś Harris nadciągnął, to proszę go poinformować, że się spóźnił. Że tak długo nie możemy przetrzymać wolnej kuszетки. Całą sprawę załatwimy potem w ten czy w inny sposób. Co mnie obchodzi jakiś tam monsieur Harris?

— Jak pan sobie życzy — zgodził się konduktor.

I poinstruował tragarza, dźwigającego bagaż Poirota, gdzie ma się skierować.

Potem odstąpił na bok, wskazując Poirotowi drogę do wagonu.

— Tout ? fait au bout, monsieur! — zawołał. — Przedział drugi od końca.

Poirot przeciskał się przez korytarz. Był to proces nieco żmudny, gdyż większość podróżnych stała przed swoimi przedziałami.

Z regularnością zegarka wygłaszał grzecznościowe pardon, aż wreszcie dotarł do wskazanego mu przedziału. W środku, sięgając akurat ku miejscu przeznaczonemu na bagaż, stał wysoki, młody Amerykanin z hotelu Tokatlan.

Na widok Poirota zmarszczył brwi. — Proszę mi wybaczyć — odezwał się — wydaje mi się jednak, że zaszła tu jakaś pomyłka. — Potem dodał mozolnie po francusku: — Je crois que vous avez un erreur.

Poirot odpowiedział mu po angielsku.

— Pan się nazywa Harris?

— Nie, moje nazwisko brzmi MacQueen, Ja... Ale w tej chwili znad ramienia Poirota dobiegł głos konduktora. Głos przepaszający, jakby bez tchu.

— W całym pociągu nie ma innego wolnego miejsca sypialnego, monsieur. Tak więc ten dżentelmen musi je zająć.

Mówiąc to podciągnął do góry okno na korytarzu i zaczął wnosić bagaż Poirota.

Poirot z niejakim rozbawieniem zwrócił uwagę na przepaszający ton jego głosu. Bez wątpienia obiecano mu solidny napiwek, jeżeli zachowa ten przedział do wyłącznego użytku młodego pasażera. Jednakże nawet najhojniejszy napiwek tracił swoją moc, jeśli w wagonie znalazł się dyrektor kompanii, który wydał polecenia.

Konduktor opuścił przedział natychmiast po rozmieszczeniu walizek na siatkach.

— Voil?, monsieur — powiedział jeszcze. — Wszystko gotowe. Pan zajmuje górne łóżko, numer 7. Za minutę odjazd.

I pospiesznie oddalił się korytarzem. Poirot ponownie wkroczył do przedziału.

— Rzadko oglądane zjawisko — zauważył żartobliwie. — Konduktor Wagon Lit sam, osobiście lokuje bagaż! Coś niesłychanego!

Współpasażer uśmiechnął się. Najwyraźniej minęła mu irytacja. Prawdopodobnie uznał, że do całego zagadnienia można podejść jedynie filozoficznie.

— Pociąg jest niezwykajnie przepełniony — stwierdził.

Rozległ się gwizdek, odpowiedział mu przeciągły, melancholijny gwizd lokomotywy. Obaj mężczyźni wyszli na korytarz.

Z peronu dobiegł czyjś okrzyk:

— En voiture!

— Ruszyliśmy — odezwał się MacQueen.

Nie całkiem jednak ruszyli. Ponownie rozległ się gwizd lokomotywy.

— Proszę pana — powiedział niespodziewanie młody człowiek. — Gdyby pan wolał dolne łóżko, byłoby panu tam wygodniej, czy jak, to ja się z ochotą zamienię.

Sympatyczny młodzieniec.

— Ależ nie, nie... — zaprotestował Poirot. — Jakże ośmieliłbym się pozbawiać pana...

— To przecież nic wielkiego...

— Jest pan nadzwyczaj uprzejmy...

I z obu stron popłynęły pełne grzeczności zaprzeczenia.

— To tylko na tę jedną noc — wyjaśnił Poirot. — W Belgradzie...

— Ach, rozumiem. Pan wysiada w Belgradzie...

— Niezupełnie. Widzi pan...

Nagle szarpnięcie. Obaj mężczyźni wychylili się przez okno, spoglądając na przesuwany się powoli przed ich oczami długi, oświetlony peron.

Orient Express ruszył w swoją trzydniową podróż przez Europę.

ROZDZIAŁ TRZECI

POIROT ODMAWIA PRZYJĘCIA SPRAWY

Nazajutrz w porze lunchu monsieur Poirot z niewielkim opóźnieniem wkroczył do wagonu restauracyjnego. Wstał wcześniej, śniadanie jadł prawie sam, a cały ranek spędził przeglądając notatki dotyczące sprawy, która wzywała go do Londynu. Widział więc dotąd niewielu ze swoich towarzyszy podróży.

Monsieur Bouc, który już zajął miejsce, uczynił w stronę przyjaciela powitalny gest i zaprosił go do swojego stolika. Poirot usiadł i natychmiast znalazł się w uprzywilejowanej pozycji kogoś, kogo obsługuje się w pierwszej kolejności i raczy najlepszymi zakąskami. Także danie główne było nadzwyczaj smaczne.

Dopiero przy delikatnym serze monsieur Bouc pozwolił sobie zwrócić uwagę na sprawy inne niż kulinarne. Na etapie dania mięsnego zaczął filozofować.

— Ach! — westchnął. — Gdybym to ja władał piórem Balzaka. Opisałbym całą tę scenę.

Zatoczył ręką koło.

— Owszem, to dobry pomysł — przytaknął Poirot.

— Ach, więc zgadzasz się ze mną? Jeszcze chyba nikt tego nie zrobił? A przecież — wszystko to skłania się do romansu, mój przyjacielu. Wokół nas zasiedli ludzie o najróżniejszej pozycji społecznej, najróżniejszych narodowości, w najróżniejszym wieku. Całe trzy dni ci ludzie, obcy sobie nawzajem, spędzą razem. Będą spać i jeść pod wspólnym dachem, nie będą mogli siebie uniknąć. A po upływie owych trzech dni rozejdą się, każdy ruszy własną drogą i może już nigdy więcej się nie spotkają.

— Ale — wtrącił Poirot — założmy, że jakiś wypadek...

— Och, nie, przyjacielu...

— Zgadzam się, że z twojego punktu widzenia byłoby to pożałowania godne wydarzenie. Lecz mimo wszystko, tylko na chwilę, dopuścmy taką możliwość. Wtedy, założmy, wszystkie te osoby związałyby... śmierć.

— Może jeszcze odrobinę wina — powiedział monsieur Bouc, po czym pospiesznie je nalał: — Jesteś w grobowym nastroju, przyjacielu. Może to skutek niestrawności.

— To prawda — zgodził się Poirot — że syryjskie jedzenie niespecjalnie przysłużyło się mojemu żołądkowi.

Wysączył wino. Potem, rozparłszy się wygodnie, w zamyśleniu przesuwiał wzrokiem po wagonie restauracyjnym. Przebywało tutaj trzynaście osób i, jak trafnie zauważył Bouc, były to osoby o różnych pozycjach społecznych i narodowościach. Zaczął się im uważnie przypatrywać.

Stolik naprzeciwko zajmowała trójka mężczyzn. Odgadł, iż podróżowali samotnie, a razem usadził ich nieomylny instynkt personelu restauracji. Potężny, smagły Włoch z zapalem dębacy w zębach. Po drugiej stronie schludny, szczupły Anglik, o obojętnej, lecz pełnej potępienia twarzy świetnie wyszkolonego kamerdynera. Obok Anglika Amerykanin w krzykliwym garniturze — prawdopodobnie komiwojażer.

— Powinieneś pan się tego pozbyć — prawil tubalnym, nosowym głosem.

Włoch wyjął wykałaczkę z zębów, by móc nią swobodnie gestykulować.

— Jasne — odpowiedział. — To właśnie cały czas powtarzam.

Anglik popatrzył przez okno i zakasłał.

Poirot przeniósł wzrok dalej.

Przy małym stoliku, wyprostowana jak struna, siedziała leciwa dama, najbrzydsza, jaką Poirot widział w życiu. Była to brzydota wybitna — bardziej fascynowała niż odpychała. Dama siedziała sztywno i prosto. Jej szyję okalał sznur ogromnych pereł, które, choć to się wydawało niemożliwe, były prawdziwe. Dłonie skrywały pierścienie. Na ramionach futro z soboli. Malutki, kosztowny, czarny toczek szkaradnie klócił się z żółtawą twarzą ropuchy.

Dama właśnie zwracała się do kelnera dobitnym, wytwornym, absolutnie arystokratycznym tonem:

— Niech pan będzie taki uprzejmy i przyniesie mi do przedziału butelkę wody mineralnej i karafkę soku pomarańczowego. Oraz dopatry, by wieczorem podano mi na kolację kurczę przyrządzone bez sosu i gotowaną rybę.

Kelner, tak jak powinien, odpowiedział jej z najwyższym uszanowaniem.

Skinęła nieznacznie, acz łaskawie głową i wstała. Jej wzrok zatrzymał się na Poirocie, po czym minął go z nonszalancją wyniosłej arystokratki.

— To księżna Dragomiroff — wyjaśnił przyciszonym głosem Bouc. — Rosjanka. Jej mąż przed rewolucją wycofał wszystkie pieniądze i zainwestował je za granicą. Ona jest wyjątkowo bogata. Kosmopolitka.

Poirot kiwnął głową. Słyszał już o księżnej Dragomiroff.

— Cóż to za osobowość — zauważył monsieur Bouc. — Brzydka jak grzech śmiertelny, ale wywiera wrażenie. Zgodzisz się ze mną? Poirot się zgodził.

Przy jednym z większych stolików siedziała Mary Debenham wraz z dwiema innymi kobietami. Jedna z nich była w średnim wieku, wysoka, w bluzce w szkocką kratę i w tweedowej spódnicy. Masę wypłowiałych żółtych włosów niechlujnie zwinęła w ogromny kok, nosiła okulary i miała pociągłą, sympatyczną twarz owcy. Słuchała słów trzeciej kobiety, starszawej, otyłej, o przyjemnej twarzy, która mówiła powolnym, wyraźnym, monotonnym głosem, bez najmniejszych prób zaczerpnięcia oddechu czy oznak zbliżania się do pointy.

— ...i moja córka powiedziała: „Dlaczego nie można by w tym kraju po prostu zastosować amerykańskich metod. To przecież naturalne, że ludzie tutaj są leniwi — powiada. — Nie mają w sobie ani krzty energii”. Ale mimo to zdumione byście były widząc, czego nasza szkoła tam dokonuje. Zebrali świetne grono pedagogiczne. Jestem zdania, że nie ma nic nad dobrą edukację. Musimy zastosować nasze zachodnie ideały i nauczyć Wschód, jak je rozumieć. Moja córka mówi... Pociąg wjechał w tunel. Stłumił spokojny, monotony głos.

Przy sąsiednim małym stoliku zasiadł pułkownik Arbuthnot — samotnie. Nie spuszczał wzroku z pleców Mary Debenham. Nie usiedli razem. A przecież dałoby się to bez trudu załatwić. Dlaczego?

Może — pomyślał Poirot — Mary Debenham miała jakieś obiekcje. Guwernantki uczą się ostrożności. Dziewczyna sama zarabiająca na utrzymanie musi być dyskretna.

Oczy Poirota przesunęły się ku przeciwnej stronie wagonu. W najdalszym krańcu, pod ścianą, siedziała kobieta w średnim wieku, czarno ubrana, o szerokiej twarzy bez wyrazu. Niemka lub Skandynawka, zdecydował Poirot. Najprawdopodobniej niemiecka pokojówka.

Stolik obok niej zajmowała jakaś para, nachylona ku sobie i rozprawiająca z ożywieniem. Mężczyzna miał angielski garnitur z przedniego tweedu, ale nie był Anglikiem. Choć Poirot mógł widzieć go jedynie od tyłu, kształt jego głowy i zarys ramion zdradzały cudzoziemskie pochodzenie. Postawny mężczyzna, dobrze zbudowany. Niespodziewanie odwrócił się i Poirot zobaczył jego profil. Bardzo przystojny mężczyzna po trzydziestce, z obfitym, jasnym wąsem.

Siedząca naprzeciwko dama była bardzo młoda — miała może z dwudziestkę. Świetnie dopasowany czarny żakiet i spódnicę, białą satynową bluzkę, mały czarny, elegancki toczek, zgodnie z obowiązującą modą zawadiacko przekrzywiony na bakier. Cudzoziemka miała śliczną twarz, białą cerę, ogromne piwne oczy, kruczoczarne włosy. Paliła osadzonego w długiej cygarnicze papierosa. Wypielegnowane dłonie z polakierowanymi na intensywnie czerwony kolor paznokciami. Pojedynczy szmaragd, osadzony w platynie. W jej spojrzeniu i w głosie wyczuwało się kokieterię.

— Elle est jolie—et chic — mruknął Poirot. — Mąż i żona, co?

Monsieur Bouc potaknął.

— Z tego, co wiem, z ambasady węgierskiej — wyjaśnił. — Przystojna para.

Pozostała jeszcze tylko dwójka gości — współpasażer Poirota, MacQueen, i jego pracodawca, pan Ratchett. Ten ostatni siedział zwrócony przodem do Poirota, który mógł ponownie wnikliwie

przyjrzeć się jego odpychającej twarzy. Spostrzegł fałszywą dobroduszość linii brwi i małe, okrutne oczka.

Monsieur Bouc bez wątpienia dostrzegł zmianę wyrazu, jaka odmalowała się na obliczu przyjaciela.

— Przyglądasz się właśnie swojej dzikiej bestii? — spytał.

Poirot kiwnął głową.

Kiedy mu przyniesiono kawę, Bouc wstał. Ponieważ zaczął lunch wcześniej, skończył jeść już przed dobrą chwilą.

— Wracam do swojego przedziału — oświadczył. — Zajrzyj do mnie później, to pogawędzimy.

— Z przyjemnością.

Poirot dopił kawy i zamówił likier. Kelner szedł od stolika do stolika z kasetką na pieniądze, zbierając należność za rachunki. Głos podstarzałej Amerykanki nabrał przenikliwych i płaczących tonów.

— Moja córka mówiła: „Weź kupony na posiłki, a nie będziesz mieć żadnych kłopotów, nawet najmniejszych”. Ale okazuje się coś wręcz przeciwnego. Zdaje się, że oni wpierw oczekują dziesięcioprocentowego napiwku, a dopiero potem pojawi się butelka wody mineralnej. I żeby to jeszcze normalnej wody. Nie mają tu ani Evian, ani Vichy, wprost nie posiadają się ze zdumienia.

— Bo... oni muszą... jakby to powiedzieć... serwować wodę mineralną danego kraju — wyjaśniła niewiasta o twarzy owcy.

— Cóż, wydaje mi się to idiotyczne — Amerykanka z obrzydzeniem popatrzyła na leżący przed nią stosik drobnych. — Spójrzcie tylko na te cudaczne monety, które mi wydał. Dinary czy coś w tym guście. Wyglądają na kupę śmieci. Moja córka powiada...

Mary Debenham odsunęła krzesło i wyszła, skłoniwszy się lekko swoim towarzyszkom. Pułkownik Arbuthnot pospieszył za nią. Zebrawszy owe „cudaczne monety”, Amerykanka poszła w ich ślady, podobnie niewiasta z owczą twarzą. Wcześniej wagon opuściła para węgierska. Nie było więc nikogo prócz Poirota oraz Ratchetta z MacQueenem.

Ratchett powiedział coś do swojego towarzysza, który wstał i odszedł. Potem i on się podniósł, ale nie podążył za MacQueenem, lecz całkiem nieoczekiwanie zajął krzesło naprzeciwko Poirota.

— Czy może mi pan posłużyć ogniem? — spytał. Miał miękki, natarczywy głos. — Nazywam się Ratchett.

Poirot ukłonił się zdawkowo. Wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnawszy pudełko zapalek podał je tamtemu. Ratchett wziął je, lecz papierosa nie przypalił.

— Jak przypuszczam — mówił — mam przyjemność rozmawiać z monsieur Herkulesem Poirotem. Czyż nie tak?

Poirot i tym razem skinął głową.

— Pańskie informacje są prawidłowe, monsieur.

Detektyw czuł, jak tamten otaksował go swoim dziwnym, chytrym wzrokiem, nim ponownie zabrał głos:

— W moim kraju — powiedział — szybko przechodzimy do sedna sprawy. Panie Poirot, chciałbym, aby pan podjął się dla mnie pewnej roboty.

Brwi Herkulesa Poirota uniosły się odrobinę w górę.

— Moja klient?le, monsieur, w dzisiejszych czasach jest mocno ograniczona. Podejmuję się prowadzenia bardzo niewielu spraw.

— Ależ oczywiście, doskonale to rozumiem. Tylko że ta robota, panie Poirot, oznacza ciężkie pieniądze. — I powtórzył cichym, natarczywym głosem: — Ogromne pieniądze.

Herkules Poirot milczał parę sekund, po czym rzekł:

— Co by pan chciał, abym dla pana zrobił, panie... eee... Ratchett?

— Panie Poirot, jestem bogatym człowiekiem, bardzo bogatym. Człowiek o takiej pozycji ma wrogów. I ja mam wroga.

— Tylko jednego?

— Co pan chciał przez to powiedzieć? — spytał ostro Ratchett.

— Monsieur, moje doświadczenie podpowiada mi, że kiedy człowiek zajmuje taką pozycję, by mieć, jak to sam pan zauważył, wrogów, liczba ich zwykle nie ogranicza się tylko do jednego.

Zdawało się, że Ratchett odprężył się, usłyszawszy wyjaśnienie Poirota. Odezwał się pospiesznie:

— No cóż, owszem, akceptuję taki punkt widzenia. Wróg czy wrogowie, to bez znaczenia. Znaczenie ma natomiast moje bezpieczeństwo.

— Bezpieczeństwo?

— Zagrożone jest moje życie, panie Poirot. A ja zaliczam się do tych, którzy nieźle potrafią o siebie zadbać. — Przez chwilę w jego dłoni mignął wyjęty z kieszeni marynarki pistolet. Ratchett ciągnął dalej twardym tonem: — Nie uważam, bym należał do takich, co to się dadzą zaskoczyć. Ale jak o tym myślę, dochodzę do wniosku, że mógłbym zabezpieczyć się podwójnie. I mam wrażenie, że pan jest odpowiednim człowiekiem, którego mogę wynająć za własne pieniądze, monsieur Poirot. A proszę pamiętać, że to nie byle jakie pieniądze.

Poirot przez chwilę przyglądał mu się w zamyśleniu. Na jego twarzy nie uzewnętrzniały się żadne uczucia,

Ratchett nie mógł więc zorientować się, jakie są jego zamiary.

— Żałuję, monsieur — odezwał się wreszcie Poirot. — Nie mogę służyć panu swoją osobą.

Tamten popatrzył na niego chytrze.

— Wobec tego proszę samemu określić zapłatę — rzekł.

Poirot potrząsnął głową.

— Pan mnie źle zrozumiał, monsieur. Fortuna sprzyja mi w mojej pracy. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, by zaspokoić nie tylko swoje potrzeby, ale nawet kaprysy. Wobec tego, obecnie, przyjmuję już tylko te sprawy, które mnie interesują.

— Ma pan nerwy z żelaza — stwierdził Ratchett. — Czy może skusi pana suma dwudziestu tysięcy dolarów?

— Nie skusi.

— Jeżeli liczy pan na więcej, to się pan przeliczy. Wiem, ile i co jest dla mnie warte.

— Ja również, monsieur Ratchett.

— Więc co jest niewłaściwego w mojej ofercie?

Poirot wstał.

— Proszę wybaczyć mi, że zrobię wycieczkę osobistą. Nie podoba mi się pańska twarz, monsieur Ratchett.

I z tymi słowy opuścił wagon restauracyjny.

ROZDZIAŁ CZWARTY KRZYK W NOCY

Simplon Orient przybył do Belgradu o dziewiątej wieczorem tego samego dnia. Ponieważ w dalszą drogę miał ruszyć dopiero o 9.15, Poirot wyszedł na peron. Nie pozostał tam jednak zbyt długo. Panowało przenikliwe zimno, choć peron był osłonięty dachem. Na zewnątrz padał gęsty śnieg. Detektyw wrócił więc do przedziału. Konduktor, który na peronie przytupywał i zabijał rękami, aby się rozgrzać, zwrócił się do niego:

— Pańskie walizki, monsieur, przeniesiono do przedziału numer 1, przedziału monsieur Bouca.

— Ale gdzie wobec tego podział się sam monsieur Bouc?

— Przeprowadził się do przyłączonego właśnie wagonu z Aten.

Poirot ruszył na poszukiwanie przyjaciela. Monsieur Bouc machnięciem ręki uciął jego protesty.

— Przecież to nic takiego. Nic takiego. Teraz mi nawet wygodniej. Ponieważ ty jedziesz aż do Anglii, to lepiej, byś pozostał w wagonie do Calais. A mnie jest tutaj całkiem dobrze. Tu jest o wiele spokojniej. W wagonie nie ma nikogo prócz mnie i małego Greka, lekarza. Ach, mój przyjacielu, co za noc! Mówią, że od lat nie było takiego śniegu. Miejmy nadzieję, że nas to nie zatrzyma w drodze. Nie byłbym z tego specjalnie zadowolony, powiadam ci.

Punktualnie o 9.15 pociąg ruszył z dworca. Wkrótce potem Poirot wstał, życząc przyjacielowi dobrej nocy, i podążył korytarzem do własnego wagonu, znajdującego się za wagonem restauracyjnym.

A tam, drugiego dnia podróży, bariery zaczęły się kruszyć. Przed drzwiami swojego przedziału stał pułkownik Arbuthnot, gawędząc z MacQueenem.

Na widok Poirota MacQueen urwał w połowie słowa jakąś kwestię. Wyglądał na mocno zaskoczonego.

— O! — zawołał. — Myślałem, że pan nas już opuścił. Mówił pan, że wysiada w Belgradzie!

— Pan mnie źle zrozumiał — uśmiechnął się Poirot. — Przypominam sobie, że kiedy rozmawialiśmy na ten temat, pociąg właśnie ruszał ze Sambułu.

— Ależ, monsieur, przecież pański bagaż zniknął.

— Przeniesiono go tylko do innego przedziału, to wszystko.

— A, rozumiem.

Powrócił do rozmowy z Arbuthnotem, Poirot zaś poszedł dalej korytarzem.

Dwa przedziały od jego obecnego lokum stała starszawa amerykańska dama, rozmawiając z niewiastą o owczej twarzy, która okazała się być Szwedką. Pani Hubbard wciskała tamtej jakieś ilustrowane pismo.

— No, proszę to wziąć, moja droga — mówiła. — Ja mam mnóstwo do czytania. Boże, czyż to zimno nie jest przeraźliwe? — uprzejmie skinęła głową Poirotowi.

— Jest pani nadzwyczaj miła — powiedziała Szwedka.

— Ależ to nic takiego. Mam nadzieję, że pani będzie zdrowo spać, a rano głowa przestanie panią boleć.

— To tylko ten mróz. Zaraz sobie zaparzę filiżankę herbaty.

— Czy zażyła pani aspirynę? Na pewno? Ja mam mnóstwo aspiryny. No cóż, dobrej nocy, moja droga.

A kiedy tamta odeszła, Amerykanka zwróciła się do Poirota z wyraźną chęcią pogawędki.

— Poczciwe stworzenie z tej Szwedki. O ile mogłam się zorientować, jest kimś w rodzaju misjonarki czy nauczycielki. Miłe stworzenie, choć niezbyt biegłe w angielskim. Szalenie zaciekawiło ją to, co opowiadałam jej o mojej córce.

Do tego czasu Poirot wiedział już wszystko o córce pani Hubbard. Podobnie jak każdy pasażer pociągu władający angielskim! Że wraz z mężem wchodzi w skład liczego grona pedagogicznego wielkiego college'u w Smyrnie i że była to pierwsza podróż pani Hubbard na Wschód, i jaka jest jej opinia o Turkach, ich niechlujstwie i stanie ich dróg.

Otworzyły się sąsiednie drzwi i ukazał się w nich szczupły, blady kamerdyner. Wewnątrz przedziału Poirot dostrzegł siedzącego na łóżku Ratchetta. I ten zobaczył detektywa, twarz jego pociemniała z gniewu. Potem drzwi zamknęły się.

Pani Hubbard odciągnęła Poirota na bok.

— Wie pan, śmiertelnie się boję tego człowieka. Och, nie kamerdynera, tego drugiego, jego chlebodawcy. Chlebodawcy, akurat! Z tym człowiekiem jest coś nie w porządku. Moja córka zawsze powtarza, że mam wyjątkową intuicję. „Kiedy mamuśka ma przecucie, nigdy się nie myli” — tak powiada moja córka. A w przypadku tego mężczyzny mam przecucie. On zajmuje sąsiedni przedział i to mi się nie podoba. Zeszłej nocy zastawiłam łączące nas drzwi walizkami. Wydaje mi się, że słyszałam, jak ruszał klamką. Czy pan wie, że nie zdziwiłabym się ani trochę, gdyby ten człowiek okazał się mordercą, jednym z takich, co to się o nich czyta, że napadają w pociągach. Może zachowuję się głupio, ale tak właśnie czuję. Boję się go śmiertelnie. Moja córka mówiła, że będę miała przyjemną podróż, ale ja jakoś nie jestem zadowolona. Może to idiotyczne, ale mam przecucie, że coś się może zdarzyć. Dosłownie wszystko. Jak ten miły młodzieniec może być sekretarzem u takiego typu, doprawdy trudno zrozumieć. Korytarzem nadchodzili pułkownik Arbuthnot i MacQueen.

— Zapraszani do mojego przedziału — mówił MacQueen. — Łóżko jeszcze nie rozesłane. Chciałbym dobrze zrozumieć, czy wasza polityka w Indiach, to...

Mężczyźni minęli ich i poszli dalej, do MacQueena. Pani Hubbard życzyła Poirotowi dobrej nocy.

— Chyba zaraz położę się do łóżka i poczytam sobie — oświadczyła. — Dobranoc.

Poirot udał się do własnego przedziału, sąsiadującego z drugiej strony z Ratchettem. Rozebrał się i wyciągnął na łóżku, poczytał jakieś pół godziny, potem zgasił światło.

Obudził się kilka godzin później, i to raptownie. Wiedział, co było tego przyczyną — głośny jęk, niemal krzyk, gdzieś bardzo blisko. W tej samej chwili ostro zabrzączał dzwonek.

Poirot usiadł i zapalił światło. Stwierdził, że pociąg stoi przypuszczalnie na stacji.

Ten krzyk go zaniepokoił. Wiedział, że sąsiedni przedział zajmuje Ratchett. Wstał z łóżka i otworzył drzwi w tej samej chwili, w której korytarzem nadbiegł konduktor Wagon Lit. Zapukał do drzwi Ratchetta. Poirot przez szparę w drzwiach obserwował. Konduktor zapukał powtórnie. Zadzźwięczał drugi dzwonek i w głębi korytarza nad jednymi z drzwi zapaliło się światelko. Konduktor obejrzał się przez ramię.

I w tej samej sekundzie z głębi sąsiedniego przedziału dobiegły głośno wypowiedziane słowa: — Ce n'est rien. Je me suis trompé.

— Bien, monsieur. — Konduktor pospieszył dalej, by zapukać do drzwi, nad którymi pojawiło się światelko.

Poirot wrócił do łóżka, już uspokojony, i zgasił lampkę. Spojrzał na zegarek. Była dokładnie za dwadzieścia trzy minuty pierwsza.

ROZDZIAŁ PIĄTY ZBRODNIA

Okazało się, że ponowne zapadnięcie w sen nastęczało trudności. Po pierwsze, detektywowi brakowało ruchu pociągu. Jeżeli stali na dworcu, to był on zdumiewająco cichy. Przez kontrast hałasy w samym pociągu wydawały się niezwykle głośne. Poirot słyszał, jak obok krząta się Ratchett — pstryknięcie, kiedy otwierał umywalkę, szum płynącej z kranu wody, plusk, potem następne pstryknięcie, kiedy na powrót zamykał umywalkę. Z korytarza dobiegły go czyjeś kroki, szurające kroki kogoś w rannych pantoflach.

Herkules Poirot leżał bezsennie, wpatrzony w sufit. Dlaczego na tym dworcu jest tak cicho? Poczul, że zaschło mu w gardle. Zapomniał zamówić, jak to zazwyczaj robił, butelkę wody mineralnej. Zadzwoi na konduktora i poprosi o wodę. Jego palec powędrował do dzwonka, ale zatrzymał się, gdyż Poirot w tej ciszy usłyszał inny dzwonek. Przecież konduktor nie będzie w stanie odpowiedzieć jednocześnie na wszystkie dzwonki!

Dzyń... dzyń... dzyń...

Dzwoni raz po raz. Gdzież się ten konduktor podziewa! Ktoś wyraźnie traci cierpliwość.

Dzyń...

Kimkolwiek był dzwoniący, nie odrywał palca od dzwonka.

Nagle, pędząc na łeb na szyję, nadbiegł konduktor, jego kroki odbijały się echem po korytarzu. Zapukał do czyichś drzwi niedaleko przedziału Poirota. Potem dały się słyszeć głosy — pełen szacunku i uniżony głos konduktora i kobiecy — natarczywy i swarliwy.

Pani Hubbard!

Poirot uśmiechnął się.

Sprzeczka — jeżeli rzeczywiście nią była — trwała dłuższą chwilę. Proporcjonalnie dziewięćdziesiąt jej procent zaliczało się na konto pani Hubbard, a tylko uspokajające dziesięć na rzecz konduktora. Wreszcie chyba spór rozstrzygnięto, gdyż Poirot wyraźnie usłyszał:

— Bonne nuit, madame — i trzask zamykanych drzwi.

Detektyw nacisnął własny dzwonek. Konduktor pojawił się błyskawicznie. Wydawał się zgrzany i udręczony.

— De l'eau minérale, s'il vous plaît.

— Bien, monsieur — Możliwe, że porozumiewawczy błysk w oku Poirota ośmielił go do zrzucenia ciężaru z serca.

— La dame Américaine...

— Tak? Otarł pot z czoła.

— Proszę sobie wyobrazić, co ja z nią miałem! Twierdziła, i to jak uparcie, że w jej przedziale jest jakiś mężczyzna! Proszę to sobie wyobrazić, monsieur. Na powierzchni tych rozmiarów — zatoczył ręką koło. — I gdzież on zdołałby się ukryć? Perswadowałem jej. Dowodziłem, że to niemożliwe. Ale gdzież tam... ona się upierała. Że się obudziła i zobaczyła mężczyznę. Więc spytałem, jakim cudem mógłby stamtąd wyjść i zaryglować za sobą drzwi od wewnątrz. Ale ona była głucha na wszelkie argumenty. Jak byśmy i bez tego nie mieli dosyć kłopotów. Ten śnieg...

— Śnieg?

— Oczywiście, monsieur. Monsieur niczego nie zauważył? Pociąg stoi. Wjechaliśmy w zaspę. Bóg jeden wie, jak długo będziemy tu uwięzieni. Pamiętam, jak kiedyś zamieć trwała aż siedem dni.

— A gdzie jesteśmy?

— Między Vincovci a Brodem.

— L?, l? — rzekł zirytowany Poirot.

Konduktor odszedł, by powrócić z wodą.

— Bon soir, monsieur.

Poirot wypił szklanekę wody i ułożył się do snu.

Właśnie zapadał w sen, kiedy znowu go coś obudziło. Tym razem jakby jakiś ciężki przedmiot z hukiem odbił się od jego drzwi.

Zerwał się z łóżka, otworzył przedział i wyjrzał. Nic. Ale z prawej strony, w głębi korytarza, przed jego oczami znikąca kobieca postać owinięta w szkarłatne kimono. W przeciwległym końcu, siedząc na małym krzeselku, konduktor zapisywał coś na wielkich arkuszach papieru. Dokoła panowała głucha cisza.

— Najwyraźniej mam zszargane nerwy — orzekł Poirot i znowu położył się do łóżka. Tym razem spał do rana.

Kiedy się zbudził, pociąg wciąż stał. Detektyw podniósł roletę i wyjrzał. Wagon otaczały wysokie śnieżne zasy.

Zerknąwszy na zegarek stwierdził, że minęła dziewiąta.

Za piętnaście dziesiąta, starannie wymuskany i wyelegantowany jak zawsze, udał się do wagonu restauracyjnego, gdzie rozbrzmiewał chór biadoleń.

Wszelkie bariery, jakie jeszcze dzieliły pasażerów, teraz już pękły ostatecznie. Wszystkich połączyło wspólne nieszczęście. Najgłośniej lamentowała pani Hubbard. — Moja córka mówiła, że to najprostsza droga na świecie. Jak gdyby nigdy nic, jedziesz sobie wygodnie aż do samego Paryża. A tymczasem możemy tu postać jeszcze wiele dni — jęczała. — Mój statek odpływa pojutrze. Jakim cudem mogłabym na niego zdążyć? Proszę, nie mogę nawet telegraficznie odwołać rezerwacji. Ach, zbyt jestem zdenerwowana, żeby o tym mówić.

Wtórował jej Włoch. Że ma pilne interesy do załatwienia w Mediolanie. Potężny Amerykanin powiedział: „To bardzo przykre, ma’am” i gwoli uspokojenia wyraził nadzieję, że pociąg nadrobi może opóźnienie.

— Moja siostra, jej dzieci, oni czekają na mnie — odezwała się Szwedka i zapłakała. — Nie mogę ich zawiadomić. Co sobie pomyślą? Pomyślą, że przytrafiło mi się coś złego.

— Jak długo będziemy tutaj lak stać? — pytała ostro Mary Debenham. — Czy ktokolwiek coś wie?

W jej głosie dźwięczała irytacja, lecz Poirot nie zauważył ani śladu niemal gorączkowej trwogi, którą objawiła podczas przestoju Taurus Expressu.

Pani Hubbard ponownie wiodła prym w rozmowie.

— W tym pociągu w ogóle nikt nic nie wie. I nikt nie próbuje czegokolwiek zrobić. To zbieranina nieporadnych cudzoziemców. No cóż, gdybym była u siebie, ktoś przynajmniej usiłowałby temu zaradzić.

Do Poirota staranną, brytyjską francuszczyzną zwrócił się Arbuthnot:

— Vous êtes un directeur de la ligne, je crois, monsieur. Vous pouvez nous dire...

Poirot z uśmiechem wyprowadził go z błędu.

— Nie, nie — powiedział po angielsku. — To nie ja. Pan pomylił mnie z moim przyjacielem, monsieur Boukiem.

— Och! Najmocniej przepraszam.

— Ależ nie ma za co. To ze wszech miar zrozumiale. Zajmuję obecnie przedział, który wcześniej do niego należał.

Monsieur Bouca nie było w wagonie restauracyjnym. Poirot rozejrzał się, by sprawdzić, kogo jeszcze brakuje.

Nie zjawiała się księżna Dragomirowa ani małżeństwo Węgrów. A także nie było Ratchetta, jego kamerdynera i niemieckiej pokojówki.

Szwedka ocierała oczy.

— Taka jestem głupia — mówiła. — Płaczę jak dziecko. Wszystko będzie dobrze, cokolwiek się stanie.

Jednakże jej chrześcijańska ufność nie spotkała się z powszechnym poparciem.

— Już jest bardzo dobrze — oświadczył niespokojnym tonem MacQueen. — Możemy tak stać tutaj i kilka dni.

— A przy okazji, co to za kraj? — dopytywała się doprowadzona do łez pani Hubbard.

Gdy dowiedziała się, że Jugosławia, stwierdziła:

— Och, to któreś z tych bałkańskich państweczek. No i czegoż innego można by się spodziewać?

— Jedynie pani zachowuje spokój, mademoiselle — Poirot zwrócił się do panny Debenham.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

— A jakie jest inne wyjście?

— Widzę, że z pani niezły filozof, mademoiselle.

— Filozofia zakłada bezstronną ocenę. A moja jest chyba bardziej egoistyczna. Nauczyłam się chować dla siebie swoje bezużyteczne emocje.

Nawet na niego nie spojrzała. Jej wzrok minął detektywa i zatrzymał się za oknem, za którym w wysokich pryzmach leżał śnieg.

— Ma pani silny charakter, mademoiselle — oświadczył szarmancko Poirot. — Mam wrażenie, że najsilniejszy z nas wszystkich tu obecnych.

— O, nie. Wcale nie. Znam kogoś, kto jest o wiele ode mnie silniejszy...

— Kto to taki?

Widać było, że opanowała się nagle, jakby uświadamiając sobie, że przecież rozmawia z obcym człowiekiem, cudzoziemcem, z którym do tego ranka zamieniła ledwie kilka zdawkowych słów.

Roześmiała się uprzejmie, lecz zniechęcająco.

— No cóż, na przykład ta wiekowa dama. Prawdopodobnie zwrócił pan na nią uwagę. Niespotykanie brzydka, starsza dama, ale w jakiś sposób fascynująca. Wystarczy, że kiwnie małym palcem, a cały pociąg spieszy na jej usługi.

— Tak samo jak pędzi do mojego przyjaciela, monsieur Bouca — stwierdził Poirot. — Ale to dlatego, że jest dyrektorem tej kolei, a nie, że ma władczy charakter.

Mary Debenham uśmiechnęła się.

Ranek mijał ospale. Wiele osób, między innymi i Poirot, pozostało w wagonie restauracyjnym. W danej chwili życie towarzyskie wydawało się najlepszym sposobem na zabicie czasu. Detektyw usłyszał sporo nowych informacji o córce pani Hubbard i o nawykach zmarłego pana Hubbarda — począwszy od jego rannego wstawania i konsumowania śniadania złożonego z owsianki, po spoczynek nocny w skarpetkach, które pani Hubbard własnoręcznie i bez przerwy robiła dla niego na drutach. Właśnie kiedy słuchał pełnej zażenowania relacji Szwedki o jej misyjnych celach, do wagonu wszedł jeden z konduktorów Wagon Lit i stanął przy Poirocie.

— Pardon, monsieur.

— Słucham.

— Przesyłam ukłony od monsieur Bouca, który byłby uszczęśliwiony, gdyby pan zechciał być tak uprzejmy i zejść do niego na kilka minut.

Poirot wstał, grzecznie przeprosił Szwedkę i opuścił wagon restauracyjny.

Nie był to konduktor z jego wagonu — inny, zwałisty, jasnowłosy mężczyzna.

Detektyw podążył za przewodnikiem korytarzem swojego wagonu, potem sąsiedniego. Mężczyzna zapukał do jakichś drzwi, potem odstąpił na bok, wpuszczając Poirota do środka.

Przedział nie należał do monsieur Bouca. Był drugiej klasy, a wybrano go przypuszczalnie dlatego, że był odrobinę przestronniejszy. Mimo to i tak sprawiał wrażenie zatłoczonego.

Sam monsieur Bouc zajmował małe krzeselko naprzeciw drzwi. W kącie pod oknem, na wprost niego, siedział nieduży, ciemnowłosy mężczyzna, zapatrzony w śnieg za szybą. Niemal uniemożliwiając Poirotowi przejście do środka, stali masywny mężczyzna w niebieskim mundurze (chef de train) i konduktor z wagonu detektywa.

— Och, mój zacy przyjacielu! — krzyknął monsieur Bouc. — Wchodź, proszę. Potrzebujemy ciebie!

Mały człowieczek spod okna przesunął się nieco na ławce, tak by Poirot mógł jakoś między dwójką mężczyzn dostać się do środka. Usiadł zwrócony twarzą do swojego przyjaciela.

Wyraz malujący się na obliczu monsieur Bouca dał mu, jakby to sam określił, gwałtownie do myślenia. Było oczywiste, że wydarzyło się coś niezwykłego.

— Co się stało? — Dobrze pytanie. Najpierw ten śnieg i przestój. A teraz...

Umilkł, za to z gardła konduktora Wagon Lit wydobyło się jakby zduszone westchnienie.

— Co teraz?

— A teraz jeden z pasażerów leży martwy na swoim łóżku, zakłuty na śmierć — monsieur Bouc mówił z cichą rezygnacją.

— Pasażer? Który?

— Amerykanin. Mężczyzna nazwiskiem... nazwiskiem... — zerknął do leżących przed sobą notatek. — Ratchett, zgadza się, Ratchett?

— Tak, monsieur — wykrztusił konduktor.

Poirot spojrział na niego. Mężczyzna był kredowoblady.

— Lepiej dajmy temu człowiekowi usiąść — powiedział detektyw. — Inaczej może zemdleć.

Chef de train usunął się nieco i konduktor opadł na miejsce w rogu. Ukrył twarz w dłoniach.

— No, no! — wzdrygnął się Poirot. — To poważna sprawa!

— Jasne, że poważna. Po pierwsze, morderstwo samo w sobie jest już wielkim nieszczęściem. Ale nie tylko to. Okoliczności jego popełnienia są niezwykle. Utknęliśmy tutaj na przymusowym postoju. Możemy tak stać całymi godzinami... żeby tylko godzinami — dniami! I jeszcze jedna okoliczność. Przejeżdżając przez większość krajów, zabieramy do pociągu policję danego państwa. Tylko w Jugosławii — akurat nie! Pojmujesz?

— Rzeczywiście, nadzwyczaj skomplikowana sytuacja — odrzekł Poirot.

— A najgorsze jeszcze usłyszysz. Doktor Constantine, o, zapomniałem panów sobie przedstawić... Doktor Constantine — monsieur Poirot.

Nieduży, śniady człowieczek skłonił się, Poirot odwzajemnił ukłon.

— Doktor Constantine jest zdania, że zgon nastąpił około pierwszej w nocy.

— W tych sprawach trudno jest twierdzić coś z całym przekonaniem — odezwał się lekarz — ale sądzę, że mogę określić dokładny czas zgonu na między północą a drugą nad ranem.

— Kiedy po raz ostatni Ratchetta widziano przy życiu? — spytał Poirot.

— Wiadomo, że był żywy mniej więcej za dwadzieścia pierwsza, kiedy rozmawiał z konduktorem — wyjaśnił monsieur Bouc.

— Prawda — potwierdził Poirot. — Słyszałem, co się wtedy działo. I to był ten ostatni raz?

— Tak.

Poirot odwrócił się w stronę lekarza, który mówił dalej:

— Okno przedziału monsieur Ratchetta było otwarte na oścież, co skłania do przypuszczenia, że morderca uciekł tą właśnie drogą. Ja jednak jestem zdania, że okno otworzono dla zmylenia śladów. Każdy, kto by tamtędy wyszedł, zostawiłby na śniegu wyraźne ślady. A myśmy takowych nie znaleźli.

— O której odkryto zbrodnię? — spytał Poirot.

— Michel!

Konduktor wyprostował się. Miał wciąż pobladłą i przerażoną twarz.

— Opowiedzcie temu dżentelmenowi dokładnie, co się wydarzyło — polecił monsieur Bouc.

Mężczyzna odezwał się cokolwiek drżącym głosem:

— Dzisiaj rano służący pana Ratchetta kilkakrotnie pukał do jego drzwi. Bez odpowiedzi. Potem, jakieś pół godziny temu, z wagonu restauracyjnego przyszedł kelner. Chciał się dowiedzieć, czy monsieur będzie jadł dejeneur. Sam pan rozumie, była już jedenasta.

Otworzyłem mu drzwi własnym kluczem. Ale te były także zabezpieczone łańcuchem. Nikt się nie odzywał, a w środku panowała absolutna cisza i było zimno, okropnie zimno. Otwarte okno i śnieg padający do przedziału. Pomyślałem sobie, że może ten dżentelmen zasnął. Wezwałem więc chef de train. Zerwaliśmy łańcuch i weszliśmy do środka. On był... Ach! C'était terrible!

I znowu ukrył twarz w dłoniach.

— Drzwi zamknięto i zabezpieczono łańcuchem od wewnątrz — powtórzył w zamyśleniu Poirot.
— Nie mamy do czynienia z samobójstwem, co?

Grecki lekarz parsknął sardonycznym śmiechem.

— Czy człowiek popełnia samobójstwo zadając sobie dziesięć, dwanaście albo piętnaście ran kłutych? — spytał.

Poirot szeroko otworzył oczy.

— Jakie straszliwe okrucieństwo.

— To dzieło kobiety — odezwał się chef de train, po raz pierwszy zabierając głos. — Z tego właśnie wnioskuję, że zrobiła to kobieta. Tylko kobieta jest zdolna zadać aż tyle ciosów.

Doktor Constantine zamyślił się, wykrzywiając twarz.

— W takim razie musiała być to niezwykle silna niewiasta — stwierdził. — Nie leży w moich zamiarach wdawanie się w techniczne szczegóły, to zmąci tylko obraz, ale mogę panów zapewnić, że kilka z tych ciosów zadano z taką siłą, że przebiły twarde warstwy kości i mięśni.

— Jasno więc widać, iż morderstwo to nie było starannie obmyślane — stwierdził Poirot.

— Wysoce niestarannie — zgodził się doktor Constantine. — Jak się wydaje, ciosy wymierzano na chybił trafił, gdzie popadnie. Niektóre po prostu się obsunęły, niewiele czyniąc krzywdy. Tak jakby ktoś zamknął oczy i w zapamiętaniu, na ślepo, uderzał raz po raz.

— C'est une femme — powtórzył chef de train. — To podobne do kobiety. Kiedy one wpadają w szal, okropnie przybywa im siły. — Z takim przekonaniem pokiwał głową, iż wszyscy nabrali podejrzeń, że chef de train musiał doświadczyć tego na własnej skórze.

— Możliwe, że potrafię dorzucić coś niecoś do waszego zasobu wiadomości — odezwał się Poirot. — Monsieur Ratchett zaczepił mnie wczoraj. Mówił mi, o ile właściwie zrozumiałem, że ktoś nastaje na jego życie.

— Ma go „wykończyć”, tak to chyba określają Amerykanie, prawda? — dodał monsieur Bouc.
— Wobec tego to nie kobieta. To jakiś gangster czy rewolwerowiec.

Chef de train wyglądał na urażonego, że jego teoria obraca się w gruzy.

— Skoro tak — powiedział Poirot — to wydaje się, iż czynu tego dokonano jednak po amatorsku.

W jego głosie dał się słyszeć wyraz dezaprobaty detektywa wobec takiej amatorszczyzny zabójcy.

— Pasażerem pociągu jest potężny Amerykanin — zauważył monsieur Bouc, rozwijając swoją tezę — o przeciętnym wyglądzie i straszliwym garniturze. Żuje gumę, co, jak sędzę, nie jest przyjęte w lepszych sferach. Wiecie, o kogo mi chodzi?

Konduktor Wagon Lit, do którego się zwrócił, kiwnął głową.

— Oui, monsieur, to numer 16. Ale to nie mógł być on. Musiałbym zauważyć, gdyby wychodził czy wchodził do przedziału.

— A może jednak nie? Może nie zauważyliście? Niebawem i do tego dojdziemy. Pytanie na teraz brzmi: co robimy? — Bouc spojrział na Poirota. Ten odwzajemnił spojrzenie.

— No cóż, przyjacielu — powiedział monsieur Bouc. — Rozumiesz przecież, o co chcę cię prosić. Znam twoje możliwości. Widzisz, dla nas to poważna sprawa. Mówię w imieniu Compaigne Internationale des Wagons Lits. Kiedy pojawi się jugosłowiańska policja, byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli przedstawić jej gotowe już rozwiązanie! W przeciwnym wypadku będą opóźnienia, kłopoty, tysiąc i jeden niedogodności. Kto wie, może i poważne przykrości dla wielu niewinnych osób. A zamiast tego: ty rozwiążesz tę zagadkę! Powiemy: „Miało miejsce morderstwo, a oto zbrodniarz!”

— Założmy jednak, że jej nie rozwiążę?

— Ach! Mon cher! — w głos pana Bouca wkradły się niezwykle przymilne nutki. — Znam twoją reputację. Wiem to i owo o twoich metodach. Ta sprawa jest jak stworzona dla ciebie. Spojrzenie w przeszłość tych wszystkich osób, odkrycie ich bona fides — to pochłania czas i nastęcza kłopotów bez końca. Ale czyż ja sam nie słyszałem wielekroć z twoich ust, że aby rozwiązać jakąś zagadkę,

należy tylko wygodnie rozsiąść się w fotelu i pomyśleć? Więc zrób tak. Przesłuchaj pasażerów, obejrzyj zwłoki, sprawdź powiązania tu i tam... Cóż, mam do ciebie zaufanie! Jestem absolutnie pewny, że to nie były czcze przechwałki z twojej strony. Usiądź więc wygodnie i pomyśl... wykorzystaj — jak to często powtarzasz — małe, szare komórki swojego mózgu... a niebawem będziesz wiedział wszystko.

Nachylił się do przodu, spoglądając tkliwie na pana Poirot.

— Twoja wiara we mnie wzrusza mnie, mój przyjacielu — odezwał się z głębi serca detektyw. — Jak sam zauważyłeś, ta sprawa nie może być zbyt skomplikowana. Ja sam, ubiegłej nocy... ale teraz nie pora o tym mówić. Szczerze powiedziawszy, ta zagadka zaintrygowała mnie. Nie dalej niż pół godziny temu myślałem, że przed nami długi czas nudy, gdy będziemy tutaj uwięzieni. A teraz... zagadka do rozwiązania sama wchodzi mi w ręce.

— Więc przyjmujesz tę sprawę? — dopytywał się skwapliwie monsieur Bouc.

— C'est entendu. Skoro oddajesz ją w moje dłonie...

— Znakomicie! Wszyscy służymy ci pomocą.

— Na początek muszę dostać rozkład wagonu linii Sambuł–Calais z krótką informacją o pasażerach, którzy zajmują poszczególne przedziały. Chciałbym także obejrzeć ich paszporty i bilety.

— Michel się tym zajmie. Konduktor wyszedł z przedziału.

— Czy tym pociągiem jadą też jacyś inni pasażerowie? — spytał Poirot.

— W tym wagonie podróżujemy tylko ja z doktorem Constantine'em. W wagonie z Bukaresztu starszy dżentelmen utykający na nogę. Dalej są zwykłe wagony, ale te nas nie interesują, gdyż po kolacji ubiegłego wieczoru zostały zamknięte. Przed wagonem Sambuł–Calais jest tylko wagon restauracyjny.

— Wygląda więc na to — odezwał się przeciągle Poirot — że naszego mordercy musimy szukać w wagonie Sambuł–Calais. — Zwrócił się do lekarza. — To właśnie pan sugerował, jak sądzę?

Grek skinął głową.

— Pół godziny po północy wpadliśmy w zasypany śnieżną. Od tamtej pory nikt nie mógł opuścić pociągu.

Monsieur Bouc odezwał się poważnym tonem:

— Morderca jest wśród nas... tutaj, w tym pociągu...

ROZDZIAŁ SZÓSTY KOBIE TA

— Przede wszystkim — zabrał głos Poirot — powinienem zamienić słówko z monsieur MacQueenem. On może udzielić nam cennych informacji.

— Oczywiście — zgodził się pan Bouc. I zwrócił się do chef de train:

— Proszę przyprowadzić tutaj MacQueena. Chef de train wyszedł z przedziału.

Wrócił konduktor, niosąc plik paszportów i biletów. Monsieur Bouc przejął je z jego rąk.

— Dziękuję, Michel. Jak sądzę, teraz będzie lepiej, jak pan wróci na swój posterunek. Później złożycie nam formalne zeznanie.

— Oczywiście, panie dyrektorze. I Michel opuścił przedział.

— Kiedy już sobie porozmawiamy z młodym MacQueenem — odezwał się Poirot — może monsieur le docteur uda się ze mną do przedziału zamordowanego ?

— Zgoda.

— A kiedy już tam skończymy...

Ale w tej właśnie chwili wrócił chef de train w towarzystwie Hectora MacQueena.

Bouc wstał.

Trochę tutaj ciasno — powiedział uprzejmie. — Proszę zająć moje miejsce, monsieur MacQueen. Pan Poirot naprzeciwno, o, w ten sposób.

Odwrócił się do chef de train.

— Proszę, by wagon restauracyjny opuścili wszyscy pasażerowie — polecił. — Oddamy go do dyspozycji monsieur Poirotowi. To tam będziesz prowadził swoje przesłuchania, prawda, mon cher?

— Owszem, tam będzie najwygodniej — zgodził się Poirot.

MacQueen stał popatrując to na jednego, to na drugiego, nie całkiem chwytając sens potoku francuszczyzny.

— Qu'est-ce qu'il y a? — zaczął mozolnie. — Pourquoi...?

Poirot energicznym gestem skłonił go do zajęcia miejsca w narożniku przedziału. Amerykanin usiadł i ponownie zaczął:

— Pourquoi...? — potem zreflektował się i wrócił do ojczystego języka: — Co się w tym pociągu wyprawia? Czy coś się stało?

Przesunął wzrok po obecnych. Poirot kiwnął głową.

— Właśnie. Coś się wydarzyło. Proszę przygotować się na wstrząs. Pański pracodawca, monsieur Ratchett, nie żyje!

Wargi MacQueena złożyły się jak do gwizdnięcia. Oprócz tego, że odrobinę szerzej otworzył oczy, nie okazał żadnych objawów szoku czy zmartwienia.

— Więc mimo wszystko go dopadli — powiedział.

— Co, dokładnie, chciał pan wyrazić tym stwierdzeniem, monsieur MacQueen?

Amerykanin zawahał się.

— Pan zakłada — ciągnął Poirot — że Ratchetta zamordowano ?

— A czyż nie? — tym razem MacQueen był zaskoczony. — No cóż — mówił dalej powoli. — To właśnie miałem na myśli. Czy panu chodzi o to, że on zwyczajnie umarł we śnie? Dlaczego, ten stary był tak twardy... tak twardy jak...

Urwał, nic mogąc znaleźć porównania.

— Nie, nie — odezwał się pospiesznie Poirot. — Pańskie przypuszczenie jest zgodne z prawdą. Pana Ratchetta zamordowano. Zakłuto na śmierć. Ale ja chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pan był taki pewny, że dokonano morderstwa, a nie nastąpiła śmierć naturalna?

MacQueen zastanowił się.

— Jedno muszę wyjaśnić — powiedział. — Kim pan naprawdę jest? I do czego pan zmierza?

— Reprezentuję Compaigne Internationale des Wagons Lit.?. — Poirot umilkł, potem dodał: — Jestem detektywem. Nazywam się Herkules Poirot.

Jeżeli spodziewał się, że wyrze to wrażenie, to się zawiódł. MacQueen rzucił ledwie: — Ach, tak? — czekając, aż Poirot powie coś więcej.

— Może pan już słyszał to nazwisko?

— Cóż, wydaje mi się znajome... tyle że zawsze myślałem, iż to nazwisko projektanta mody damskiej.

Herkules Poirot spojrział na niego z niesmakiem.

— Wprost nie do wiary! — stwierdził.

— Co jest nic do wiary?

— Nic takiego. Przejdźmy do naszej sprawy. Chciałbym, żeby mi pan powiedział, panie MacQueen, wszystko, co panu wiadomo o zmarłym. Czy był pana krewnym?

— Nie. Jestem... byłem... jego sekretarzem.

— Od jak dawna pan dla niego pracował?

— Niewiele ponad rok.

— Proszę więc udzielić mi wszelkich posiadanych przez pana informacji.

— Cóż, pana Ratchetta poznałem jakiś rok temu, kiedy przebywałem w Persji...

Poirot przerwał mu.

— A co pan tam robił?

— Przyjechałem z Nowego Jorku, żeby rozejrzeć się za koncesją na wydobycie ropy naftowej. Nie sądzę, żeby pan chciał poznać szczegóły. Mnie i moim przyjaciółom nie powiodło się najlepiej w tym przedsięwzięciu. Pan Ratchett mieszkał w tym samym hotelu. Akurat poróżnił się ze swoim sekretarzem. Zaproponował mi tę posadę, a ja ją przyjąłem. Byłem bez pracy, więc ucieszyłem się, że oto trafia się gotowe, podsunięte pod nos, dobrze płatne zajęcie.

— A potem?

— Podróżowaliśmy. Pan Ratchett pragnął zwiedzić świat. Na przeszkodzie stała mu nieznajomość języków obcych. Służyłem więc mu bardziej za przedstawiciela niż za sekretarza. To było przyjemne życie.

— Proszę mi teraz opowiedzieć wszystko, co panu wiadomo na temat jego chlebodawcy.

Młody człowiek wzruszył ramionami. Przez jego twarz przemknęło zakłopotanie.

— To nie takie proste.

— Jak brzmiało jego pełne imię i nazwisko?

— Samuel Edward Ratchett.

— Czy miał obywatelstwo amerykańskie?

— Tak.

— Z której części Ameryki pochodził?

— Nie wiem.

— No cóż, wobec tego proszę mi powiedzieć, co pan wie.

— Sęk tkwi w tym, panie Poirot, że ja nic nie wiem! Pan Ratchett nigdy nie mówił mi nic ani o sobie, ani o swoim życiu w Ameryce.

— Jak pan sądzi, dlaczego? — Szczerze mówiąc, nie wiem. Wyobrażałem sobie, że może wstydzi się swojego pochodzenia, Niektórzy ludzie są tacy.

— Czy takie wytłumaczenie pana zadowala?

— Prawdę powiedziawszy, nie.

— Czy miał jakichś krewnych?

— Nigdy o żadnych nic wspominał.

Poirot zatrzymał się przy tej kwestii.

— Pan musiał stworzyć sobie jakąś teorię, monsieur MacQueen.

— A owszem, stworzyłem. Przypuszczałem, że wyjechał z Ameryki na dobre, żeby uciec przed kimś lub przed czymś. I myślę, że mu się to udało, do czasu. Tydzień lub dwa temu...

— Co potem?

— Zaczął dostawać listy z pogrózkami.

— Pan je czytał?

— Tak. Do moich obowiązków należało zajmowanie się jego korespondencją. Pierwszy list przyszedł dwa tygodnie temu.

— Czy te listy zostały zniszczone?

— Nie, chyba kilka zachowało się w moich papierach. O jednym wiem, że pan Ratchett podał go w ataku wściekłości. Mam je przynieść?

— Jeśli pan byłby taki dobry...

MacQueen wyszedł z przedziału. Wrócił po kilku minutach i położył przed Poirotem dwa arkusiki wymiętego papieru.

Pierwszy list brzmiał:

„Myślałeś, że udało ci się nas zmylić i uciec od tego, prawda? Nigdy w życiu. Ruszyliśmy już, żeby cię DOPAŚĆ, Ratchett, i dopadniemy!”

Brakowało podpisu.

Bez żadnych komentarzy, unosząc jedynie brwi, Poirot wziął do ręki drugi list:

„Zamierzamy wyprawić cię w drogę, Ratchett. Już wkrótce. Zamierzamy cię DOPAŚĆ. Rozumiesz, co to znaczy?”

Poirot odłożył kartkę.

— Cóż za monotonia stylu! — orzekł. — Dużo większa niż charakter pisma.

MacQueen utkwiał w nim oczy.

Pan mógł tego nie zauważyć — powiedział uprzejmie Poirot. — Trzeba mieć bardziej wyrobione oko. Tych listów nic pisał jeden człowiek, monsieur MacQueen. Wyszły spod pióra co najmniej dwóch osób, a każda z nich w każdym liście pisała po jednym słowie. Co więcej, anonimy pisane są drukowanymi literami. A to czyni zadanie zidentyfikowania charakteru pisma o wiele trudniejszym.

Umilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej:

— Czy panu wiadomo, że Ratchett zwrócił się do mnie o pomoc?

— Do pana?

Zdumienie w głosie MacQueena dowodziło, że młodzieniec nie miał o tym pojęcia. Poirot skinął głową:

— Tak. Był wystraszony. Proszę powiedzieć mi, jak zachowywał się po otrzymaniu pierwszego listu?

MacQueen zawahał się:

— Trudno określić. Skwitował go... typowym dla siebie stłumionym śmiechem. Jednakże — lekko się wzdrygnął — odniosłem wrażenie, że pod tym spokojem kryje się wiele.

Poirot ponownie skinął głową. Potem zadał niespodziewane pytanie: — Panie MacQueen, może mi pan powie, całkiem szczerze, co pan sądzi o swoim pracodawcy? Czy pan go lubił?

Hector MacQueen odpowiedział nie od razu.

— Nie — przyznał wreszcie. — Nie lubiłem go.

— Z jakiego powodu?

— Trudno mi to sprecyzować. Był wobec mnie życzliwy. — Umilkł, potem dodał: — Wyznam panu prawdę, panie Poirot. Równie go nie lubiłem, jak mu nie ufałem. Jestem przekonany, że był okrutnym i niebezpiecznym człowiekiem. Chociaż muszę powiedzieć, że nie mam żadnych dowodów na poparcie swojej opinii.

— Dziękuję panu, monsieur MacQueen. Jeszcze tylko jedno: kiedy po raz ostatni widział pan Ratchetta przy życiu?

— Wczoraj wieczorem, około... — zastanowił się chwilę — około dziesiątej, jak mi się zdaje. Zaszedłem do jego przedziału, by odebrać pewne zlecenia.

— Czego dotyczące?

— Glinianych tabliczek i starożytnej ceramiki, które nabył w Persji. To, co zostało wysłane, nie zgadzało się z tym, co zamówił. Wymienialiśmy na ten temat obfitą i denerwującą korespondencję.

— I wtedy po raz ostatni widział pan Ratchetta żywego?

— Tak, sądzę, że tak.

— A czy może pan wie, kiedy Ratchett otrzymał ostatni list z pogrózkami?

— Rankiem tego dnia, w którym opuszczaliśmy Konstantynopol.

— Muszę zadać panu jeszcze jedno pytanie, panie MacQueen. Czy pan był w dobrych układach ze swoim chlebodawcą?

Młodzieniec niespodziewanie mrugnął porozumiewawczo okiem.

— W tej chwili powinna oblecieć mnie gęsia skórka, czyż nie? Cytując słowa z powieści, powiem: „Nic pan na mnie nie ma”, monsieur Poirot. Ratchett i ja byliśmy w jak najdoskonalszych układach.

— Czy byłby pan tak miły, monsieur MacQueen, i podał mi swoje pełne dane oraz adres w Ameryce?

MacQueen podał swoje nazwisko — Hector Willard MacQueen i nowojorski adres. Poirot wsparł się o poduszki.

— Na razie to wszystko, monsieur MacQueen. Byłbym wielce zobowiązany, aby przez jakiś czas zachował pan dla siebie wiadomość o śmierci Ratchetta.

— Powinien się o tym dowiedzieć jego kamerdyner, Masterman.

— Prawdopodobnie już wie — stwierdził sucho Poirot. — A skoro tak, to proszę dopilnować, by trzymał język za zębami.

— To nie będzie trudne. Jest Brytyjczykiem i postępuje według zasady: „Zachowaj wszystko dla siebie”. Ma złe mniemanie o Amerykanach i żadne o innych narodowościach.

— Dziękuję panu, MacCaieen. Amerykanin wyszedł z przedziału.

— I co dalej? — dopytywał się monsieur Bouc. — Dajesz wiarę słowom tego młodego człowieka?

— Wydaje się uczciwy i szczerzy. Nic udaje, że żywił sympatię dla swego pracodawcy, co pewnie by robił, gdyby był w jakikolwiek sposób zamieszany w tę sprawę. Prawdą jest, iż monsieur Ratchett nic wyjawiał mu, iż próbował kupić sobie moje usługi i że mu się nie udało, ale nie sądzę, iż to jest podejrzana okoliczność. Raczej sobie wyobrażam, że Ratchett zaliczał się do takich dżentelmenów, którzy w każdej sytuacji ufają wyłącznie własnej osobie.

— Więc stwierdzasz, że przynajmniej jeden pasażer nie ma nic wspólnego ze zbrodnią? — spytał bez ogródek monsieur Bouc.

Poirot rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie.

— Jeżeli chodzi o mnie, to aż do ostatniej chwili wszyscy są podejrzani. Tak czy siak, muszę jednak przyznać, iż nie bardzo wyobrażam sobie, żeby ten trzeźwy, praktyczny MacQueen stracił głowę i zadał swojej ofierze dwanaście czy czternaście ciosów. Nie zgadza się to z jego charakterem. Absolutnie.

— Owszem — potwierdził w zadumie Bouc. — To był czyn człowieka niemal oszalałego ze straszliwej nienawiści. Bardziej wskazuje na temperament Latynosów. Lub sugeruje to, przy czym upiera się nasz chef de train, że zbrodni dokonała kobieta.

ROZDZIAŁ SIÓDMY ZWŁOKI

Poirot w towarzystwie doktora Constantine'a udał się do sąsiedniego wagonu, do przedziału, który zajmowała ofiara. Pojawił się konduktor, który otworzył im drzwi własnym kluczem.

Dwóch mężczyzn wkroczyło cło środka. Poirot pytająco odwrócił się do swojego towarzysza.

— Czy coś ruszано w przedziale?

— Niczego nie dotykano. Podczas oględzin starałem się nie przesunąć ciała.

Poirot kiwnął głową. Rozejrzył się. Od razu uderzyło go przenikliwe zimno. Okno otworzono do oporu i odsunięto roletę.

— Brrr... — wzdrygnął się Poirot.

Jego towarzysz uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Nie chciałem go zamykać — wyjaśnił.

Poirot starannie obejrzał okno.

— Ma pan rację — oświadczył. — Tą drogą nikt nie opuścił przedziału. Możliwe, że okno zostawiono otwarte, aby to właśnie zasugerować, ale skoro tak, śnieg pokrzyżował plany mordercy.

Pieczołowicie zbadał ramę okienną. Wyjąwszy z kieszeni małe pudełko, rozdmuchał odrobinę proszku.

— Żadnych odcisków palców — stwierdził. — Co oznacza, że je wytarto. Cóż, nawet gdyby były, niewiele moglibyśmy się z nich dowiedzieć. Należałyby do monsieur Ratchetta, jego kamerdynera albo do konduktora. W dzisiejszych czasach przestępcy nie popełniają takich błędów.

A skoro już przy tym jesteśmy — dodał pogodnie — to równie dobrze możemy to okno zamknąć. Bez wątplenia, tutaj jest lodownia!

Wprowadził słowa w czyn i po raz pierwszy skierował uwagę ku nieruchomej postaci, spoczywającej na skotłowanej pościeli.

Ratchett leżał na plecach. Kurtkę piżamy, przesiąkniętą rdzawymi plamami, miał rozpiętą, poły rozrzucone.

— Musiałem sprawdzić, jakie mu rany zadano — tłumaczył lekarz.

Poirot skinął głową. Pochylił się nad ciałem. Wreszcie wyprostował się, skrzywiwszy nieznacznie twarz.

— Nie wygląda to zbyt ładnie — stwierdził. — Ktoś musiał stanąć nad nim i raz po raz zadawać mu ciosy. Dokładnie, to ile jest tych ran?

— Ja doliczyłem się dwunastu. Jedna, dwie są do tego stopnia powierzchowne, że zdają się jedynie zadrażnieniami. Natomiast co najmniej trzy ciosy mogły być śmiertelne.

Jakaś nuta w głosie lekarza przyciągnęła uwagę Poirota. Ostro spojrzął na lekarza. Mały Grek stał nie spuszczać wzroku z ciała, zmarszczywszy w zdziwieniu brwi.

— Coś pana zdumiewa, tak? — spytał łagodnie detektyw. — Proszę powiedzieć, przyjacielu. Czy coś pana dziwi?

— Nie myli się pan — przyznał tamten.

— A cóż to takiego?

— Widzi pan te dwie rany... o, tu i tutaj — pokazał je. — Są głębokie, obie musiały przeciąć liczne naczynia krwionośne, a jednak ich krawędzie nie rozstały się.

Nie krwawiły więc tak, jak można by się tego spodziewać.

— Co wskazuje, że...

— Że kiedy mu je zadano, ten człowiek już nie żył, i to od jakiegoś czasu. Ależ to jest z całą pewnością niedorzeczne.

— Na to wygląda — zamyślił się Poirot. — Chyba że nasz morderca uznał, iż nie wykonał precyzyjnie swojej roboty, więc wrócił, żeby się całkiem upewnić. Ale to też jawna bzdura! Czy coś jeszcze?

— Cóż, może tylko jedno.

— Co takiego?

— — Widzi pan tę ranę pod prawą pachą, tuż koło ramienia? Proszę wziąć mój ołówek. Czy zdołałby pan zadać taki cios? Poirot uniósł dłoń.

— Précisément — stwierdził. — Rozumiem. Prawą ręką byłoby to niezmiernie trudne, prawie niewykonalne. W ten sposób uderzyć by mogła tylko osoba leworęczna. Lecz jeżeli ten cios zadano lewą ręką...

— Właśnie, monsieur Poirot. Ten cios z całą pewnością wymierzono z lewej strony.

— Więc nasz morderca jest mańkutem? Nic, to jeszcze bardziej skomplikowane, prawda?

— Sam pan to powiedział, monsieur Poirot. Niektóre rany bezsprzecznie zadała osoba praworęczna.

— Dwie osoby. Więc znów wracamy do dwóch osób — mruknął detektyw. Potem niespodziewanie spytał:

— Czy paliło się światło?

— Trudno powiedzieć. Pan wie, konduktor co rano wyłącza je koło dziesiątej.

— Sprawdźmy to na kontakcie — orzekł Poirot.

Zbadał wyłącznik górnego światła, a także lampki przy łóżku. Ten pierwszy był wyłączony, drugi również.

— Eh bien — zamyślił się Poirot. — Zakładamy więc hipotezę o Pierwszym i Drugim Mordercy, jak ujął to wielki Szekspir. Pierwszy Morderca zakłuł swoją ofiarę i opuścił przedział gasząc górne światło. Drugi Morderca nadciągnął w ciemnościach, nie zauważył roboty tamtego czy tamtej, i co najmniej dwukrotnie wymierzył ciosy w martwe już ciało. Que pensez vous de ça?

— Wspaniale — orzekł entuzjastycznie mały doktor. Poirot zamrugał oczami.

— Tak pan uważa? Bardzo mnie to cieszy. Gdyż wydawało mi się to nieco zbyt naciągane.

— Ale jakież może być inne wytłumaczenie?

— Takie właśnie pytanie i sobie zadaję. Czyżbyśmy mieli do czynienia ze z biegiem okoliczności? Czy są jakieś inne sprzeczności wskazujące na udział dwóch osób?

— Mogę chyba powiedzieć, że tak. Niektóre ciosy, jak już wspominałem, wskazują na osobę słabą, na brak siły bądź determinacji. Te rany są ledwie draśnięciem. Natomiast ta... i ta tutaj... — wskazał. — Aby je zadać, trzeba dysponować wielką siłą. One przebiły mięśnie.

— I, pana zdaniem, są dziełem mężczyzny?

— Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

— Nie mogła wymierzyć ich kobieta?

— Mogła, jeżeli była młoda, energiczna, wysportowana, a szczególnie gdy działała pod wpływem silnego wzburzenia. Według mnie jest to jednak wysoce nieprawdopodobne.

Poirot milczał dłuższą chwilę.

Jego towarzysz niespodziewanie zapytał:

— Czy pan pojmuje, o co mi chodzi?

— Doskonale — potwierdził Poirot. — Zagadki zaczynają się w cudowny sposób klarować! Morderca to mężczyzna dysponujący ogromną siłą, a przy tym słaby, był kobietą i zarazem osobą lewo- i praworęczną. Ach! C'est rigolo, tout ça!

I przemówił z nagłym gniewem:

— A ofiara?... Jak zachowywał się w tym wszystkim? Czy krzyknął? Walczył? Czy się bronił?

Wsunął dłoń pod poduszkę i wyciągnął stamtąd automatyczny pistolet. Ten sam, który Ratchell pokazał mu ubiegłego dnia.

— Proszę zobaczyć, pełny magazynek — stwierdził.

Rozejrzeli się wokół siebie. Na ścianie, na wieszakach, wisiało ubranie Ratchetta. Na małym stoliku, tworzącym wieko zakrywające umywalkę, stały najrozmaitsze przedmioty — sztuczna szczeka w szklance z wodą, druga szklanka pusta, butelka wody mineralnej, pokaźna „piersiówka”, popielniczka z niedopałkiem cygara, jakieś zwęglone strzępy papieru, a także dwie wypalone zapalki. Doktor podniósł pustą szklankę i powąchał ją.

— Oto wytłumaczenie inercji ofiary — powiedział cicho.

— Uśpiono go?

— Tak.

Poirot skinął głową. Wyjął z popielniczki obie zapalki i starannie je obejrzał.

— Czy one coś panu mówią? — dopytywał się mały lekarz.

— Mają różne kształty — wyjaśnił Poirot. — Jedna jest bardziej płaska. Widzi to pan?

— Takie można dostać w pociągu — powiedział doktor. — W tekturowym pudełeczku.

Poirot przejrzał kieszenie ubrań Ratchetta. Po chwili z jednej z nich wydobył pudełko zapalek. Porównał je starannie. — tę bardziej okrągłą wypalił Ratchett — stwierdził. — Sprawdźmy, czy nie miał i tych płaskich.

Dalsze poszukiwania nie przyniosły jednak rezultatów.

Poirot wodził po przedziale wzrokiem bystrym i przenikliwym jak u ptaka. Można było być pewnym, że nic nie umknie jego uwadze.

Ze stłumionym okrzykiem nachylił się, by podnieść coś z podłogi.

Był to mały kwadracik niezwykle wyszukanego batystu. W rogu wyhaftowano monogram: „H”.

— Damska chusteczka — orzekł lekarz. — — Nasz chef de train miał racje. W tym morderstwie maczała palce kobieta.

— I dla naszej wygody zgubiła chusteczkę? — parsknął Poirot. — Dokładnie tak, jak to się zdarza w powieściach czy na filmach. A żeby nam jeszcze bardziej ułatwić życie, chusteczkę oznaczono inicjałem.

— Jakież to dla nas szczęśliwy traf! — zachwycił się, doktor.

— Prawda? — spytał Poirot.

Ton jego głosu zdziwił Greka.

Lecz nim zdołał poprosić o wyjaśnienie, Poirot ponownie zanurkował.

Tym razem na wyciągniętej dłoni trzymał — wycior do fajki.

— Może to własność Hatchella? — zasugerował doktor.

W jego kieszeniach nie było ani fajki, ani tytoniu, ani kapciucha.

— A więc to ślad.

— O, bezsprzecznie. I tym razem uprzejmie pozostawiony. Proszę zauważyć, że teraz wskazuje na mężczyznę! W tej sprawie nie można narzekać na brak poszlak. Wręcz mamy ich nadmiar. A przy okazji, co panowie zrobiliście z narzędziem zbrodni?

— Nie było po nim nawet śladu. Morderca musiał je zabrać ze sobą.

— Ciekawe, dlaczego — zadumał się Poirot.

— Ach! — Lekarz ostrożnie badał zawartość kieszeni kurtki od piżamy zamordowanego.

— Przeoczyłem to — tłumaczył się. — Odpiąłem górę piżamy i rozsunąłem poły.

Z kieszeni na piersi wydobył złoty zegarek. z okrutnie powygniataną kopertą i wskazówkami zatrzymanymi na kwadransie po pierwszej.

— Widzi pan?! — krzyknął skwapliwie lekarz. — Oto mamy godzinę popełnienia morderstwa. Zgadza się z moimi obliczeniami. Mówiłem przecież, że dokonano go między północą a drugą nad ranem, najpewniej zaś koło pierwszej. Choć w takich sprawach trudno jest mieć absolutną pewność. Eh bien, a oto i potwierdzenie. Kwadrans po pierwszej. Godzina zbrodni.

— Tak, to możliwe. Oczywiście możliwe.

Lekarz popatrzył zdziwiony.

— Proszę mi wybaczyć, monsieur Poirot, ale niezupełnie rozumiem.

— Ja sam siebie nie rozumiem — powiedział Poirot. — Niczego nie pojmuję i, jak to pan może sam zauważył, nie daje mi to spokoju.

Westchnął i pochylił się nad stolikiem, badając zwęglony skrawek papieru. Mruknął pod nosem:

— W tej chwili potrzebne mi jest niemodne pudło na damskie kapelusze.

Doktor Constantine nie bardzo wiedział, jak wytłumaczyć sobie to osobliwe żądanie. Tak czy owak, Poirot nie dał mu czasu na pytania. Otworzywszy drzwi na korytarz, zawołał konduktora. Ten pojawił się w mgnieniu oka.

— Ile kobiet podróżuje w tym wagonie?

Konduktor policzył na palcach.

— Jedna, dwie, trzy... sześć, monsieur. Starszawa Amerykanka, Szwedka, młoda Angielka, hrabina Andrenyi i madame la princesse Dragomiroff z pokojówką.

Poirot zastanowił się.

— I wszystkie mają pudła na kapelusze, czyż tak?

— Tak, monsieur.

— Proszę więc przynieść mi... zaraz, zaraz... tak, pudło Szwedki i pokojówki. W nich dwóch nasza jedyna nadzieja. Proszę wytłumaczyć, że to w związku z przepisami celnymi, cokolwiek zresztą, co przyjdzie panu do głowy.

— Nie będzie żadnych trudności, monsieur. Ani jednej z tych kobiet nie ma w tej chwili w przedziałach.

— Proszę się więc pospieszyć.

Konduktor wybiegł. Wrócił z dwoma pudłami. Poirot otworzył należące do pokojówki i odsunął je na bok. Potem otworzył pudło Szwedki i wydał okrzyk zadowolenia. Usunąwszy ostrożnie kapelusze, odsłonił koliste wybrzuszenia drucianej siatki.

— Tego właśnie nam było trzeba. W ten sposób produkowano pudła na kapelusze piętnaście lat temu. Kapelusz przymocowuje się szpilkami do oczek siatki.

Mówiąc to, wprawnie odłączył dwa wiązania. Potem na powrót ułożył kapelusze w pudle i polecił konduktorowi odnieść je na miejsce.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zwrócił się do lekarza:

— Widzi pan, mój drogi doktorze, ja nie zaliczam się do osób, które polegają na ekspertyzie fachowców. Ja szukam śladów w psychologii, a nie w odciskach palców czy popiele z papierosów. Ale w tej kwestii z przyjemnością skorzystam z odrobiny naukowej pomocy. W przedziale jest mnóstwo śladów, lecz skąd mogę mieć pewność, iż są one rzeczywiście tym, czym się wydają?

— Nie całkiem pana rozumiem, monsieur Poirot.

— Cóż, żeby dać panu przykład: znaleźliśmy damską chusteczkę. Czy zgubiła ją kobieta? Czy może jakiś mężczyzna, popełniając morderstwo, pomyślał sobie: „Zrobię to tak, żeby wyglądało na zbrodnię dokonaną kobiecą ręką. Wymierzę swojemu wrogowi nadmierną ilość ciosów, niektóre słabe i powierzchowne, a potem podrzucę chusteczkę tak, by nic mogła ujść niczyjej uwagi”. To jedna z możliwości. Jest także i inna. Czy Ratchetta zabiła kobieta, która umyślnie zostawiła wycior do fajki, żeby wszystko to wyglądało na robotę mężczyzny? Czy może powinniśmy na serio założyć, że dwoje ludzi — mężczyzna i kobieta — każde z osobna jest w to zamieszane i że każde z nich było na tyle nieostrożne, by pozostawić ślad wskazujący na ich tożsamość? To trochę za wicie zbiegów okoliczności!

— Ale co z tym wszystkim ma wspólnego pudło na kapelusze? — dopytywał się wciąż zdumiony lekarz.

— Ach! Już do tego zmierzam. Jak mówiłem, te poszlaki, wskazówki zegarka na kwadrans po pierwszej, chusteczka, wycior do fajki mogą być albo prawdziwe, albo mają wyprowadzić nas na manowce. Tego jeszcze nie potrafię powiedzieć. Istnieje jednak jeden ślad, który, jak sądzę — choć i tutaj mogę się mylić — nie został spreparowany. Chodzi mi o tę płaską zapalną, monsieur le docteur. Uważam, że tej zapalniczki używał morderca, a nie Ratchett. Skorzystano z niej, by spalić jakiś kompromitujący kawałek papieru. Jeżeli tak, to w tym liście musiał kryć się jakiś błąd, jakaś pomyłka, która zostawiłaby wskazówkę co do tożsamości mordercy. A moim zamiarem jest podjęcie próby odtworzenia tego, co w tym liście było.

Wyszedł z przedziału i wrócił po chwili z małą kuchenką spirytusową oraz parą szczypczyków.

— Korzystam z nich przy pielęgnacji wąsów — wyjaśnił zastosowanie drugiego z przedmiotów. Lekarz obserwował go z najwyższym zainteresowaniem. Poirot odgiął dwa druciane oczka z pudła na kapelusze i z największą ostrożnością owinał jedno z nich strzępem spalonego papieru. Umocował drugim drucikiem i, chwyciwszy szczypczykami oba końce, przytrzymał papier nad płomieniem kuchenki spirytusowej.

Doktor nie spuszczał z niego oka. Metal począł się żarzyć. Nagle lekarz zobaczył blado zarysy liter. Powoli tworzyły się z nich słowa — pisane ogniem.

Skrawek papieru był mikroskopijny. Ukazały się tylko trzy słowa i fragment czwartego:

„...taj małą Daisy Armstrong”.

— Ach! — krzyknął ostro Poirot.

— Czy to coś panu mówi? — dopytywał się lekarz. Poirotowi rozbłyły oczy. Ostrożnie odłożył szczypczyki.

— Owszem — potwierdził. — Wiem, jak naprawdę nazywał się zmarły. I wiem, dlaczego musiał opuścić Amerykę.

— Jak brzmiało jego nazwisko?

— Cassetti.

— Cassetti. Constantine zmarszczył brwi. — Coś mi to przypomina. Coś sprzed kilku lat. Nie mogę sobie skojarzyć... Jakaś głośna historia w Ameryce, czyż tak?

— Zgadza się — potwierdził Poirot. — Pewna sprawa w Ameryce.

Niczego więcej jednak detektyw nie kwapił się wyjawić. Rozejrzał się dokoła i powiedział:

— Niebawem i do tego przejdziemy. Teraz upewnijmy się jeszcze, że nic nie przeoczyliśmy.

Szybko i wprawnie przetrząsnął po raz drugi kieszenie zmarłego, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Spróbował otworzyć drzwi łączące ten przedział z sąsiednim, te jednak były zaryglowane z drugiej strony.

— Jednego nie rozumiem odezwał się doktor Constantine. Jeżeli morderca nie uciekł przez okno, jeżeli te drzwi zamknięto od tamtej strony, a na dodatek drzwi wiodące na korytarz zamknięto nie tylko od wewnątrz, ale jeszcze zabezpieczono łańcuchem, to w jaki sposób morderca opuścił przedział?

— To właśnie jest to, co mówi publiczność, kiedy osoba ze spętanymi rękami i nogami, zamknięta w skrzyni, znika...

— Pan myśli...

— Myślę — powiedział Poirot — że jeżeli morderca chciał, byśmy uwierzyli, że wyszedł oknem, dopatrywał, aby wyglądało na to, iż ucieczka dwoma innymi wyjściami była niemożliwa. Jak w przypadku owego „znikającego ze skrzyni człowieka”... To sztuczka. Naszym zadaniem jest dowiedzieć się, na czym ona polega.

Zaryglował wewnętrzne drzwi od środka.

— To na wypadek — wyjaśnił — gdyby naszej prześwietnej pani Hubbard strzeliło do głowy uzyskać z pierwszej ręki szczegóły na temat zbrodni dla opisanie ich córce.

Raz jeszcze rozejrzał się dokoła.

— Myślę, że nie mamy już tutaj nic więcej do roboty. Wracajmy do monsieur Bouca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

SPRAWA PORWANIA W RODZINIE ARMSTRONGÓW

Monsieur Bouca zastali w chwili, gdy właśnie kończył omlet.

— Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast podadzą lunch w wagonie restauracyjnym — wyjaśnił. — Potem się posprząta i Poirot poprowadzi tam przesłuchania pasażerów. Tymczasem zarządziłem, by dla nas trzech posiłek przyniesiono tutaj.

— Znakomity pomysł — pochwalił Poirot. Ponieważ żaden z nich nie miał apetytu, lunch szybko skończono. Dopiero przy kawie monsieur Bouc poruszył temat, który zaprzętał im głowy.

— Eh bien? — spytał.

— Ech bien, odkryłem tożsamość ofiary. I wiem, dlaczego musiał uciekać z Ameryki.

— Kim był?

— Czy pamiętasz głośną sprawę porwania dziecka Armstrongów? To człowiek, który zamordował małą Daisy Armstrong — Cassetti.

— Teraz sobie przypominam. Wstrząsająca historia, chociaż nie pamiętam szczegółów.

— Pułkownik Armstrong pochodził z Anglii, był odznaczony Krzyżem Victorii. W połowie Amerykanin, jego matka to córka W.K. Van Der Halta, milionera z Wall Street. Poślubił córkę Lindy Arden, w swoim czasie najsylniejszej tragiczki amerykańskiej. Zamieszkali w Ameryce i mieli jedno dziecko, córeczkę, którą uwielbiali. Gdy miała trzy latka, porwano ją, a jako okupu zażądano astronomicznej sumy. Nie będę was nudził wszystkimi zawiłościami tej sprawy. Przejdę do chwili, kiedy po zapłaceniu dwustu tysięcy dolarów odnaleziono zwłoki dziecka, martwego już co najmniej od dwóch tygodni. Nastroje w społeczeństwie rozgrzane były aż do białości. Ale najgorsze miało jeszcze nastąpić. Pani Armstrong spodziewała się drugiego dziecka. Po szoku wywołanym znalezieniem zwłok, przedwcześnie urodziła martwe dziecko, sama przy tym tracąc życie. Zrozpaczony do nieprzytomności, jej mąż zastrzelił się.

— Mon Dieu, co za tragedia! Teraz sobie wszystko przypominam — powiedział monsieur Bouc. — Ktoś jeszcze tam umarł, prawda?

— Owszem, nieszczęsna francuska czy szwajcarska niania. Policja była przekonana, że ona wiedziała coś na temat zbrodni. Nie chcieli dać wiary jej historycznym zaprzeczeniom. Wreszcie, ogarnięta rozpaczą, biedna dziewczyna popełniła samobójstwo wyskakując oknem. Później znaleziono dowody na to, że była absolutnie niewinna i nie zamieszana w zbrodnię.

— Aż; strach tego słuchać — wzdrygnął się monsieur Bouc.

— Jakies pół roku potem aresztowano Cassettiego jako przywódcę bandy, która porwała dziecko. Już w przeszłości banda ta stosowała podobne metody. Jeżeli ogarniała ich panika, że policja może wpaść na ich trop, mordowali swojego więźnia, ukrywali jego ciało i do czasu wykrycia zbrodni wyciągali pieniędzy, ile się dało.

Chcę, żeby stało się to całkiem jasne dla ciebie, mój przyjacielu. Tym człowiekiem był Cassetti! Lecz za pomocą ogromnego majątku, jaki zgromadził, i dlatego, że sporo wiedział o sekretach najrozmaitszych osób, uniewinniono go na podstawie jakiegoś proceduralnego niedopatrzania. Niemniej, groził mu samosąd ze strony społeczeństwa, ale on był na tyle sprytny, że się wymknął. Teraz już doskonale rozumiem, co się stało. Zmienił nazwisko i wyjechał z Ameryki. Od tamtej pory stał się wytwornym dżentelmenem, podróżującym za granicą i żyjącym z rentes.

— Ah! Quel animal! — Głos monsieur Bouca aż ociekał płynącym z głębi serca obrzydzeniem. — Wcale nie żałuję, że zginął, o nie!

— Zgadza się z tobą.

— Tout de m?me, nie musiano go jednak mordować właśnie w Orient Expressie. Jest przecież tyle innych miejsc.

Poirot uśmiechnął się dyskretnie. Rozumiał uprzedzenia monsieur Bouca w tej kwestii.

— Pytanie, które teraz musimy sobie zadać, brzmi: czy to morderstwo jest dziełem jakiegoś gangu rywalizującego z Cassetim, który w przeszłości został przez niego wyprowadzony w pole, czy jest to może akt osobistej zemsty?

I opowiedział, co odkrył na zwęglonym skrawku papieru.

— Jeżeli moje przypuszczenia nie są błędne, to list ten spalił morderca. Dlaczego? Gdyż widniało na nim nazwisko „Armstrong”, które jest kluczem do całej tej zagadki.

— Czy są jeszcze jacyś żyjący członkowie rodziny Armstrongów?

— Tego, niestety, nie wiem. Kiedyś chyba czytałem coś o młodszej siostrze pani Armstrong.

Poirot przystąpił do relacjonowania wspólnych wniosków, jakie wyciągnęli z doktorem Constantine'em. Monsieur Bouc rozpromienił się na wieść o potłuczonym zegarku.

— To, zdaje się, określa nam dokładny czas popełnienia zbrodni.

— Owszem — powiedział Poirot. — Jakże to dla nas wygodne.

W jego głosie zadźwięczała jakaś dziwna nuta, która sprawiła, że pozostali dwaj panowie popatrzyli na detektywa ze zdumieniem.

— Potwierdziłeś, że na własne uszy słyszałeś głos Ratchetta rozmawiającego z konduktorem za dwadzieścia pierwsza?

Poirot opowiedział, co się wtedy zdarzyło.

— Cóż — stwierdził monsieur Bouc — dowodzi to przynajmniej, że Casseti czy Ratchett, tak go będę w dalszym ciągu nazywał, z całą pewnością żył za dwadzieścia pierwsza.

— Za dwadzieścia trzy pierwsza, żeby być precyzyjnym.

— Więc ujmijmy to formalnie, że za dwadzieścia trzy pierwsza monsieur Ratchett żył. To przynajmniej wiemy na pewno.

Poirot milczał. Siedział, patrząc przed siebie zadumanym wzrokiem.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł kelner.

— Wagon restauracyjny jest już wolny, monsieur — oznajmił.

— Chodźmy więc tam — powiedział Bouc wstając.

— Czy mogę panom towarzyszyć? — spytał Constantine.

— Oczywiście, mój drogi doktorze. Chyba że monsieur Poirot ma coś przeciwko temu?

— Ależ nie, skądże znowu — odezwał się Poirot. Po wymianie stosownych uprzejmości: „Apr?s vous, monsieur”, „Mais non, apr?s vous”, opuścili przedział.

II ZEZNAANIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY ZEZNANIE KONDUKTORA WAGON LIT

W wagonie restauracyjnym wszystko już było przygotowane.

Poirot i monsieur Bouc usiedli razem po jednej stronie stolika. Doktor po przeciwnej stronie wagonu.

Przed Poirotem, na stole, leżał rozkład salonki Istambuł–Calais z wypisanymi czerwonym atramentem nazwiskami pasażerów.

Z jednej strony blatu piętrzył się plik paszportów i biletów. Oraz papier, pióro i ołówek.

— Doskonale — pochwalił Poirot. — Bez większego trudu możemy otworzyć posiedzenie naszej Komisji Śledczej. Uważam, że na początek powinniśmy wysłuchać zeznań konduktora tego wagonu. Ty prawdopodobnie wiesz coś o tym człowieku? Jaki ma charakter? Czy zalicza się do osób, którym mógłbyś zaufać?

— Owszem, z całą pewnością. Pierre Michel pracuje dla naszej kompanii od ponad piętnastu lat. Jest Francuzem, mieszka w okolicach Calais. Bezsprzecznie godny szacunku i uczciwy. Choć może nie najbystrzejszy.

Poirot ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Świetnie — powiedział. — Porozmawiajmy więc z nim.

Pierre Michel odzyskał nieco równowagi, lecz wciąż był szalenie zdenerwowany. — Mam nadzieję, iż monsieur nie uważa, że doszło do jakiegoś niedopatrzania z mojej strony — odezwał się niespokojnie, wodząc wzrokiem od Poirota do Bouca. — To okropne, co się zdarzyło. Mam nadzieję, że monsieur nie sądzi, iż mnie to w jakiś sposób obciąża?

Rozproszywszy jego obawy, Poirot przystąpił do zadawania pytań. Najpierw imię i nazwisko, długość służby Michela i od jak dawna jeździ na tej właśnie trasie. Znał już te szczegóły, ale takie rutynowe pytania miały na celu uspokojenie konduktora.

— A teraz — ciągnął Poirot — przejdźmy do wypadków ubiegłej nocy. O której monsieur Ratchett udał się na spoczynek?

— Niemal natychmiast po kolacji, monsieur. Jeszcze nim wyjechaliśmy z Belgradu, ściśle mówiąc. Podobnie uczynił i przedwczoraj. Polecił mi posłać łóżko w czasie, kiedy jadł posiłek. I tak uczyniłem.

— Czy później ktoś zachodził do jego przedziału?

— Kamerdyner, monsieur, i młody dżentelmen z Ameryki, jego sekretarz.

— Nikt więcej?

— Nie, monsieur, albo nic mi o tym nie wiadomo.

— Dobrze. I wtedy widział pan go i rozmawiał z nim po raz ostatni?

— Nie, monsieur. Pan pewnie zapomniał, ale on dzwonił na mnie za dwadzieścia pierwsza, wkrótce potem, jak pociąg stanął w zaspach.

— Co się dokładnie zdarzyło?

— Zapukałem do drzwi, ale on zawołał, że się omylił.

— Po angielsku czy po francusku?

— Po francusku.

— Proszę dokładnie powtórzyć jego słowa.

— „Ce nest rien. Je me suis trompe”.

— Zgadza się — powiedział Poirot. — To właśnie i ja usłyszałem. A potem pan odszedł?

— Tak, monsieur.

— Czy wrócił pan na swoje miejsce?

— Nie, monsieur. Najpierw poszedłem odpowiedzieć na kolejny dzwonek, który właśnie zabrzączał.

— A teraz, Michel, chcę zadać panu ważne pytanie. Gdzie pan był kwadrans po pierwszej?

— Ja, monsieur? Siedziałem na swoim krzeselku, na końcu, zwrócony twarzą do wagonu.

— Jest pan tego pewny?

— Mais oui... chociaż...

— Tak?

— Zjrzałem do sąsiedniej salonki, tej z Aten, pogawędzić z pracującym tam kolegą. Rozmawialiśmy o śniegu. To było jakoś tuż po pierwszej. Nie potrafię dokładnie określić kiedy.

— A o której pan wrócił?

— Zabrzączał jeden z dzwoneków, monsieur, mówiłem już panu. Dzwoniła ta Amerykanka. Kilkakrotnie naciskała dzwonek.

— Przypominam sobie — powiedział Poirot. — A co potem?

— Potem? Odpowiedziałem na pański dzwonek i przyniosłem panu wodę mineralną. Następnie, jakieś pół godziny później, posłałem łóżko w przedziale zajmowanym przez młodego dżentelmena z Ameryki, sekretarza pana Ratchetta.

— Czy kiedy poszedł pan ślać łóżko, MacQueen był sam w przedziale?

— Bawił u niego angielski pułkownik z numeru 15. Gawędzili.

— Co zrobił pułkownik po rozstaniu z MacQueenem?

— Wrócił do swojego przedziału.

— Numer 15. Całkiem niedaleko pańskiego krzeselka, prawda?

— Zgadza się, monsieur. Drugi przedział od końca po tej stronie korytarza.

— Czy jego łóżko było już rozesłane?

— Owszem, monsieur. Zrobiłem to wtedy, kiedy jadł kolację.

— O której to było?

— Nie potrafię dokładnie powiedzieć. Ale z pewnością nie później niż o drugiej.

— I co potem?

— Potem aż do rana przesiedziałem na swoim krzeselku.

— Nie zachodził pan raz jeszcze do wagonu z Aten?

— Nie, monsieur.

— A może pan przysnął?

— Nie sędzę, monsieur. Kiedy pociąg stoi, nie potrafię uciąć sobie drzemki.

— Czy widział pan może, jak któryś z pasażerów kręcił się po korytarzu?

Konduktor zastanowił się.

— Jedna z kobiet szła chyba do toalety po przeciwnej stronie korytarza.

— Która?

— Nie wiem, monsieur. To było daleko, a ona była zwrócona do mnie plecami. Miała na sobie szkarłatne kimono w smoki.

Poirot kiwnął głową.

— I co dalej?

— Nic, monsieur, aż do rana.

— Jest pan pewny?

— Ah, pardon, przecież pan sam, monsieur, otworzył drzwi i wyjrzał na chwilę.

— Świetnie, przyjacielu — powiedział Poirot. — Byłem ciekaw, czy pan to zauważył. A tak przy okazji, obudziło mnie stuknięcie, jakby coś ciężkiego obilo się o moje drzwi. Czy pan nie domyśla się, co to mogło być?

Konduktor wlepił w niego oczy.

— Przecież nic takiego nie było, monsieur. Nie, jestem o tym przekonany.

— Wobec tego musiałem śnić cauchemar — stwierdził Poirot filozoficznie.

— Chyba że — wtrącił Bouc — usłyszałeś jakiś hałas z sąsiedniego przedziału.

Poirot nie skomentował jego przypuszczenia. Może nie chciał tego robić w obecności konduktora.

— Zajmijmy się następną kwestią — powiedział. — Załóżmy, że wczorajszej nocy do pociągu wtargnął zabójca. Czy możemy mieć absolutną pewność, że nie opuścił go po dokonaniu zbrodni?

Pierre Michel potrząsnął głową.

— A wcześniej nie mógł się gdzieś ukryć?

— Wszystko zostało starannie przeszukane — odezwał się monsieur Bouc. — Zapomnij o takiej możliwości, przyjacielu.

— Poza tym — dodał Michel — nikt nie może dostać się do wagonu sypialnego tak, żebym o tym nie wiedział.

— Jaka była ostatnia stacja?

— Vincovci.

— O której tam byliśmy?

— Powinniśmy byli wyjechać stamtąd o 11.58. Ale z powodu pogody mieliśmy dwadzieścia minut opóźnienia.

— Czy ktoś mógł przejść ze zwykłej części pociągu? — Nie, monsieur. Po podaniu kolacji drzwi łączące wagon sypialny ze zwykłym są zamknięte.

— Czy pan wysiadł z pociągu w Vincovci? — Owszem, monsieur. Jak zwykle zszedłem na peron i stanąłem przy stopniach wagonu. Reszta konduktorów uczyniła to samo.

— A co z drzwiami na przedzie? Tymi przy wagonie restauracyjnym?

— Zawsze są zamknięte od wewnątrz.

— A jednak teraz nie.

Konduktor popatrzył zdziwiony, potem twarz jego rozjaśniła się.

— Bez wątpienia otworzył je któryś z pasażerów, by powyglądać na zasy.

— Najprawdopodobniej — zgodził się Poirot. Przez chwilę w zamyśleniu stukał w blat stołu.

— Monsieur mnie chyba o nic nie obwinia? — spytał nieśmiało konduktor.

Poirot uśmiechnął się do niego życzliwie.

— Miałeś po prostu pecha, przyjacielu — powiedział. — Ach! Jeszcze jedno, póki o tym pamiętam. Mówił pan, że pukając do drzwi Ratchetta usłyszał pan drugi dzwonek. Prawdę mówiąc, ja także go słyszałem. Kto dzwonił?

— Madame la princesse Dragomiroff. Chciała wezwać swoją pokojówkę.

Poirot uważnie studiował leżący przed nim plan wagonu. Potem nachylił głowę.

— Na razie — odezwał się — to wszystko.

— Dziękuję, monsieur.

Konduktor wstał. Spojrzał na Bouca.

— Proszę się uspokoić — przemówił ten ostatni serdecznie. — Nie mogę dopatrzeć się z pańskiej strony najmniejszego zaniedbania.

Uszczęśliwiony Pierre Michel opuścił przedział.

ROZDZIAŁ DRUGI

ZEZNANIE SEKRETARZA

Dłuższą chwilę Poirot siedział zatopiony w myślach.

— Sądzę — odezwał się wreszcie — że w świetle tego, co już wiemy, dobrze byłoby zamienić jeszcze słówko z monsieur MacQueenem.

Młody Amerykanin stawiał się natychmiast.

— Cóż — spytał — jak się sprawy mają?

— Nie tak źle. Od czasu ostatniej naszej rozmowy coś niecoś odkryłem. Tożsamość Ratchetta.

Hector MacQueen zaciekawiony pochylił się do przodu.

— Słucham? — dopytywał się.

— Zgodnie z pana podejrzeniami Ratchett to fałszywe nazwisko. Ratchett to Cassetti. Człowiek odpowiedzialny za dokonanie głośnych porwań, w tym słynnej historii z małą Daisy Armstrong.

Po twarzy MacQueena przemknął wyraz zdumienia, potem spochmurniał.

— Przeklęty skunks! — krzyknął.

— Pan nie miał o tym pojęcia, panie MacQueen?

— Nie, proszę pana — odpowiedział stanowczo młody Amerykanin. — Gdybym wiedział, to prędzej dałbym sobie obciąć prawą rękę, niż wykonywał nią pracę jego sekretarza!

— Zajmuje pan tak zdecydowane stanowisko w tej sprawie, panie MacQueen?

— Bo i mam po temu szczególny powód. Mój ojciec był sędzią okręgowym, który się tą sprawą zajmował, panie Poirot. Kilkakrotnie widziałem panią Armstrong — to była urocza kobieta. Tak delikatna, a złamano jej serce. — Twarz mu pociemniała. — Jeżeli kiedykolwiek ktoś dostał to, na co sobie zasłużył, to tym człowiekiem jest Ratchett czy Cassetti. Cieszę się, że tak skończył. Taki człowiek nie miał prawa żyć!

— Pan zdradza takie emocje jakby własnoręcznie chciał spełnić ten dobry uczynek.

— Owszem. Ja... — umilkł, potem w poczuciu winy zaczerwienił się. — Zdaje się, że się pogrążam.

— Bardziej skłamałbym się do podejrzeń wobec pana, panie MacQueen, gdyby okazywał pan przesadny żal z powodu zgonu pańskiego chlebodawcy.

— Nie myślę, abym mógł się tak zachowywać nawet za cenę uniknięcia krzesła elektrycznego — oświadczył zawzięcie MacQueen.

Potem dodał:

— Jeżeli nie będzie to nadmiernym wścibstwem, to w jaki sposób pan do tego doszedł? To znaczy, kim naprawdę był Cassetti?

— Ze strzępu listu znalezionego w jego przedziale.

— Ależ przecież... myślę, że była to wielka nieostrożność ze strony starego.

— To zależy — wyjaśnił Poirot — od punktu widzenia.

Zdawało się, że jego uwaga zbiła nieco młodzieńca z tropu. Wlepił w detektywa oczy, jakby usiłował zrozumieć, o czym tamten mówi.

— Moim zadaniem — powiedział Poirot — jest stwierdzenie, co robili wszyscy pasażerowie tego pociągu. Rozumie pan, że nie chcę nikogo tym obwiniać. To po prostu rutynowe postępowanie.

— Oczywiście. Proszę więc pytać i pozwolić mi oczyścić, jeżeli zdołam, własną osobę z zarzutów.

— Oczywiście nie muszę pytać pana o numer pańskiego przedziału — uśmiechnął się Poirot — skoro dzieliłem go z panem przez jedną noc. To przedział drugiej klasy o łóżkach 6 i 7. Po mojej wyprowadzce miał go pan do swojej wyłącznej dyspozycji.

— Zgadza się.

— A teraz, panie MacQueen, prosiłbym pana, by mi pan opisał, co pan robił ubiegłej nocy od chwili opuszczenia wagonu restauracyjnego.

— To całkiem proste. Wróciłem do przedziału, poczytałem trochę, w Belgradzie wysiadłem na peron, uznałem, że jest za zimno, więc wsiadłem z powrotem. Przez chwilę rozmawiałem z młodą Angielką, która jedzie w sąsiednim przedziale. Potem pograżyłem się w dyskusji z tym Anglikiem, pułkownikiem Arbuthnotem. Jeżeli chodzi o ścisłość, to chyba pan przeszedł koło nas, jak rozmawialiśmy. Potem zaszedłem do pana Ratchetta i, jak już panu wspominałem, porobiłem notatki dotyczące korespondencji, jaką miałem w jego imieniu napisać. Życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem. Pułkownik Arbuthnot stał jeszcze na korytarzu. Ponieważ w jego przedziale posłano już do spania, zaprosiłem go do siebie. Zamówiłem coś do picia i dyskutowaliśmy na temat światowej polityki, rządu w Indiach, o naszych amerykańskich kłopotach finansowych i krachu na Wall Street. Zwykle nie zaprzyjaźniam się z Brytyjczykami, to zbyt uparta nacja, ale ten jeden Anglik przypadł mi do gustu.

— Czy przypomina pan sobie, o której od pana wyszedł?

— Dość późno. Musiało być chyba koło drugiej.

— Czy zauważyliście, że pociąg się zatrzymał?

— O, tak. Zdziwiliśmy się trochę. Wyjrzeliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy zasypane śnieżne, ale nie podejrzewaliśmy, że to coś poważnego. — Co działo się potem, jak pułkownik Arbuthnot ostatecznie się z panem pożegnał?

— Wrócił do swojego przedziału, a ja wezwałem konduktora, żeby mi posłał łóżko.

— A co pan robił w tym czasie?

— Stałem na korytarzu tuż za drzwiami i paliłem papierosa.

— A potem?

— Potem się położyłem i przespałem aż do rana.

— Czy wieczorem wcale pan nie wychodził z pociągu?

— Chcieliśmy z Arbuthnotem wysiąść w — jakże się ta miejscowość nazywa? W Vincovci, aby rozprostować nogi. Ale było piekielnie zimno i padał śnieg. Więc szybko zrezygnowaliśmy.

— Którymi drzwiami wysiadaliście z pociągu?

— Najbliższymi od mojego przedziału.

— Obok wagonu restauracyjnego?

— Tak.

— Nie pamięta pan, czy były zamknięte?

MacQueen zastanowił się.

— Cóż, wydaje mi się, że chyba były. A przynajmniej jakaś zasuwka blokowała klamkę. Czy o to panu chodziło?

— Tak. A wracając do wagonu, czy umocowaliście tę zasuwkę na nowo?

— Hm, nie, wydaje mi się, że nie. Ja wsiadłem drugi. Nie, raczej sobie nie przypominam, bym to zrobił.

I niespodziewanie zapytał:

— Czy to aż takie ważne?

— Może. Jeszcze jedno. Przypuszczam, monsieur, że kiedy pan gawędził z pułkownikiem Arbuthnotem, drzwi na korytarz od pańskiego przedziału były otwarte.

Hector MacQueen potaknął.

— Pragnąłbym, jeżeli pan potrafi, by mi pan opowiedział, czy ktoś przechodził korytarzem od chwili, w której pociąg opuścił Vincovci, do czasu, gdy pan się położył do łóżka?

MacQueen zmarszczył brwi.

— Raz chyba przeszedł konduktor, wracający od strony wagonu restauracyjnego. A w przeciwnym kierunku jakaś kobieta.

— Która?

— Nie umiem powiedzieć. Nie zwróciłem na nią baczniejszej uwagi. Widzi pan, właśnie spierałem się o coś z Arbuthnotem. Pamiętam tylko, jak za drzwiami mignął mi szkarłatny jedwab. Nie patrzyłem, ale i tak nie zobaczyłbym twarzy tej osoby. Jak pan wie, mój przedział wychodzi na

wagon restauracyjny, jest na samym końcu, toteż kobieta idąca w tamtym kierunku korytarzem, minąwszy mnie, była zwrócona plecami.

Poirot kiwnął głową.

— Szła do toalety, jak przypuszczam.

— Chyba tak.

— A czy widział pan, jak wracała?

— Cóż, teraz, jak pan o to pyta, chyba nie zauważyłem, ale myślę, że musiała wrócić.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy pali pan fajkę, monsieur MacQueen?

— Nie, sir, nie palę.

Poirot milczał chwilę.

— Na razie to chyba wszystko. Chciałbym teraz porozmawiać z kamerdynerem pana Ratchetta.

Przy okazji, czy pan i on zawsze podróżujecie drugą klasą?

— On tak. Ja zwykle jeździłem pierwszą, jeżeli to było możliwe, w przedziale sąsiadującym z panem Ratchettem. W takich układach trzymał on u mnie większość bagażu i kiedy miał potrzebę, mógł do niego sięgnąć, jak również mnie zawołać. Ale tym razem wszystkie miejsca sypialne w pierwszej klasie były już zarezerwowane, prócz tego jednego, które on zajął.

— Rozumiem, dziękuję panu, panie MacQueen.

ROZDZIAŁ TRZECI

ZEZNANIE KAMERDYNERA

Miejsce Amerykanina zajął blady Anglik o nieruchomej twarzy, ten, na którego Poirot zwrócił już uwagę ubiegłego dnia. Stał w pełnej uszanowania pozie. Poirot gestem dłoni nakazał mu usiąść.

— Jak rozumiem, pan jest kamerdynerem monsieur Ratchetta.

— Tak, sir.

— Pańskie nazwisko?

— Edward Henry Masterman.

— Wiek?

— Trzydzieści dziewięć lat.

— Pański prywatny adres?

— 21 Friar Street, Clerkenwell.

— Słyszał pan już, że pańskiego chlebodawcę zamordowano?

— Tak, sir. Ze wszech miar straszne wydarzenie.

— Proszę mi powiedzieć, o której godzinie widział pan Ratchetta po raz ostatni?

Kamerdyner zastanowił się.

— Musiało to być około dziewiątej wczorajszego wieczoru. Może odrobinę wcześniej lub później.

— Proszę opowiedzieć mi dokładnie, co się wtedy działo.

— Jak zwykle udałem się do pana Ratchetta, sir, i robiłem to, co mi polecił.

— Na czym właściwie polegały pana obowiązki? — Składałem lub odwieszałem jego ubranie, sir. Wkładałem jego sztuczną szczękę do szklanki z wodą i sprawdzałem, czy ma na noc wszystko, czego potrzebował.

— Czy zachowywał się tak jak zawsze? Kamerdyner zawahał się chwilę.

— Cóż, sir, myślę, że był zaniepokojony.

— Czym zaniepokojony?

— Listem, który właśnie przeczytał. Spytał mnie, czy to ja podrzuciłem go do przedziału. Oczywiście wyjaśniłem, że nigdy nie ośmieliłbym się czegoś takiego uczynić, ale on wyklinał mnie i ganił wszystko, co zrobiłem.

— Czy było w tym coś dziwnego?

— Och, skąd, sir. On łatwo tracił nad sobą panowanie. Jak już mówiłem, po prostu zależało to od przyczyny jego irytacji.

— Czy pański chlebodawca zawsze używał środków nasennych?

Doktor Constantine wychylił się lekko do przodu.

— Zawsze, kiedy podróżował pociągiem, sir. Mówił, że inaczej nie mógłby zasnąć.

— Czy panu wiadomo, jakie lekarstwo miał zwyczaj zażywać?

— Nie mógłbym twierdzić, że wiem na pewno, sir. Na flakoniku nie było nazwy. Tylko napis: „Mikstura na sen. Zażyć przed położeniem się do łóżka”.

— Czy ubiegłej nocy łyknął lekarstwo?

— Tak, sir. Nalałem je do szklanki i ustawiłem pod ręką na stoliku.

— Więc tak naprawdę to pan nie widział, czy je wypił?

— Nie, sir.

— Co wydarzyło się potem?

— Spytałem, czy będę jeszcze potrzebny i o której pan Ratchett chce, bym go rano obudził. Odparł, że nie życzy sobie, by go niepokojono, póki sam mnie nie wezwie.

— Czy takie żądanie było niezwykłe?

— Całkiem naturalne, sir. Miał zwyczaj dzwonić na konduktora i posyłać go po mnie, kiedy już chciał wstawać.

- Zazwyczaj wstawał wcześniej czy późno?
- To zależało od jego humoru, sir. Czasami wstawał już na śniadanie, a czasami dopiero na lunch.
- Więc nie był pan zaniepokojony, kiedy minął ranek, a pana nie wezwano?
- Nie, sir.
- Czy wiedział pan, że pański chlebodawca miał wrogów?
- Tak, sir.
- Kamerdyner odpowiadał pozbawionym emocji głosem.
- A skąd pan o tym wiedział?
- Słyszałem, jak rozmawiał z panem MacQueenem o pewnych listach, sir.
- Czy był pan przywiązany do swojego chlebodawcy, Masterman?
- Twarz Mastermana, o ile to możliwe, przybrała jeszcze bardziej nieprzenikniony wyraz.
- Tego nie mógłbym powiedzieć, sir. Był szczodrym chlebodawcą.
- Ale pan go nie lubił?
- Ujmijmy to może w ten sposób: Amerykanie nigdy mnie specjalnie nie obchodzili.
- Czy był pan kiedyś w Ameryce?
- Nie, sir.
- Czy może pamięta pan z gazet sprawę porwania w rodzinie Armstrongów? Policzki mężczyzny nieznacznie się zaróżowiły.
- Rzeczywiście, pamiętani, sir. Mała dziewczynka, prawda? Wstrząsająca historia.
- Czy było panu wiadomo, że pański pracodawca, Ratchett, to główny sprawca tego porwania?
- Nie, skądże, sir. — Po raz pierwszy w głosie kamerdynera dały się słyszeć gorętsze tony i emocje. — Wprost nie potrafię w to uwierzyć, sir.
- A jednak, to prawda. Przejdźmy teraz do tego, co pan robił ubiegłej nocy. Rozumie pan, to proceduralne postępowanie. Co robił pan po rozstaniu się z chlebodawcą?
- Przekazałem panu MacQueenowi, że pryncypał go wzywa. Potem udałem się do swojego przedziału i czytałem.
- Pański przedział to...?
- Ostatni drugiej klasy, sir. Tuż obok wagonu restauracyjnego.
- Poirot popatrzył na plan.
- A, tak. Które łóżko pan zajmuje?
- Dolne, sir.
- To znaczy numer 4?
- Zgadza się, sir.
- Czy jeszcze ktoś zajmuje ten przedział?
- Tak, sir. Postawny Włoch.
- Mówi po angielsku?
- Cóż, swoistą angielszczyzną. — Głos kamerdynera wyrażał dezaprobatę. — Z tego, co zrozumiałem, mieszka on w Ameryce, w Chicago.
- Rozmawialiście ze sobą?
- Nie, sir. Ja wolę poczytać.
- Poirot uśmiechnął się. Mógł sobie wyobrazić tę scenę. Wielki, gadatliwy Włoch i ostra odprawa ze strony dżentelmena pracującego dla dżentelmena.
- A jeśli wolno spytać, to co pan czytał? — zaciekał się detektyw.
- Obecnie, sir, czytam Niewolnicę miłości pióra Arabelli Richardson.
- Dobra powieść?
- Mnie się ogromnie podoba, sir.
- Cóż, wracajmy do naszej sprawy. Poszedł pan do przedziału i czytał Niewolnicą miłości. Do której?

— Do około wpół do jedenastej, sir. Ten Włoch chciał się położyć, więc przyszedł konduktor i rozesał łóżka.

— I wtedy pan zasnął?

— Położyłem się do łóżka, sir, ale nie spałem.

— Dlaczego?

— Dokuczał mi ząb, sir.

— O I?, I?. To bolesne.

— Ogromnie bolesne, sir.

— Czy pan coś na to zażył?

— Przyłożyłem odrobinę olejku goździkowego, sir, co trochę złagodziło ból. Jednak dalej nie byłem w stanie zasnąć. Zapaliłem więc nocną lampkę nad głową i wróciłem do czytania, aby odciągnąć uwagę w inną stronę.

— Więc wcale nie zmrużył pan oka?

— Owszem, sir. Zasnąłem koło czwartej nad ranem.

— A pański współpasażer?

— Ten Włoch? Och, on po prostu chrapał.

— I całą noc nie wychodził z przedziału?

— Nie, sir.

— A pan?

— Także nie, sir.

— Czy słyszał pan w nocy jakieś hałasy?

— Chyba nie, sir. To znaczy nic niezwykłego. Pociąg stał, więc było bardzo cicho.

Poirot przez chwilę siedział w milczeniu, potem odezwał się:

— Cóż, sądzę, że niewiele jest już do dodania. Nie potrafi pan rzucić więcej światła na tę tragedię?

— Obawiam się, że nie. Przykro mi, sir.

— Czy może wiadomo panu o jakiejś kłótni czy nieporozumieniach między pańskim pracodawcą o monsieur MacQueenem?

— O, nie, sir. Pan MacQueen to bardzo sympatyczny dżentelmen.

— Gdzie służył pan przed podjęciem pracy u monsieur Ratchetta?

— U sir Henry'ego Thompsona, na Grosvenor Square.

— Dlaczego go pan opuścił?

— Gdyż wyjeżdżał on do Afryki Wschodniej, sir. I nie potrzebował już moich usług. Ale jestem pewien, że wyda mi dobre referencje, sir. Przepracowałem u niego kilka lat.

— A jak długo u monsieur Ratchetta?

— Zaledwie nieco ponad dziewięć miesięcy, sir.

— Dziękuję panu, Masterman. A tak przy okazji, czy pali pan fajkę?

— Nie, sir. Tylko papierosy, skręty, sir.

— Dziękuję, to wszystko.

Poirot odprawił go skinieniem głowy. Kamerdyner ociągał się z odejściem.

— Proszę mi wybaczyć, sir, ale ta podstarzała dama z Ameryki jest, jakby to powiedzieć, zdenerwowana. Utrzymuje, że wie wszystko o mordercy. Jest niezwykle wzburzona, sir.

— W takim razie — uśmiechnął się Poirot — trzeba będzie właśnie z nią porozmawiać w następnej kolejności.

— Czy mam ją poprosić, sir? Ona już od dłuższego czasu domaga się widzenia z jakimś przedstawicielem prawa. Konduktor usiłuje ją poskromić.

— No to przyślij ją do nas, przyjacielu — zdecydował Poirot. — Wysłuchamy, co ma nam do przekazania.

ROZDZIAŁ CZWARTY ZEZNANIE AMERYKANKI

Pani Hubbard wtargnęła do wagonu restauracyjnego tak podekscytowana, że brakowało jej tchu i z trudem mogła wydobyć z siebie słowa.

— Proszę mi zaraz powiedzieć! Kto tutaj reprezentuje władzę?! Mam bardzo ważne informacje, niezwykle ważne, naprawdę, i chcę jak najszybciej przekazać je komuś odpowiedzialnemu.

Pytającym wzrokiem wodziła po trójce mężczyzn. Poirot wychylił się do przodu.

— Proszę więc podzielić się nimi ze mną, madame. Ale najpierw, błagam, proszę spocząć.

Pani Hubbard opadła ciężko na krzesło naprzeciw detektywa.

— Oto, co chcę opowiedzieć. Ubiegłej nocy w pociągu popełniono morderstwo, a morderca był nie gdzie indziej, jak w moim własnym przedziale.

Umilkła, podkreślając tą efektowną pauzą dramatyzm swoich słów.

— Jest pani tego pewna, madame?

— Oczywiście, że jestem! Co za insynuacja! Dobrze wiem, o czym mówię. Opowiem wszystko po kolei. Położyłam się do łóżka, zasnęłam i nagle się przebudziłam... wokół ciemność... Zorientowałam się, że w moim przedziale jest jakiś człowiek. Byłam tak przerażona, że nawet nie mogłam krzyknąć, wiecie, jak to jest. Leżałam tylko myśląc: „Boże, zmiłuj się, zaraz mnie zabiją”. Po prostu nie potrafię opisać, co czułam. Te okropne pociągi, myślałam, i te wszystkie napady, o których czytałam. I pomyślałam: „Cóż, tak czy inaczej, nie dostanie mojej biżuterii”, bo widzicie, panowie, włożyłam ją do pończochy i schowałam pod poduszkę, która i tak nie jest za wygodna. Cokolwiek się zbija, jeżeli rozumiecie, o co mi chodzi. Ale to nie ma nic do rzeczy. Na czym to ja skończyłam?

— Uświadomiła sobie pani, madame, że w przedziale jest jakiś mężczyzna.

— No tak, leżałam więc tylko z zamkniętymi oczami, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Pomyślałam: „Cóż, Bogu dzięki i za to, że moja córka nie wie, w jakich znalazłam się opałach”. A potem, jakimś cudem, wrócił mi rozum, pomacałam ręką i nacisnęłam dzwonek na konduktora. Naciskałam i naciskałam bez końca, ale nic się nie działo. I mówię panom, wydawało mi się, że mi zamarło serce. „Litości — mówiłam do siebie — może oni wymordowali każdą duszę jadącą tym pociągiem”. Tak czy owak, pociąg stał, a w powietrzu wisiała złowroga cisza. Ale ja nie przestawałam dzwonić i och, jaką poczułam ulgę, gdy usłyszałam kroki na korytarzu i pukanie do drzwi. „Proszę!”, krzyknęłam i jednocześnie zapaliłam światło. I dacie wiarę, panowie... w przedziale nie było żywego ducha...

...Co wydawało się pani Hubbard raczej punktem kulminacyjnym niż przykrym rozczarowaniem.

— A co zdarzyło się dalej, madame?

— Cóż, powiedziałam konduktorowi, co się stało, a on mi wcale nie uwierzył. Chyba wyobrażał sobie, że to wszystko mi się przyśniło. Zmusiłam go, by zajrzał pod siedzenia, chociaż upierał się, że nie ma tam dość miejsca, by mógł się wcisnąć człowiek. Było więc jasne jak słońce, że tamtemu udało się jakoś wydostać. Ale przecież był w moim przedziale, a sposób, w jaki konduktor usiłował mnie uspokoić, doprowadził mnie do białej gorączki! Ja wcale sobie tego nie wymyśliłam, panie... chyba nie poznałam jeszcze pańskiego nazwiska?

— Poirot, madame, a to monsieur Bouc, dyrektor kompanii, oraz doktor Constantine.

Pani Hubbard mruknęła:

— Miło mi panów poznać, oczywiście — zwracając się do całej trójki mężczyzn nieco roztargnionym tonem, po czym znów rzuciła się w wir swojej opowieści.

— Cóż, nie zamierzam udawać, że byłam bystrzejsza niż w rzeczywistości. Wbiłam sobie do głowy, że to ten człowiek z sąsiedniego przedziału, ten biedny facet, którego zabito. Kazałam konduktorowi sprawdzić drzwi łączące oba przedziały, a te, oczywiście, nie były zaryglowane. Cóż, szybko temu zaradziłam. Kazałam mu je zaryglować natychmiast, a kiedy wyszedł, dla pewności zastawiłam je jeszcze walizką.

— O której to było, pani Hubbard?

— Cóż, tego akurat nie mogę panu powiedzieć. Nawet nie sprawdziłam. Byłam zbyt przestraszona.

— A jakie nasunęły się pani wnioski?

— No, to chyba jasne jak słońce. Człowiek z mojego przedziału to morderca. Kim innym mógłby być?

— I pani sądzi, że wrócił do sąsiedniego przedziału?

— A skąd mogę wiedzieć, gdzie poszedł? Zaciskałam z całych sił oczy.

— Mógł wyśliznąć się drzwiami na korytarz.

— Tego nie wiem. Sam pan rozumie, miałam mocno zaciśnięte powieki.

Pani Hubbard westchnęła spazmatycznie.

— Panie Świąty, byłam śmiertelnie przerażona! Gdyby moja córka wiedziała!...

— Czy pani nie sądzi, madame, że to, co pani usłyszała, było hałasem wywołanym przez kogoś za drzwiami przedziału zamordowanego?

— Nie, nie uważam, panie... jak panu tam... Poirot. Ten człowiek był akurat dokładnie w tym samym przedziale co ja. A co więcej, mam na to dowód.

Triumfalnym gestem wydobyla na widok publiczny ogromną torbę i zaczęła przetrząsać jej zawartość.

Wyciągnęła kolejno dwie okazałe chustki do nosa, parę okularów w kościanej oprawce, flakonik aspiryny, paczuszkę soli trzeźwiących Glaubera, celuloidową tubkę jaskrawozielonych cukierków miętowych, pęk kluczy, nożyczki, książeczkę czekową American Express, amatorską fotografię jakiegoś wyjątkowo nieciekawego dziecka, pięć sznurów pseudoorientalnych wisiorków i mały metalowy przedmiot — guzik.

— Widzi pan ten guzik? Cóż, ja takich guzików nie noszę. Nie pasują do mojej garderoby. Znalazłam go dzisiaj rano po wstaniu z łóżka.

Kiedy położyła go na stoliku, monsieur Bouc przechylił się w przód i krzyknął:

— Ależ to guzik od munduru pracownika Wagon Lit!

— I to jest naturalne wytłumaczenie tego znaleziska — powiedział Poirot.

Szarmancko zwrócił się do damy.

— Ten guzik, madame, mógł oderwać się od munduru konduktora albo wtedy, gdy przeszukiwał pani przedział, albo kiedy ubiegłej nocy rozkładał pani łóżko.

— Zupełnie nie rozumiem, co się z wami wszystkimi dzieje, panowie. Wygląda na to, że nie robicie nic innego, jak tylko piętrzyćcie trudności. Więc posłuchajcie. Nim położyłam się spać ubiegłej nocy, czytałam gazetę. I nim zgasłam światło, odłożyłam ilustrowany magazyn na małą walizeczkę, która stała na podłodze opodal okna. Pojmujecie to, panowie? Zapewnili ją, że oczywiście.

— Wobec tego, znakomicie. Konduktor zaglądał pod siedzenie od drzwi, potem wszedł do środka i zarygłował drzwi między moim a sąsiednim przedziałem, ale przecież nie zbliżał się do okna. A dzisiaj rano ten guzik leżał na samym wierzchu gazety. I co na to powiecie, panowie?

— To, madame, określiłbym jako dowód — orzekł Poirot.

Taka odpowiedź, zdaje się, ugłaskała damę.

— Kiedy mi ktoś nie wierzy, staję się wścieklejsza od szerszenia — wyjaśniła.

— Dzięki pani dostaliśmy najbardziej interesujący i cenny dowód rzeczowy — rzekł łagodnie Poirot. — A teraz czy mogę pani zadać kilka pytań?

— Oczywiście, proszę uprzejmie.

— Jak to się stało, skoro obawiała się pani Ratchetta, że nie zarygłowała pani wcześniej drzwi łączących oba przedziały?

— Zarygłowałam — zaprotestowała natychmiast pani Hubbard.

— O, tak?

— Ściśle mówiąc, prosiłam to stworzenie ze Szwecji... cóż to za miła dusza... by sprawdziła, czy drzwi są zaryglowane. Potwierdziła, że tak.

— A dlaczego nie mogła pani tego zrobić osobiście?

— Gdyż leżałam już w łóżku, a na gałce od drzwi wisiała moja torba z przyborami toaletowymi.

— O której godzinie pani ją o to poprosiła?

— Niech pomyślę. Musiało to być jakieś pół godziny po dziesiątej, może za kwadrans jedenasta. Szwedka przyszła spytać, czy nie mam przypadkiem aspiryny. Powiedziałam jej, gdzie może ją znaleźć, i od razu ją zażyła.

— A pani leżała już w łóżku?

— Tak.

Niespodziewanie się roześmiała.

— Biedne stworzenie, całkiem rozkojarzone. Wiecie, panowie, przez pomyłkę otworzyła wpierw drzwi do sąsiedniego przedziału.

— Monsieur Ratchetta?

— Tak. Sami wiecie, jak trudno trafić, gdy wszystkie drzwi są pozamykane. Otworzyła je przez pomyłkę. Bardzo się tym speszyła. A pan Ratchett, zdaje się, uśmieł się i powiedział jej coś niezbyt grzecznego. Biedna, aż się cała trzęsła. „Och! Omyliłam się — powiedziała. — Wstyd mi za to. To niemiły pan — mówiła. — On rzekł: Ty jesteś za stara”.

Doktor Constantine zachichotał, a pani Hubbard niezwłocznie spiorunowała go wzrokiem.

— Ten człowiek nie zaliczał się do uprzejmych osób — orzekła — skoro coś takiego powiedział damie. Z takich rzeczy nie należy się wyśmiewać.

Doktor Constantine pospieszył z przeprosinami.

— Czy później słyszała pani może jakieś hałasy w przedziale Ratchetta? — spytał Poirot.

— Cóż, niezupełnie

— Co chciała pani przez to powiedzieć, madame?

— No cóż... — umilkła na chwilę. — On chrapał.

— O, doprawdy, chrapał?

— Okropnie. Przedwczorajszej nocy nie dało mi to zasnąć.

— A po tym, jak wystraszyła panią czyjaś obecność w pani przedziale, nie słyszała pani już chrapania?

— Jakżebym mogła, panie Poirot. Przecież on już nie żył!

— Och, tak, oczywiście — zgodził się Poirot. Wydawał się nieco zmieszany.

— Czy może pamięta pani sprawę porwania w rodzinie Armstrongów, pani Hubbard? — spytał.

— Jasne, że tak. A także to, jak ten zbrodniarz wymknął się sprawiedliwości! Cóż, chciałabym go dostać w swoje ręce.

— On wcale nie umknął. On nie żyje. Zabito go zeszłej nocy.

— Pan chyba nie sugeruje, że...? — Rozemocjonowana pani Hubbard aż uniosła się z krzesła.

— Owszem, właśnie tak. Ten człowiek to Ratchett.

— No, no! Tylko pomyśleć! Muszę to wszystko opisać mojej córce. Cóż, czy wczoraj wieczorem nie mówiłam panu, że ten człowiek ma twarz, diabła? Sam pan widzi, że nie myliłam się. Moja córka zawsze powtarza: „Kiedy mamuśka ma przecucie, możesz postawić na to ostatni grosz”.

— A pani była w jakiś sposób związana z rodziną Armstrongów, pani Hubbard?

— Skąd! Oni obracali się w bardzo elitarnych kręgach. Ale słyszałam, że pani Armstrong była niezwykle uroczą kobietą, a jej mąż całował ziemię, po której stąpała.

— No tak, pani Hubbard, szalenie nam pani pomogła, doprawdy, szalenie. Czy mogłaby pani podać swoje pełne nazwisko?

— Oczywiście. Caroline Martha Hubbard.

— A czy byłaby pani taka uprzejma zapisać tutaj swój adres?

Nie milknąc ani na chwilę, pani Hubbard uczyniła to.

— Wprost nie potrafię w to uwierzyć. Cassetti w tym pociągu. Miałam przecucie co do tego mężczyzny, czyż nie tak, panie Poirot?

— Bez wątpienia, madame. A przy okazji, czy ma pani może szkarłatny szlafrok?

— Wielkie nieba, cóż za idiotyczne pytanie! Oczywiście, że nie. Mam ze sobą dwa szlafroki z różowej flaneli, taki w którym jest ciepło na statku, i prezent od córki, jakiś miejscowy wyrób z fioletowego jedwabiu. Ale co, na Boga, chcielibyście wywnioskować z moich szlafroków?

— Bo widzi pani, madame, jakaś kobieta w szkarłatnym kimonie ubiegłej nocy weszła do przedziału pani lub pana Ratchetta. Jak pani sama przed chwilą powiedziała, kiedy wszystkie drzwi są zamknięte, trudno określić, który przedział jest który.

— Do mnie nie wchodził nikt w szkarłatnym kimonie.

— Wobec tego kobieta ta musiała wejść do monsieur Ratchetta.

Pani Hubbard wydeła wargi i powiedziała ponuro:

— To dla mnie żadna niespodzianka. Poirot wychylił się do przodu.

— Więc słyszała pani za ścianą kobiecy głos?

— Nie wiem, jak pan to odgadł, panie Poirot. Doprawdy nie wiem. Ale istotnie, tak było.

— Jednak kiedy przed chwilą spytałem, czy pani coś słyszała, odpowiedziała pani, że tylko chrapanie Ratchetta.

— Cóż, zgadza się. Rzeczywiście, jakiś czas chrapał. A co do tego drugiego... — pani Hubbard widocznie się zarumieniła. — Niezbyt zręcznie mi o tym mówić.

— O której godzinie słyszała pani ten damski głos?

— Nie potrafię stwierdzić. Obudziłam się na chwilę i wtedy usłyszałam jakąś kobietę, a nie ulegało wątpliwości, gdzie się znajdowała. Pomyślałam tylko: „Oto, jaki to typ mężczyzny. Cóż, wcale mnie to nie dziwi”, a potem znowu zasnęłam. I jestem pewna, że nigdy nie pisnęłabym o tym nawet słówkiem trzem nieznanym dżentelmenom, gdybyście panowie tego ze mnie na siłę nie wyciągnęli.

— Czy wydarzyło się to przed tym, jak przestraszyła się pani, że w jej przedziale jest jakiś człowiek, czy potem?

— Co też pan plecie! Przecież gdy był martwy, to nie mogło być u niego kobiety, z którą rozmawiał, prawda?

— Pardon. Pani musi uważać mnie za głupca, madame.

— Przypuszczam, że nawet panu się to i owo poplątało. Po prostu nie potrafię się otrząsnąć z szoku, że to był ten potwór Cassetti. Co moja córka o tym powie...

Poirotowi udało się zręcznie pomóc zapakować na nowo torebkę tej poczciwej kobiecie, a potem zapędzić ją do drzwi.

Już na progu powiedział:

— Zgubiła pani chusteczkę, madame.

Pani Hubbard spojrzała na zwiewną odrobinę batystu, którą ku niej wyciągnął:

— To nie moja własność, panie Poirot. Moje mam tutaj.

— Pardon. Myślałem, że wyhaftowany monogram „H”...

— No tak, to zadziwiające. Ale ta chusteczka nie jest moja. Moje są oznaczone „C.M.H.” i są praktyczne, nie takie, jak te drogie paryskie fatałaszki. Czy taka chusteczka nadaje się w ogóle do nosa?

Żaden z trójki mężczyzn nie kwapił się z odpowiedzią, toteż pani Hubbard z godnością opuściła wagon restauracyjny.

ROZDZIAŁ PIĄTY ZEZNANIE SZWEDKI

Monsieur Bouc obracał w palcach guzik pozostawiony przez panią Hubbard.

— Ten guzik. Nic nie mogę zrozumieć. Czy oznacza to, że mimo wszystko Pierre Michel jest w jakiś sposób zamieszany w tę aferę? — spytał. Umilkł na chwilę, potem ciągnął dalej, gdyż Poirot mu nie odpowiedział. — Co o tym sądzisz, przyjacielu?

— Ten guzik sugeruje wiele możliwości — odezwał się Poirot w zamyśleniu. — Nim porozmawiamy o uzyskanym właśnie przez nas zeznaniu, przesłuchajmy Szwedkę.

Wyjął z leżącego przed sobą pliku jeden paszport

— Och, oto i ona. Greta Ohlsson, lat czterdzieści dziewięć.

Monsieur Bouc wydał kelnerowi odpowiednie polecenie i po chwili wprowadzono kobietę z kokiem żółtosiwych włosów, o pociągłej, łagodnej, jakby owczej twarzy. Świdrowała Poirota krótkowzrocznymi oczami przez okulary, ale była całkiem opanowana.

Okazało się, że włada francuskim, więc rozmowa potoczyła się w tym języku. Na początek detektyw zadawał jej pytania, na które znał już odpowiedzi — o nazwisko, wiek i adres. Potem wypytywał ją o jej zawód.

Jak wyjaśniła, była przełożoną szkoły misyjnej koło Stambułu. Wykwalifikowaną pielęgniarką.

— Oczywiście, pani już wie, co się zdarzyło ubiegłej nocy, mademoiselle?

— Naturalnie. To okropne. A ta dama z Ameryki opowiedziała mi, że morderca był nawet w jej przedziale.

— Słyszałem, mademoiselle, że pani była ostatnią osobą, która widziała zmarłego przy życiu.

— Tego nie wiem. Ale możliwe. Przez pomyłkę otworzyłam drzwi do jego przedziału. Byłam bardzo speszona. To taka strasznie niefortunna pomyłka.

— Czy pani go istotnie widziała?

— Tak. Czytał książkę. Przeprosiłam i szybko się wycofałam.

— Czy coś do pani powiedział?

Lekki rumieniec okraślił policzki zacnej damy.

— Roześmiał się i powiedział kilka słów... Nie... całkiem go zrozumiałam.

— A potem, co pani zrobiła, mademoiselle? — ciągnął Poirot, taktownie pomijając tę kwestię.

— Poszłam do tej Amerykanki, pani Hubbard. Prosiłam ją o aspirynę, którą dostałam.

— Pytała może panią, czy drzwi łączące jej przedział z przedziałem monsieur Ratchetta są zaryglowane?

— Tak.

— A były?

— Tak.

— I co potem?

— Potem wróciłam do własnego przedziału, zażyłam aspirynę i położyłam się do łóżka.

— O której to było?

— Kiedy się kładłam, była za pięć jedenasta. Wiem, bo spojrzałam na zegarek, nim go nakręciłam.

— Czy szybko pani zasnęła?

— Nie bardzo. Głowa przestała mnie boleć, ale jakiś czas leżałam bezsennie.

— Czy pociąg stanął przed pani zaśnięciem?

— Chyba nie. Właśnie gdy zapadałam w sen, zatrzymał się na jakiejś stacji.

— Mogło to być Vincovci. Czy to jest pani przedział, mademoiselle? — wskazał palcem na planie.

— Zgadza się, ten.

— Pani zajmuje dolne czy górne łóżko?

— Dolne, numer 10.

- Czy ma pani współpasażerkę?
- Tak, młodą Angielkę. Bardzo miłą, bardzo uprzejmą. Podróżuje aż z Bagdadu.
- Czy po tym, jak pociąg ruszył z Vincovci, wychodziła z przedziału?
- Nie, jestem pewna, że nie.
- Skąd ta pewność, że nie, skoro pani spała?
- Mam bardzo lekki sen. Zwykle budzi mnie najlżejszy nawet szelest. Jestem przekonana, że gdyby schodziła na dół ze swojego łóżka, bez wątpienia bym się przebudziła.
- A pani sama nie opuszczała przedziału?
- Dopiero rano.
- Czy ma pani jedwabne, szkarłatne kimono, mademoiselle?
- Skąd! Mam porządny i wygodny szlafrok z jaegerowskiego trykotu.
- A pani towarzyszka, panna Debenham? Jakiego koloru jest jej podomka?
- Błafiołkoworóżowa, taka, jakie można kupić na Wschodzie.
- Poirot kiwnął głową. Potem odezwał się przyjacielskim tonem:
- Dlaczego pani wybrała się w podróż? Na urlop?
- Owszem, jadę na wakacje do domu. Ale wpierw do Lozanny, do siostry, na jakiś tydzień.
- Może będzie pani tak uprzejma i zapisze mi nazwisko i adres siostry.
- Z największą przyjemnością.
- Wzięła podsunięty jej arkusz papieru i ołówek i, jak ją proszono, zanotowała wszystkie dane.
- Czy była pani kiedykolwiek w Ameryce, mademoiselle?
- Nie. Kiedyś prawie. Miałam tam jechać z niesprawną damą, ale w ostatniej chwili podróż odwołano. Szalenie żałowałam. Amerykanie są bardzo życzliwi. Ofiarowują wiele pieniędzy na ufundowanie szkół i szpitali. Są niezwykle praktyczni.
- Czy może słyszała pani o porwaniu w rodzinie Armstrongów?
- Nie, a co to było?
- Poirot wyjaśnił jej.
- Greta Ohlsson spłonęła gniewem. Pod wpływem wzburzenia trząsł się jej złotawy kok.
- Że też na świecie istnieją tacy ludzie rodem z piekieł! To wystawia na próbę naszą wiarę. Biedna matka. Na myśl o niej kroi mi się serce.
- Sympatyczna Szwedka wyszła z rozognioną twarzą, z oczami pełnymi łez.
- Poirot zapisywał coś pracowicie na kartce papieru.
- Cóż tam notujesz, mój przyjacielu? — spytał monsieur Bouc.
- Mon cher, chlubię się tym, że jestem porządny i systematyczny. Robię więc tabelkę chronologii wydarzeń.
- Skończył pisanie i wręczył Boucowi kartkę.

9.15 Pociąg wyjeżdża z Belgradu,

około 9.40 Kamerdyner wychodzi od Ratchetta przygotowując mu uprzednio środek nasenny.

około 10.00 MacQueen wychodzi od Ratchetta

około 10.40 Greta Ohlsson widzi Ratchetta po raz ostatni (Notabene: Nie spał — czytał książkę).

0.10 Pociąg rusza z Vincovci (opóźniony).

0.30 Pociąg wpada w zasy py śnieżne.

0.37 Dzwonek z przedziału Ratchetta. Pod drzwi przychodzi konduktor. Ratchett mówi: „Ce n'est rien. Je me suis trompé”.

około 1.17 Pani Hubbard wydaje się, że w jej przedziale jest jakiś mężczyzna. Dzwoni na konduktora.

Monsieur Bouc kiwnął aprobująco głową.

— Nadzwyczaj przejrzyste — stwierdził.

— Czy nie rzuca ci się w oczy nic niezwykłego?

— Nie, wydaje mi się to całkiem proste i jasne. Bezsprzecznie morderstwo popełniono o 1.15. Wskazuje na to dowód w postaci zegarka, a pasuje opowieść pani Hubbard. Na mój rozum, mogę się domyślać, kim był morderca. Twierdzę, przyjacielu, że był nim ten wielki Włoch. Przybył z Ameryki, z Chicago. Pamiętaj, że bronią Włochów jest nóż, a zadał nim nie jeden, a wiele ciosów.

— To prawda.

— Nie ulega więc wątpliwości takie rozwiązanie zagadki. Bez dwóch zdań, on i Ratchett wspólnie dokonywali porwań. Casseti to włoskie nazwisko. Jakimś sposobem Ratchettowi udało się, jak to mówią, przechytryć go. Włoch go wytropił, wpierw zasypał listami pełnymi pogróżek i wreszcie w tak brutalny sposób dopełnił zemsty. To całkiem proste.

Poirot potrząsnął z powątpiewaniem głową.

— Obawiam się, że wcale nie takie proste — mruknął.

— Ja jestem jednak przekonany, że taka jest prawda — oświadczył monsieur Bouc coraz bardziej oczarowany wysnutą przez siebie teorią.

— A co z kamerdynerem, którego boląły zęby i który przysięgał, że Włoch w ogóle nie opuszczał przedziału?

— No tak, to pewna komplikacja. Poirot zamrugął oczami.

— Owszem, denerwująca. Na nieszczęście dla twojej teorii, a na szczęście dla naszego włoskiego przyjaciela, akurat wtedy właśnie kamerdynera Ratchetta zaboląły zęby.

— Wszystko da się jakoś wytłumaczyć — orzekł monsieur Bouc z doskonałą pewnością swego.

Poirot znowu potrząsnął głową.

— Nie, to wcale nie takie proste — mruknął powtórnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ZEZNANIE ROSYJSKIEJ KSIĘŻNEJ

— Posłuchajmy, co Pierre Michel ma nam do powiedzenia na temat guzika — zaproponował Poirot.

Po raz drugi wezwano konduktora Wagon Lit. Spojrzał na nich pytająco.

— Monsieur Bouc odchrząknął.

— Michel — powiedział. — To jest guzik od pańskiego munduru. Znalezione go w przedziale Amerykanki. Co pan ma do powiedzenia na ten temat?

Dłonie konduktora automatycznie powędrowały do kurtki uniformu.

— Nie brakuje mi żadnego guzika, monsieur — stwierdził. — To jakaś pomyłka.

— Bardzo dziwne.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć, monsieur.

Konduktor wyglądał na zdumionego, ale w najmniejszym stopniu nie okazywał poczucia winy czy zmieszania.

Monsieur Bouc odezwał się znaczącym tonem:

— Biorąc pod uwagę okoliczności, w których znaleziono ten guzik, wydaje się całkiem oczywiste, że zgubił go ten sam człowiek, który ubiegłej nocy buszował po apartamencie pani Hubbard, kiedy zaczęła naciskać dzwonek.

— Ależ tam nikogo nie było. Ta dama musiała sobie to wszystko wyśnić.

— Niczego sobie nie wyśniła, Michel. Zabójca Ratchetta naprawdę tamtędy przeszedł... i zgubił ten oto guzik.

Kiedy znaczenie słów monsieur Bouca dotarło do Pierre'a Michela, zapłonął świętym oburzeniem.

— To wcale nieprawda, monsieur, to nieprawda! — krzyknął. — Pan mnie oskarża o popełnienie zbrodni. Mnie? Ja jestem niewinny. Jestem absolutnie niewinny. Dlaczego miałbym zabijać tego pasażera, którego nigdy przedtem nie widziałem?

— Gdzie pan był w chwili, gdy pani Hubbard zaczęła dzwonić?

— Mówiłem już panu, monsieur, że w sąsiednim wagonie. Rozmawiałem z kolegą.

— Poślemy po niego.

— Proszę to zrobić! Błagam, żeby pan to zrobił.

Wezwano konduktora sąsiedniej salonki. Bez wahania potwierdził słowa Michela. Dodał, że towarzyszył im także konduktor z wagonu bukareszteńskiego. We trzech omawiali sytuację, w jakiej znalazł się pociąg z powodu zasp śnieżnych. Rozmawiali może z dziesięć minut, kiedy Michelowi wydało się, że usłyszał dzwonek. Kiedy otworzył drzwi łączące oba wagony, wszyscy wyraźnie go usłyszeli. Michel co tchu popędził, by nań odpowiedzieć.

— Sam pan więc widzi, monsieur, że nie ja jestem winny! — zawołał niespokojnie Michel.

— A ów guzik od uniformu konduktora Wagon Lit? Jak pan wytłumaczy tam jego obecność?

— Nie potrafię. To dla mnie zagadka. Moje wszystkie guziki są na swoich miejscach.

Dwaj pozostali konduktorzy oświadczyli podobnie, że nie postradali żadnego guzika. A także, że nigdy nie byli w przedziale pani Hubbard. — Proszę się uspokoić, Michel — powiedział monsieur Bouc. — I cofnąć się myślami do chwili, w której pobiegł pan na dzwonek pani Hubbard. Czy może spotkał pan kogoś na korytarzu?

— Nie.

— A może widział pan kogoś umykającego przed panem w przeciwnym kierunku?

— Też nie.

— Dziwne — stwierdził Monsieur Bouc.

— Nie tak bardzo — wtrącił Poirot. — To tylko kwestia zgrania w czasie. Panią Hubbard obudziła czyjaś obecność w jej przedziale. Przez chwilę leżała jak sparaliżowana, z zamkniętymi oczami. Prawdopodobnie wtedy ten człowiek wymknął się na korytarz. Potem ona nacisnęła

dzwonek. Ale konduktor nie zjawił się od razu. Usłyszał dzwonek dopiero za trzecim czy czwartym razem. Ja bym się skłaniał do opinii, że to aż nadto czasu...

— Na co? Na co, mon cher? Pamiętaj, że wokół pociągu zalegają wysokie zasy.

— Nasz tajemniczy morderca mógł wybrać dwie drogi — wyjaśnił powoli Poirot. — Mógł uciec albo do którejś z toalet, albo zniknąć w jednym z przedziałów.

— Ależ wszystkie były zajęte.

— Zgadza się.

— Więc zakładasz, że mógł się schować w swoim własnym?

Poirot potaknął.

— To pasuje, pasuje znakomicie — mruknął monsieur Bouc. — W czasie dziesięciminutowej nieobecności konduktora morderca wyszedł ze swojego przedziału, wtargnął do Ratchetta, zabił go, zamknął od wewnątrz na zamek i łańcuch drzwi, przeszedł przez przedział pani Hubbard i bezpiecznie wrócił do siebie, nim zdążył nadbiec konduktor.

Poirot mruknął:

— To wcale nie takie proste, przyjacielu. Nasz doktor ci o tym opowie.

Monsieur Bouc gestem dłoni odprawił trzech konduktorów.

— Musimy przesłuchać jeszcze ośmioro pasażerów — powiedział Poirot. — Pięcioro z pierwszej klasy: księżnę Dragomiroff, hrabiego i hrabinę Andrenyi, pułkownika Arbuthnota i pana Hardmana. Orz trzej z drugiej klasy: pannę Debenham, Antonia Foscarelliego i pokojówkę, Fraulein Schmidt.

— Kogo najpierw wezwiemy? Włocha?

— Aleś się uparł przy tym Włochu! Nie, zaczniemy od samego szczytu. Może madame la princesse będzie tak łaskawa i poświęci nam kilka minut swojego cennego czasu. Proszę przekazać jej nasze zaproszenie, Michel.

— Oui, monsieur — powiedział konduktor, który jeszcze nie zdążył zamknąć za sobą drzwi wagonu restauracyjnego.

— Proszę powiedzieć jej, że gotowi jesteśmy udać się do jej przedziału, jeżeli nie życzy sobie fatygować się tutaj — zawołał za nim Bouc.

Lecz księżna Dragomiroff odrzuciła tę możliwość. Pojawiła się w wagonie restauracyjnym, lekko skinęła głową i zajęła miejsce naprzeciw Poirota.

Jej mała ropusza twarz miała jeszcze bardziej żółtawą barwę niż poprzedniego dnia. Księżna była bezsprzecznie szpetna, a jednak, tak jak u ropuchy, jej oczy przypominały klejnoty, były ciemne i władcze, zdradzały wyczuwalną natychmiast skrytą energię i siłę charakteru. Miała głęboki, ogromnie dystyngowany głos, o lekko zgrzytliwym tonie.

Krótko ucieła kwieciste przeprosiny monsieur Bouca.

— Nie muszą się panowie usprawiedliwiać. Rozumiem, że miało miejsce morderstwo. I naturalnie, musicie przesłuchać wszystkich pasażerów. A ja z przyjemnością udzielię panom takiej pomocy, na jaką będzie mnie stać.

— Jest pani nadzwyczaj uprzejma, madame — powiedział Poirot.

— Ależ skąd! To mój obowiązek. Co panowie chcą wiedzieć?

— Pani pełne nazwisko oraz adres, madame. Może wolałaby pani je sama napisać?

Poirot podsunął jej papier i ołówek, ale księżna zlekceważyła je skinieniem dłoni.

— Pan sam może to zanotować — oświadczyła. — Nic w tym trudnego. Natalia Dragomiroff, 17 Avenue Kleber, Paryż.

— Czy powraca pani do domu z Konstantynopola, madame?

— Tak, bawiłam tam w ambasadzie austriackiej. Towarzyszy mi pokojówka.

— Może będzie pani łaskawa opowiedzieć mi pokrótce, jak pani spędziła ubiegły wieczór, począwszy od kolacji?

— Proszę bardzo. Poleciałam konduktorowi, by posłał mi łóżko w czasie, kiedy byłam w wagonie restauracyjnym. Zaraz po kolacji położyłam się. Czytałam do jedenastej, potem zgasiałam światło.

Nie mogłam jednak zasnąć, gdyż cierpiałam na bóle reumatyczne. Mniej więcej za kwadrans pierwsza zadzwoniłam po pokojówkę. Zrobiła mi masaż, później głośno czytała, aż poczułam senność. Trudno mi dokładnie powiedzieć, o której ode mnie wyszła. Może była pół godziny, może dłużej.

— Czy wtedy pociąg się zatrzymał?

— Tak, wtedy.

— A może w tym czasie pani coś usłyszała... Coś dziwnego, madame?

— Nic niezwykłego.

— Jak nazywa się pani pokojówka?

— Hildegarda Schmidt.

— Jak długo u pani pracuje?

— Piętnaście lat.

— Czy pani uważa, że to osoba godna zaufania?

— Absolutnie. Jej rodzina pochodzi z Niemiec, z majątku ziemskiego mojego męża.

— Przypuszczam, że była pani w Ameryce, madame?

Na tak niespodziewaną zmianę tematu starsza dama zareagowała uniesieniem brwi.

— Wielokrotnie.

— Może przypadkiem była pani jakoś związana z rodziną noszącą nazwisko Armstrong, z tą rodziną, w której wydarzyła się tragedia?

Głosem, w którym zadźwięczała nuta wzruszenia, starsza arystokratka odparła:

— Pan mówi o moich przyjaciółach, monsieur.

— Wobec tego dobrze pani знаła pułkownika Armstronga?

— Jego samego znałam niewiele. Lecz jego żona, Sonia Armstrong, była moją chrzestną córką. I przyjaźniłam się także z jej matką, aktorką Lindą Arden. Linda Arden miała olbrzymi talent, należała do największych tragiczek światowej sceny. Nikt nie mógł się z nią równać w roli Lady Makbet czy Magdy. Byłam nie tylko wielbicielką jej sztuki aktorskiej, ale i bliską przyjaciółką.

— Czy ona umarła?

— Nie, nie, żyje, ale się całkowicie wycofała ze sceny. Ma bardzo wątłe zdrowie, większość czasu musi spędzać leżąc na sofie.

— Jak sądzę, miała i drugą córkę? — Owszem, o wiele młodszą od pani Armstrong.

— A czy ona żyje?

— Oczywiście.

— Gdzie mieszka?

Starsza dama spojrzała na niego przenikliwie.

— Muszę spytać pana o przyczynę takich pytań. Cóż one mogą mieć wspólnego ze sprawą zbrodni popełnionej w tym pociągu?

— Obie te rzeczy łączą się, madame. Zamordowany mężczyzna był sprawcą porwania i zabicia córeczki Armstrongów.

— Ach!

Proste brwi zbiegły się razem. Księżna Dragomiroff jeszcze bardziej się wyprostowała.

— W takim razie, moim zdaniem, to morderstwo jest ze wszech miar upragnionym wydarzeniem! Proszę wybaczyć mi mój nieco stronniczy punkt widzenia.

— Jest absolutnie zrozumiały, madame. A teraz wróćmy do pytania, na które pani nie odpowiedziała. Gdzie przebywa młodszą córką Lindy Arden, siostra pani Armstrong?

— Naprawdę, nie potrafię panu powiedzieć, monsieur. Straciłam kontakt z młodszą generacją. Przypuszczam, że kilka lat temu, poślubiwszy Anglika, wyjechała z nim do jego ojczyzny. W tej chwili nie umiem sobie przypomnieć jego nazwiska.

Milczała dłuższą chwilę, potem spytała:

— Czy chcielibyście się jeszcze czegoś ode mnie dowiedzieć, panowie?

— Jeszcze jedno, madame. To pytanie odrobinę intymne. Jaki jest kolor pani szlafroka?

Nieznacznie uniosła brwi.

— Przypuszczam, że musi pan mieć powód, pytając mnie o to. Mój szlafrok uszyty jest z niebieskiej satyny.

— To już wszystko, madame. Jestem wielce zobowiązany, że tak szczerze odpowiedziała pani na moje pytania.

Upierścienioną dłonią uczyniła delikatny gest. Potem się podniosła, trzech mężczyźni również, ale nagle przystanąła.

— Proszę mi wybaczyć, monsieur — odezwała się. — Czy jednak mogłabym się dowiedzieć, jak brzmi pańskie nazwisko? Pana twarz wydaje mi się skądś znajoma.

— Herkules Poirot, madame, do usług. Milczała chwilę.

— Herkules Poirot. Tak, teraz sobie przypominam. To przeznaczenie.

Wyszła wyprostowana jak struna, stawiając nieco sztywno kroki.

— Voil? une grande dame — orzekł monsieur Bouc. — Cóż o niej sądzisz, przyjacielu?

Lecz Herkules Poirot tylko potrząsnął głową.

— Zastanawiam się — rzekł — co miała na myśli, mówiąc „przeznaczenie”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY ZEZNANIE HRABIEGO I HRABINY ANDRENYI

Jako następnych poproszono hrabiego i hrabinę Andrenyi. Jednakże do wagonu restauracyjnego hrabia wkroczył sam.

Nie ulegało wątpliwości, że i z bliska był bardzo przystojnym mężczyzną. Miał co najmniej sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona i wąskie biodra. Był elegancko ubrany w angielskie tweedy. Istotnie, można by go wziąć za Anglika, gdyby nie obfity wąs i jakiś drobiazg w zarysie kości policzkowych.

— Słucham, messieurs — powiedział. — Czym mogę panom służyć?

— — Rozumie pan, monsieur — odezwał się Poirot — że w świetle tego, co się wydarzyło, mam obowiązek zadać wszystkim pasażerom pewne pytania.

— Doskonale, doskonale — zgodził się lekkim tonem hrabia. — Świetnie rozumiem pańskie stanowisko. Tylko obawiam się, że ani ja, ani moja żona nie mamy zbyt wiele do powiedzenia. Spaliśmy, tak że nic nie mogliśmy usłyszeć.

— Czy pan wie, kim był nieboszczyk, monsieur? — Domyślam się, że to ten wysoki Amerykanin, mężczyzna o wyjątkowo niesympatycznej twarzy. W porze posiłków siadywał przy tamtym stoliku.

Skinieniem głowy wskazał stolik, przy którym jadali Ratchett z MacQueenem.

— Tak, tak, ma pan całkowitą rację. Ale mnie chodziło o to, czy znał pan jego nazwisko.

— Nie — hrabia wyglądał na szczerze zdumionego pytaniem Poirota.

— W paszporcie miał nazwisko Ratchett — wyjaśnił detektyw. — Ale ono, monsieur, nie było prawdziwe. Ten człowiek to Casseti, sprawca głośnych porwań w Ameryce.

Mówiąc to nie spuszczał z hrabiego wzroku, ale ten zdawał się całkowicie nieporuszony usłyszaną nowiną. Zaledwie odrobinę szerzej otworzył oczy.

— O! — powiedział. — To oczywiście rzuca inne światło na całą tę sprawę. Cóż za niesłychany kraj, ta Ameryka.

— Czy może pan tam bawił, monsieur le comte?

— Przez rok mieszkałem w Waszyngtonie.

— A może poznał pan rodzinę Armstrongów?

— Armstrongowie... Armstrongowie... trudno mi sobie przypomnieć. Poznałem wiele osób.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Ale wracając do naszej sprawy, panowie — powiedział. — Czym jeszcze mogę panom służyć?

— O której udał się pan na spoczynek, monsieur le comte?

Oczy Herkulesa Poirot zatrzymały się na planie wagonu. Hrabia i hrabina Andrenyi zajmowali sąsiednie przedziały 12 i 13.

— Kiedy byliśmy w wagonie restauracyjnym, przygotowano do spania jeden z naszych przedziałów. Po powrocie jakiś czas spędziliśmy w drugim.

— W którym numerze?

— Trzynastym. Graliśmy w pikietę. Koło jedenastej żona położyła się spać. Konduktor posłał łóżko w moim przedziale i ja także udałem się na spoczynek. Spałem twardo aż do rana.

— Czy zauważył pan, że pociąg stanął?

— Zorientowałem się dopiero rano.

— A pańska żona? Hrabia uśmiechnął się.

— Moja żona, podróżując pociągiem, zawsze zażywa środki nasenne. Jak zwykle wzięła więc dozę troniału.

Umilkł na chwilę.

— Przykro mi, że w żaden sposób nie potrafię panom pomóc.

Poirot podsunął mu arkusz papieru i pióro.

— Dziękuję panu, monsieur le comte. To tylko formalność, ale muszę prosić pana o zapisanie swojego nazwiska i adresu.

Hrabia powoli i starannie wykaligrował swoje dane.

— Dobrze się składa, że mogłem je sam zanotować — zauważył uprzejmie. — Nazwa mojego majątku sprawia nieco trudności osobom nie znającym języka.

Podał kartkę Poirotowi i wstał.

— Nie wydaje mi się konieczne fatygowanie tutaj mojej żony — oświadczył. — Nie wyjaśni nic ponad to, co ja sam powiedziałem.

Przez oczy Poirota przemknął jakiś błysk.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — potaknął. — Ale mimo to sędzę, że dobrze byłoby zamienić słówko z samą madame la comtesse.

— Zapewniam pana, że to całkiem zbyteczne. Podniósł władczo ton głosu.

Poirot zamrugął.

— To czysta formalność — stwierdził. — Ale pan rozumie, niezbędna dla mojego raportu.

— Jak pan uważa.

Hrabia poddał się niechętnie. Skłonił się chłodno, po cudzoziemsku, i opuścił wagon restauracyjny.

Poirot sięgnął po paszport. Widniały w nim nazwisko i tytuł hrabiego. Przeszedł do dalszych informacji: „W towarzystwie żony”. Jej imię brzmiało Elena Maria, nazwisko panięskie Coldenberg, wiek — dwadzieścia lat. Jakiś nieuważny urzędnik zabrudził papier tłuszczem.

— Paszport dyplomatyczny — stwierdził monsieur Bouc. — Musimy zachować ostrożność, przyjacielu, by ich nie urazić. Oni przecież nie mogą mieć nic wspólnego z morderstwem.

— Bez obaw, mon vieux. Będę uprzedzająco taktowny. To zwykła formalność.

Urwał, gdyż do wagonu weszła hrabina Andrenyi. Wyglądała na onieśmioną i była wyjątkowo czarująca.

— Panowie życzyli sobie mnie widzieć?

— Czysta formalność, madame la comtesse. — Poirot szarmancko wstał i wskazał jej miejsce naprzeciwko siebie. — Pragnąłbym się tylko dowiedzieć, czy ubiegłej nocy nie słyszała pani czegoś, co mogłoby rzucić światło na naszą sprawę?

— Niestety nic, monsieur. Spałam.

— Nie słyszała pani, na przykład, jakiegoś zamieszania w sąsiednim przedziale? Zajmująca go Amerykanka dostała ataku hysterii i dzwoniła po konduktora.

— Nic nie słyszałam, monsieur. Widzi pan, zażyłam środek nasenny.

— A! Rozumiem. Cóż, nie ma chyba potrzeby dalej pani niepokoić.

A kiedy szybko wstała, dodał: — Jeszcze tylko jedną minutkę. Czy te dane, pani nazwisko panięskie, wiek i tak dalej, są zgodne z prawdą?

— Całkowicie, monsieur.

— Może wobec tego podpisze się pani pod tym protokołem.

Prędko, wdzięcznie, pochyłym pismem, złożyła swój podpis.

Elena Andrenyi.

— Czy pani towarzyszyła mężowi w Ameryce, madame?

— Nie, monsieur. — Uśmiechnęła się i lekko zarumieniła. — Wtedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem. Jesteśmy dopiero rok po ślubie.

— Ach, tak, dziękuję, madame. A tak przy okazji, czy pani mąż pali?

Zastygła, gotowa do wyjścia, wlepiwszy wzrok w detektywa.

— Tak.

— Fajkę?

— Nie. Papierosy i cygara.

— O! Dziękuję.

Ociągała się, przyglądając mu się z ciekawością. Miała prześliczne oczy, ciemne, migdałowe, z bardzo długimi, czarnymi rzęsami, które uroczo rzucały cień na jej policzki. Usta, intensywnie purpurowe, jak to u cudzoziemek, trzymała lekko rozchylone. Wyglądała egzotycznie i przepięknie.

— Dlaczego pan mnie o to spytał?

— Madame — Poirot niedbale machnął dłonią. — Detektywi zwykle zadają najrozmaitsze pytania. Może mi pani powie, na przykład, jakiego koloru jest pani szlafrok?

Nie spuszczała z niego wzroku. Potem się roześmiała.

— Szyfonowy, barwy zboża. Czy to naprawdę ważne?

— Bardzo ważne, madame. Zdziwiona spytała:

— Więc pan naprawdę jest detektywem?

— Do usług, madame.

— Sądziłam, że kiedy pociąg przejeżdża przez Jugosławię, to nie zabiera detektywów. Wkraczają dopiero we Włoszech.

— Ja nie jestem jugosłowiańskim detektywem, madame. Międzynarodowym.

— Pracuje pan dla Ligi Narodów?

— Pracuję dla całego świata, madame — oświadczył teatralnie Poirot. — Głównie w Londynie. Czy pani mówi po angielsku? — dodał w tym języku.

— Tak. Odrobinę.

Miała czarujący akcent. Poirot skłonił się po raz drugi.

— Nie będziemy już pani dłużej fatygować, madame. Sama pani widzi, nie było to takie straszne.

Uśmiechnęła się, skinęła głową i wyszła.

— Elle est jolie femme — powiedział z uznaniem monsieur Bouc.

Westchnął.

— Cóż, ale niewiele nam z tego przyszło.

— Zgadza się — potaknął Poirot. — Ta dwójka nic nie widziała ani słyszała.

— Czy teraz porozmawiamy sobie z Włochem? Poirot przez chwilę nie odpowiadał. W skupieniu przyglądał się tłustej plamie na węgierskim paszporcie dyplomatycznym.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ZEZNANIE PUŁKOWNIKA ARBUTHNOTA

Lekko się ożywiwszy, Poirot uniósł głowę. Zamrugał nieznacznie powiekami, gdy natknął się na spojrzenie monsieur Bouca.

— Ach! Mój drogi przyjacielu — odezwał się. — Wiesz, staję się, jak to mówią, snobem! Mam wrażenie, że należy się zająć pierwszą klasą przed drugą. I myślę, że następny w kolejności będzie przystojny pułkownik Arbuthnot.

Zorientowawszy się, że francuszczyzna pułkownika jest mocno kulawa, Poirot prowadził przesłuchanie w języku angielskim.

Sprawdzono nazwisko Arbuthnota, jego wiek, adres domowy i pozycję w armii. Poirot przeszedł do dalszych kwestii:

— Czy jedzie pan z Indii do domu na podstawie tego, co nazywają przepustką, a co my określamy jako en permission?

Pułkownik Arbuthnot, wcale nieciekaw, jak banda cudzoziemców cokolwiek określa, odpowiedział z typową brytyjską lakonicznością:

— Tak.

— Ale nie wraca pan statkiem?

— Nie.

— Dlaczego?

— Miałem swoje powody, by wybrać drogę lądową.

„A to — zdawał się mówić całym swoim zachowaniem — nie twój interes, ty mały, wścibski zarozumiałcze”.

— Czy podróżuje pan prosto z Indii?

Pułkownik odparł oschle:

— Na jeden dzień zatrzymałem się, by zwiedzić miasto Ur Chaldejczyków i na trzy dni w Bagdadzie u konsula, który przypadkiem jest moim przyjacielem.

— Trzy dni spędził pan w Bagdadzie. Rozumiem, że ta młoda angielska dama, panna Debenham, także jedzie z Bagdadu. Czy może pan ją tam poznać?

— Nie, nie poznałem. Pannę Debenham ujrzałem po raz pierwszy, kiedy razem jechaliśmy eszelonem z Kikuku do Nissibin.

Poirot nachylił się ku niemu. Stał się bardziej natarczywy i nieco bardziej cudzoziemski, niż to było konieczne.

— Monsieur, zamierzam do pana zaapelować. Pan i panna Debenham jesteście jedynymi Anglikami o tej samej pozycji w naszym pociągu. Koniecznie więc muszę dowiedzieć się od każdego z was, co sądzi na temat drugiego.

— To wysoce niestosowne — stwierdził zimno pułkownik Arbuthnot.

— Nie tak bardzo. Widzi pan, tę zbrodnię, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, popełniła kobieta. Tamtemu mężczyźnie zadano co najmniej dwanaście ciosów. Nawet chef de train natychmiast orzekł: „To dzieło kobiety”. Cóż, na czym wobec tego polega moje zadanie? Jak to nazywają Amerykanie, „zrobić przegląd” wszystkich kobiet podróżujących salonką Stambuł–Calais. Jednakże Angielkę ocenić jest trudno. Angielki są takie zamknięte w sobie. Więc odwołuję się do pana, monsieur, w imieniu prawa. Co sądzi pan o panie Debenham?

— Panna Debenham — oświadczył odrobinę cieplejszym głosem pułkownik Arbuthnot — to dama.

— Ach! — krzyknął Poirot, okazując całym sobą, jak bardzo jest wdzięczny. — Więc nie przypuszcza pan, że to ona mogła przyłożyć dłoń do tej zbrodni?

— Sam taki pomysł jest absurdalny — stwierdził Arbuthnot. — Tamten człowiek był jej całkowicie obcy. Nigdy przedtem nawet go nie widziała.

— A mówiła to panu?

— Owszem. Od razu zrobiła uwagę na temat jego cokolwiek niesympatycznego wyglądu. Jeżeli w to zamieszana jest kobieta, jak pan zdaje się uważać (choć według mnie, nie dysponuje pan żadnym dowodem, a wyłącznie domysłami), mogę pana zapewnić, że panna Debenham absolutnie nie ma z tym nic wspólnego.

— Ten domysł wytracił pana z równowagi — uśmiechnął się Poirot.

Pułkownik Arbuthnot zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

— Doprawdy, nie wiem, do czego pan zmierza. Jego wzrok jakby zbił detektywa z pantałyku. Spuścił oczy i jął przerzucać leżące przed sobą papiery.

— Ależ to tylko tak, przy sposobności... — odezwał się. — Bądźmy więc praktyczni i przejdźmy do faktów. Mamy powody, by zakładać, iż zbrodni dokonano piętnaście po pierwszej ubiegłej nocy. Częścią formalnego dochodzenia jest dowiedzenie się od wszystkich pasażerów, co porabiali w tym czasie.

— Zrozumiałe. O ile sobie przypominam, kwadrans po pierwszej rozmawiałem z tym młodym Amerykaninem, sekretarzem denata.

— Aha. Byliście, panowie, w jego przedziale czy w pańskim?

— Gościłem u niego.

— Czy ten młody człowiek nosi nazwisko MacQueen?

— Tak.

— Jest pańskim przyjacielem czy znajomym?

— Ani jednym, ani drugim. Poznałem go dopiero w podróży. Wczoraj przypadkiem zaczęliśmy gawędzić i obu nas to wciągnęło. Z zasady nie lubię Amerykanów... są dla mnie mało wartościowi...

Poirot uśmiechnął się wspomniawszy, jak MacQueen krytykował „Brytyjczyków”.

— ... ale do tego młodzieńca poczułem sympatię. Miał jakieś bzdurne, idiotyczne wyobrażenia o sytuacji w Indiach. To najgorsza cecha, jeśli chodzi o Amerykanów: są nazbyt sentymentalni i idealistyczni. Cóż, zaciekawiło go to, co mu opowiedziałem. Mam prawie trzydziestoletnie doświadczenia z tamtego kraju. Natomiast mnie zainteresowało to, co on miał do powiedzenia o kondycji finansowej Ameryki. Potem przeszliśmy do polityki światowej w ogóle. Gdy spojrzałem na zegarek, aż się zdziwiłem, zobaczywszy, że jest za kwadrans druga.

— I o tej porze przerwaliście pogawędkę?

— Tak.

— A później, co pan robił?

— Wróciłem do swojego przedziału i położyłem się spać.

— Czy pana łóżko było już posłane?

— Tak.

— Pan zajmuje przedział... niech sprawdzę... numer 15. To przedostatni przed wagonem restauracyjnym?

— Tak.

— Kiedy pan szedł do siebie, gdzie był konduktor? — Siedział na końcu wagonu na małym krzeselku. Mówiąc ściśle, jak tylko odszedłem, MacQueen go zawołał.

— Z jakiego powodu?

— Przypuszczam, że chodziło mu o posłanie łóżka. Jego przedział nie był jeszcze przygotowany na noc.

— A teraz, pułkowniku Arbuthnot, chciałbym, żeby się pan dobrze zastanowił. Czy kiedy rozmawiał pan z MacQueenem, ktoś przechodził korytarzem?

— Myślę, że sporo osób. Nie zwracałem na to uwagi.

— Aha! Ale mnie chodzi szczególnie o, powiedzmy, ostatnie półtorej godziny waszej pogawędki. Panowie wysiedli w Vincovci, prawda?

— Tak, ale tylko na jakąś minutę. Panowała zadymka i było przeraźliwie zimno. Z największą rozkoszą wróciliśmy do tego zaduchu, choć z zasady uważam, że przegrzewanie pociągu do tego stopnia woła o pomstę do nieba.

Monsieur Bouc westchnął.

— Tak trudno wszystkim dogodzić — stwierdził. — Ci Anglicy otwierają, co się da, a inni pasażerowie przychodzą i zamykają. Okropnie trudno.

Ani Poirot, ani pułkownik Arbuthnot nie zwrócili na niego uwagi.

— Proszę teraz cofnąć się myślami do tamtej chwili — zachęcił pułkownika Poirot. — Na dworze było mroźno. Wrócili panowie do pociągu. Usiedli i zapalili... może papierosa, może fajkę...

Umilkł na ułamek sekundy.

— Ja fajkę. MacQueen papierosa.

— ... pociąg ruszył w dalszą drogę. Pan palił fajkę. Dyskutowaliście o kondycji Europy... świata. Zrobiło się późno. Większość pasażerów udała się już na spoczynek. Czy może w drzwiach mignęła czyjaś sylwetka?

Arbuthnot, wysilając pamięć zmarszczył brwi.

— Trudno powiedzieć — rzekł. — Rozumie pan, nie zwracałem na to uwagi.

— Ależ pan z pewnością dysponuje żołnierską spostrzegawczością, jeśli chodzi o szczegóły. Mówiąc krótko, niewątpliwie pan widzi nie patrząc.

— Pułkownik znów pomyślał chwilę, po czym potrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę nic powiedzieć. Nie przypominam sobie, by przechodził ktoś poza konduktorem. Sekundkę... szła chyba jakaś kobieta.

— Widział ją pan? Była młoda czy stara?

— Nie dostrzegłem. Nie patrzyłem w tamtą stronę. Był to po prostu szelest jedwabiu i zapach perfum.

— Zapach perfum? Dobrych?

— Cóż, chyba intensywnych, jeżeli pan wie, co mam na myśli. To znaczy, że wyczułby je pan na odległość. Ale zwracam pańską uwagę — dodał pułkownik pośpiesznie — że mogło to się wydarzyć dużo wcześniej. Wie pan, jak pan sam dopiero co powiedział, był to jeden z tych błahych faktów, które się widzi nie patrząc. Jakoś w trakcie tego wieczoru pomyślałem sobie: „Kobieta... zapach perfum... za obficie się skropiła”. Ale kiedy to było, nie potrafię z pewnością określić, prócz... No tak, oczywiście, to musiało być już po odjeździe z Vincovci.

— Dlaczego?

— Gdyż pamiętam... pociągałem właśnie nosem, pan wie... kiedy mówiłem, że Plan Sześćioletni Stalina okazał się jedną wielką bzdurą. Pamiętam, że myśl... o kobiecie... nasunęła mi skojarzenie z sytuacją kobiet w Rosji. I przypominam sobie, że o Rosji mówiliśmy dopiero pod sam koniec naszej pogawędki.

— A nie potrafiłby pan tego dokładniej sprecyzować?

— Nnie... z grubsza biorąc, musiało to być w ostatniej półgodzinie.

— Czy potem, jak pociąg już stanął?

Pułkownik potaknął.

— Tak. Tego jestem prawie pewien.

— Cóż, przejdźmy do innej sprawy. Pułkowniku Arbuthnot, czy był pan kiedyś w Ameryce?

— Nigdy. I nie wybieram się.

— Czy znał pan może pułkownika Armstronga?

— Armstrong... Armstrong... Znałem dwóch czy trzech Armstrongów. W 60. pułku był Tommy Armstrong... czy o niego panu chodzi? I Selby Armstrong... zginął pod Somą.

— Mam na myśli pułkownika Armstronga, który poślubił Amerykankę i którego jedynaczkę porwano i zabito.

— Aha. Przypominam sobie, że o tym czytałem. Wstrząsająca historia. Nie wydaje mi się, bym zetknął się z tym człowiekiem, choć, oczywiście, słyszałem o nim. John Armstrong. Przyjemny facet. Wszyscy go lubili. Miał za sobą wybitną karierę. Odznaczony Krzyżem Victorii.

— Mężczyzna, którego zabito ubiegłej nocy, był winny zamordowania dziecka pułkownika Armstronga.

Na twarzy Arbuthnota pojawił się zacięty grymas.

— Wobec tego, jeśli chodzi o mnie, ten bydlak dostał to, na co sobie zasłużył. Chociaż ja osobiście wolałbym go widzieć powieszzonego czy posadzonego na krześle elektrycznym w majestacie prawa.

— Więc pan, pułkowniku Arbuthnot, jest raczej zwolennikiem prawa i porządku niż prywatnej zemsty?

— Cóż, nie potrafię pogodzić się z krwawą wendetą i dźganiem się nawzajem nożami w stylu Korsykanów czy mafii — powiedział pułkownik. — Można mówić, co się chce, ale powoływanie ławy przysięgłych jest rozsądnym wynalazkiem.

Poirot przyglądał mu się kilka minut w zamyśleniu. — Owszem — powiedział. — Nie wątpię, że pan jest takiego zdania. Cóż, pułkowniku Arbuthnot, nie sądzę, bym musiał pana jeszcze o coś pytać. Ale może zapamiętał pan z ubiegłej nocy coś takiego, co w jakiś sposób pana uderzyło... czy raczej, powiedzmy, uderza pana teraz, gdy patrzy pan wstecz... jako coś podejrzanego?

Arbuthnot zastanowił się chwilę.

— Nic — odparł. — Nic się takiego nie wydarzyło. Chyba że... — zawahał się.

— Proszę dalej, proszę!

— Cóż, doprawdy to nic takiego — rzeki pułkownik powoli. — Ale sam pan powiedział: „cokolwiek”.

— Tak, tak. Proszę dalej.

— Och, to drobiazg. Po prostu nic. Ale kiedy wracałem do swojego przedziału, zauważyłem, że drzwi następnego, ostatniego, pan wie...

— Owszem. Numer 16.

— Cóż, te drzwi były nie domknięte. I od wewnątrz ukradkiem wyglądał jakiś mężczyzna. Polem szybko zasunął drzwi. Oczywiście, wiem, że to nieistotne, po prostu wydało mi się dziwne. To znaczy, naturalne byłoby otwarcie drzwi i wysunięcie głowy, gdyby się chciało coś zobaczyć. Fakt, że czynił to właśnie ukradkiem, zwrócił moją uwagę.

— Taak — powiedział z powątpiewaniem Poirot.

— Mówiłem przecież, że to nic ważnego — odezwał się przepraszająco Arbuthnot. — Ale sam pan wie, jak to jest, godziny tuż przed świtem, dokoła kompletna cisza, miało to w sobie coś złowieszczonego, zupełnie jak w powieści kryminalnej. Rzeczywiście, to absurd.

Wstał.

— Cóż, jeżeli już nie jestem do niczego potrzebny...

— Dziękuję panu, pułkowniku Arbuthnot, to wszystko. Oficer zawahał się chwilę. Jego pierwsza, odruchowa niechęć do przesłuchania prowadzonego przez „cudzoziemca” wyparowała.

— Jeśli chodzi o pannę Debenham — odezwał się nieco zażenowany. — Może mi pan wierzyć, ona jest bez zarzutu. To pukka sahib.

I nieznacznie się zaczerwieniwszy, wyszedł.

— A cóż to takiego — spytał zaciekawiony doktor Constantine — jest ta pukka sahib?

— To znaczy — wyjaśnił Poirot — że ojciec i bracia panny Debenham pochodzą z tej samej szkoły, co pułkownik Arbuthnot.

— O! — krzyknął rozczarowany lekarz. — Ależ to nie ma nic wspólnego ze zbrodnią.

— Dokładnie — potwierdził Poirot.

Popadł w zadumę. Postukiwał palcami o blat stolika. Potem uniósł głowę.

— Pułkownik Arbuthnot pali fajkę — powiedział. — W przedziale monsieur Ratchetta znaleziono wycior do fajki. Monsieur Ratchett palił wyłącznie cygara.

— Myślisz więc?...

— Jak dotąd, tylko on jeden przyznał się do palenia fajki. I znał pułkownika Armstronga... Może naprawdę znał go osobiście, choć ukrył to przed nami.

— Uważasz więc, że możliwe, by... Poirot gwałtownie potrząsnął głową.

— To po prostu... po prostu niemożliwe... Absolutnie niemożliwe, by stateczny, odrobinę ograniczony, sztywny Anglik mógł zadać wrogowi dwanaście ciosów nożem. Czyż sami nie czujecie, przyjaciele, że to nieprawdopodobne?

— To kwestia psychiki — odpowiedział monsieur Bouc.

— I trzeba tę psychikę brać poważnie. Nasze morderstwo opatrzone jest podpisem i bez wątpienia nie jest to podpis pułkownika Arbuthnota. Ale zajmijmy się przesłuchaniem następnego pasażera.

Tym razem monsieur Bouc nie wspomniał o Włochu. Pomyślał o nim jednak.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ZEZNANIE PANA HARDMANA

Ostatni z pasażerów jadących pierwszą klasą, wezwany na przesłuchanie pan Hardman, okazał się tym wielkim chłopakowatym Amerykaninem, który dzielił stolik z Włochem i z, kamerdynerem.

Miał na sobie garnitur w cokolwiek krzykliwą kratę, różową koszulę, błyszczącą spinkę do krawata, a wkraczając do wagonu restauracyjnego, międlił coś w ustach. Jego twarz była szeroka, mięsista, grubo ciosana i dobrodusznna.

— Witajcie, panowie — odezwał się. — Czym mogę panom służyć?

— Słyszał pan już o morderstwie, panie... eee... panie Hardman?

— Jasne.

Zgrabnie językiem przesunął gumę do żucia.

— Staliśmy wobec konieczności przesłuchania wszystkich pasażerów tego wagonu.

— Jeżeli o mnie chodzi, to w porządku. Podejrzewam, że to obowiązkowe przy tej robocie.

Poirot popatrzył na leżący przed sobą paszport.

— Pan się nazywa Cyrus Betham Hardman, obywatel Stanów Zjednoczonych, lat czterdzieści jeden, komiwojażer handlujący taśmami do maszyn do pisania?

— Okay, to ja.

— Jedzie pan ze Stambułu do Paryża?

— Zgadza się.

— W jakim celu?

— W interesach.

— Czy zawsze pan podróżuje pierwszą klasą, panie Hardman?

— Tak. Firma pokrywa koszty podróży.

Puścił oko.

— A teraz, panie Hardman, przejdźmy do wydarzeń ubiegłej nocy.

Amerykanin kiwnął głową.

— Co może nam pan powiedzieć na ten temat?

— Dokładnie nic.

— Ach, co za szkoda. A może, panie Hardman, opowie nam pan szczegółowo, co robił pan po kolacji ubiegłej nocy?

Po raz pierwszy wydawało się, że Amerykanin nie ma gotowej odpowiedzi. Wreszcie przemówił:

— Proszę mi wybaczyć, panowie, ale kim wy jesteście? Oświećcie mnie w tym względzie.

— To monsieur Bouc, dyrektor Compagnie des Wagons Lits. Ten dżentelmen to lekarz, który dokonał obdukcji,

— A pan?

— Herkules Poirot. Kompania wynajęła mnie, bym przeprowadził dochodzenie.

— Słyszałem już o panu — stwierdził Hardman. Zastanawiał się dłuższą chwilę. — Chyba lepiej będzie, jak wyznam całą prawdę.

— Z pewnością byłoby to z korzyścią dla pana, gdyby opowiedział nam pan wszystko, co panu wiadomo — zauważył oschle Poirot.

— Powiedział to pan tak, jak gdybym rzeczywiście coś wiedział. A nie wiem nic. Już mówiłem, że nie wiem absolutnie nic. A przecież powinienem. I to mnie irytuje. Powinienem. — Proszę jaśniej, panie Hardman.

Hardman westchnął, wyjął gumę do żucia i wetknął ją do kieszeni. Jednocześnie cała jego osobowość uległa jakby przeobrażeniu. Stał się mniej teatralny, a bardziej prawdziwy. Jego głos utracił nieco ze swoich huczących, nosowych tonów.

— Ten paszport jest odrobinę sfalszowany — powiedział. — Oto, kim jestem w rzeczywistości.

Poirot uważnie obejrzał podsuniętą wizytówkę. Monsieur Bouc zerkał mu przez ramię.

MR. CYRUS B. HARDMAN
 Agencja Detektywistyczna
 McNeila Nowy Jork

Poirot znalazł tę firmę. Było to jedno z najszlachetniejszych i najskuteczniejszych biur detektywistycznych w Nowym Jorku.

— Cóż, panie Hardman — odezwał się. — Dowiedzmy się, co to ma znaczyć.

— Jasne. Sprawy mają się tak: przybyłem do Europy tropiąc parę oszustów. Z tym morderstwem nie ma to nic wspólnego. Ślad urwał się w Stambule. Zadepeszowałem więc do szefa, a on polecił mi natychmiast wracać. Ruszyłem już z powrotem do starego, poczciwego Nowego Jorku, kiedy otrzymałem to.

I podsunął list.

Napisany na papierze firmowym hotelu Tokatlion.

„Szanowny Panie!

Wskazano mi Pana jako pracownika Agencji Detektywistycznej McNeila. Uprzejmie proszę, by zaszedł Pan do mojego apartamentu dziś po południu o czwartej.”

Podpisano: „S.E. Ratchett”

— Eh hien?

— Stawiłem się o oznaczonej godzinie i pan Ratchett zapoznał mnie z sytuacją. Pokazał mi kilka otrzymanych przez siebie anonimów.

— Czy był wystraszony?

— Udawał, że nie, ale jasne, że się trząsał. Złożył mi propozycję. Miałem podróżować tym samym co on pociągiem do Paryża i dopilnować, żeby się nikt do niego nie dobrał w drodze. Cóż, jak pan wie, jechałem w tym samym wagonie i mimo to ktoś go dopadł. Oczywiście, to plama na moim honorze. Nie przysporzy mi to chwały.

— Czy dostarczył panu wskazówek co do sposobu postępowania, jaki ma pan obrać?

— Jasne. Miał wszystko opracowane. Jego pomysłem było, abym zajął sąsiedni przedział. Cóż, to od razu nie wypaliło. Jedyny numer, jaki zdołałem dostać, to numer 16, a i z tym było mnóstwo ceregieli. Przypuszczam, że konduktor lubi trzymać ten przedział w zapasie. Ale to nie ma nic do rzeczy. Kiedy rozejrzałem się w sytuacji, wydało mi się, że numer 16 daje niezłą pozycję strategiczną. Za wagonem sypialnym ze Stambułu jedzie już tylko wagon restauracyjny, a drzwi na peron z przodu zamykano na noc. Tak więc domniemany napastnik miał tylko dwie drogi: tylne drzwi na peron lub przejście przez wagon. I w obu wypadkach musiałby minąć mój przedział.

— Nie domyśla się pan, jak sądzę, kim mógł być ten domniemany zabójca?

— Znałem jego rysopis. Pan Ratchett mi go podał.

— Co takiego?!

Cała trójka mężczyzn gwałtownie wychyliła się w przód. Hardman ciągnął dalej:

— Niskiego wzrostu ciemnowłosa mężczyzna o kobiecym głosie, według słów starego. Twierdził także, iż jego zdaniem, nie zdarzy się to pierwszej nocy. Prawdopodobnie drugiej czy trzeciej.

— On coś wiedział — zauważył monsieur Bouc.

— Z pewnością o wiele więcej, niż zdradził to swojemu sekretarzowi — powiedział w zamyśleniu Poirot. — A może mówił panu coś więcej o tym swoim wrogu? Na przykład, dlaczego tamten nastawał na jego życie?

— Nie, w tej kwestii był wyjątkowo powściągliwy. Wyjaśnił tylko, że jakiś facet łąknie jego krwi i zamierza ją dostać.

— Niewysoki mężczyzna, ciemnowłosa, o kobiecym głosie — zamyślił się Poirot.

Potem, utkwivszy w Hardmanie przenikliwe spojrzenie, spytał:

— Oczywiście, pan wie, kim on naprawdę był?

— Który z nich?

— Ratchett. Rozpoznał go pan?

— Nie bardzo rozumiem.

— Ratchett to Cassetti, morderca małej Armstrongówny.

Pan Hardman gwizdnął przeciągle.

— A to dopiero nowina! — krzyknął. — Zgadza się, sir! Nie, nie rozpoznałem go. Kiedy ta sprawa była w toku, przebywałem na Zachodzie. Chyba widziałem jego podobizny w gazetach, ale na fotografii robionej przez reportera nie poznałbym nawet własnej matki. Cóż, nie wątpię wobec tego, że istnieje parę takich osób, które chciałyby dopaść Cassettiego.

— Czy wiadomo panu o kimś związanym ze sprawą Armstrongów, kto odpowiadałby temu rysopisowi: niski, ciemny, o kobiecym głosie?

Hardman zastanawiał się kilka chwil.

— Trudno powiedzieć. Niemal wszyscy zamieszani w tę sprawę nie żyją.

— Pamiętam, że jakaś dziewczyna rzuciła się z okna.

— Jasne. To dobry trop. Była cudzoziemką. Może miała krewnych, imigrantów z Wioch. Ale proszę nie zapominać o tym, że prócz sprawy Armstrongów były też inne. Cassetti przez dłuższy czas stał na czele bandy porwaczy. Nie może się więc pan koncentrować tylko na tym jednym porwaniu.

— Mamy jednak powody, by sądzić, iż morderstwo to ma coś wspólnego ze sprawą Armstrongów.

Hardman podniósł pytający wzrok. Poirot nie zareagował. Amerykanin potrząsnął głową.

— Nie potrafię sobie przypomnieć nikogo, kto by odpowiadał temu rysopisowi, a był związany ze sprawą Armstrongów — mówił powoli. — Ale, oczywiście, nie ja się nią zajmowałem i stąd niewiele wiem.

— Cóż, proszę kontynuować swoją opowieść, panie Hardman.

— Już niewiele mam do dodania. Przespałem się w ciągu dnia, więc w nocy czuwałem na posterunku. Pierwszej nocy nie wydarzyło się nic szczególnego. Ubiegłej nocy również, przynajmniej w moim mniemaniu. Trzymałem uchylone drzwi i patrzyłem. Nie przechodził nikt obcy.

— Jest pan tego pewny, panie Hardman?

— Całkowicie. Nikt nie wsiadł do pociągu i nikt nie przechodził z sąsiednich wagonów. Mogę przysiąc.

— Czy ze swojego punktu obserwacyjnego widział pan konduktora?

— Jasne! Siedział na małym krzeselku niemal naprzeciwko mojego przedziału.

— Czy po tym, jak pociąg ruszył z Vincovci, opuszczał swoje miejsce?

— To ta ostatnia stacja? Owszem, odpowiadał na kilka dzwonek tuż po tym, jak pociąg zatrzymał się na amen. Później przeszedł koło mnie idąc do sąsiedniego wagonu, spędził tam jakiś kwadrans. Kiedy ktoś zaczął jak oszalały naciskać dzwonek, przybiegł pędem z powrotem. Wyszedłem na korytarz, by sprawdzić, co się dzieje, byłem nieco podenerwowany, panowie rozumieją... Ale to dzwoniła tylko ta Amerykanka. Zrobiła o coś piekło. Uśmiełem się. Potem konduktor przeszedł do jakiegoś innego przedziału, wrócił i poszedł tam znowu z butelką wody mineralnej. Następnie usiadł ponownie na swoim krzeselku i tkwił tam, aż wezwano go na drugi koniec wagonu, by posłał czyjeś łóżko. I później chyba już się w ogóle nie ruszał, aż mniej więcej do piątej rano.

— Może się zdrzemnął?

— Nie umiem powiedzieć. Ale mógł się zdrzemnąć. Poirot kiwnął głową. Odruchowo wygładził leżące na stole papiery. Po raz drugi wziął wizytówkę.

— Będzie pan tak uprzejmy i podpisze się tutaj — poprosił.

Hardman uczynił to.

— Przypuszczam, że nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić pańskie oświadczenie czy pańską tożsamość, panie Hardman?

— W tym pociągu? Raczej nie. Chyba że ten młody Amerykanin. Znam go dość dobrze, widywałem go w biurze jego ojca w Nowym Jorku, ale to nie znaczy, że musiał mnie zapamiętać z tłumu innych detektywów. Nie, panie Poirot, musi pan poczekać, aż śnieg pozwoli nam zatelegrafować do Nowego Jorku. Miło mi było pana poznać, panie Poirot.

Poirot podsunął mu swoją papierośnicę.

— Ale może woli pan fajkę.

— Skąd!

Poczęstował się, potem wyszedł energicznym krokiem.

— Pan myśli, że mówił prawdę? — spytał doktor Constantine.

— Tak, tak. Znam ten typ człowieka. A poza tym, jego opowieść można bez trudu sprawdzić.

— Wskazał nam wielce interesujący ślad — zauważył monsieur Bouc.

— Rzeczywiście.

— Niski mężczyzna, ciemnowłosy, mówiący falsetem — zamyślił się monsieur Bouc.

— Rysopis, któremu nie odpowiada nikt jadący tym pociągiem — dopowiedział Poirot.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY ZEZNANIE WŁOCHA

— A teraz — odezwał się Poirot z błyskiem w oku — .ucieszymy serce monsieur Bouca i porozmawiamy sobie z Włochem.

Antonio Foscarelli wszedł do wagonu restauracyjnego zgrabnym, kocim krokiem. Jego twarz promieniała. Miał typowe oblicze Włocha, słoneczne i smagłe.

Mówił płynnie po francusku, z nieznacznym tylko akcentem.

— Nazywa się pan Antonio Foscarelli?

— Tak, monsieur.

— Jak rozumiem, jest pan naturalizowanym obywatelem amerykańskim?

Amerykanin wyszczerzył zęby.

— Zgadza się. Tak jest z korzyścią dla moich interesów.

— Jest pan agentem koncernu Forda?

— Tak, widzi pan...

Nastąpiła eksplozja słów. Pod koniec wszystko to, czego się jeszcze trójka mężczyzn nie dowiedziała o metodach handlowych Foscarelliego, jego podróżach, dochodach, jego opinii na temat Stanów Zjednoczonych i większości krajów europejskich, zdawało się być nic nie znaczącym drobiazgiem. Włoch nie należał do ludzi, z których trzeba wyciągać informacje. One wprost z niego tryskały.

Pocziwa, dziecinna twarz promieniała satysfakcją, kiedy wreszcie umilkł uczyniwszy linalny, pełen elokwencji gest i otarł czoło chusteczką do nosa.

— Jak więc, panowie, widzicie — powiedział — prowadzę duży biznes. Jestem nowoczesny. Rozumiem się na handlu.

— Mieszka pan w Stanach Zjednoczonych mniej więcej od dziesięciu lat?

— Tak, monsieur. Ach! Świetnie pamiętani ten dzień, pierwszy dzień na statku... płynącym do Ameryki. Taki szmat drogi! Moja matka, moja mała siostrzyczka...

Poirot uciał łańcuch wspomnień.

— Czy objeżdżając Siany Zjednoczone zetknął się pan kiedykolwiek ze zmarłym?

— Nigdy. Ale znam takie typy. Dobrze znam. — Wyraziście pstryknął palcami. — Powszechnie szanowany, elegancki, ale pod spodem sarno zło. Z doświadczenia mógłbym powiedzieć, że to wielki oszust. Wierzcie mi albo nie.

— Pański osąd pokrywa się z prawdą — wyjaśnił szorstko Poirot. — Ralchett to Cassetti, ten porywacz.

— A nie mówiłem? Wyrobiłem w sobie niezwykłą przenikliwość. Umiem czytać z twarzy. To konieczność. Tylko w Ameryce można nauczyć się prawidłowych metod handlu.

— Czy pamięta pan sprawę Armstrongów?

— Nie bardzo. To jakieś nazwisko, tak? Mała dziewczynka, dziecko, czyż nie?

— Owszem, ogromnie tragiczna historia. Wydawało się, że Włoch jest pierwszą osobą, która nie podzielała tej opinii.

— No cóż, takie rzeczy się zdarzają — stwierdził filozoficznie — w tak wielkich społecznościach jak Ameryka... Poirot przerwał mu ostro:

— Czy kiedykolwiek spotkał pan kogoś z rodziny Armstrongów?

— Nie, chyba nie. Trudno powiedzieć. Podam panu kilka liczb. Tylko w zeszłym roku...

— Monsieur, proszę się ograniczyć do naszej sprawy. Dłonie Włocha zatrzepotał) w przepaszającym geście.

— Tysiącrotnie przepraszam.

— Proszę dokładnie mi opowiedzieć, jeśli łaska, co pan robił ubiegłego wieczoru i w nocy, poczynając od kolacji?

— Proszę uprzejmie. Dopóki to tylko było możliwe, przeciągałem swój pobyt w tym wagonie. To dużo zabawniejsze. Rozmawiałem z amerykańskim dżentelmenem przy moim stoliku. On jest sprzedawcą taśm do maszyn do pisania. Potem wróciłem do swojego przedziału. Był pusty. Ten wymoczkowaty John Bull, z którym go dzielę, usługiwał właśnie swojemu chlebowdawcy. Wreszcie wrócił, jak zwykle z ponurą miną. On nie rozmawia, mówi tylko tak lub nie. Żałosna rasa ci Anglicy, tacy niesympatyczni. Usiadł w rogu, sztywny jakby kij połknął, i czytał książkę. Potem wszedł konduktor i posłał nam łóżka.

— Numery 4 i 5 — mruknął Poirot.

— Zgadza się, ostatni przedział. Ja zajmuję górne łóżko. Wspiąłem się tam. Palilem i czytałem. Ten mały Anglik chyba cierpiał na ból zębów. Wyciągnął jakiś flakonik z czymś o okropnym zapachu. Położył się do łóżka i jęczał. Potem zasnąłem. Kiedy się obudziłem, słyszałem, jak dalej jęczał.

— Może pan wie, czy tamten opuszczał przedział w ciągu nocy?

— Nie sądzę. To znaczy, coś bym usłyszał. Światło z korytarza i człowiek budzi się automatycznie, myśląc, że to kontrola celna na jakiejś granicy.

— Czy pański współpasażer napomykał cokolwiek o swoim chlebowdawcy? Wyrażał może wobec niego swoją niechęć?

— Powtarzam panu, że tamten w ogóle nie mówi. Jest niesympatyczny. Ryba.

— Jak pan przyznał, pan pali, prawda? Fajkę, papierosy, cygara?

— Wyłącznie papierosy.

Poirot poczęstował go, co tamten przyjął z wdzięcznością.

— Był pan kiedyś w Chicago? — dopytywał się monsieur Bouc.

— O, tak, niezłe miasto, ale najlepiej znam Nowy Jork, Waszyngton, Detroit. A pan był kiedyś w Stanach? Nie? Powinien więc pan tam jechać, to...

Poirot podsunął mu arkusz papieru.

— Gdyby pan zechciał to podpisać oraz podać swój stały adres.

Włoch zanotował wszystko ozdobnym pismem. Potem wstał z jak zawsze ujmującym uśmiechem.

— To wszystko? Nie jestem już panom potrzebny? Życzę więc dobrego dnia, messieurs. Tak pragnąłbym, żebyśmy już mogli wydostać się z tego śniegu. Mam umówione spotkanie w Mediolanie... — Potrząsnął smutno głową. — Dobry interes umknie mi sprzed nosa.

Wyszedł.

Poirot spojrział na przyjaciela.

— Mieszka w Ameryce już od dłuższego czasu — odezwał się monsieur Bouc. — I jest Włochem, a Włosi chętnie sięgają po nóż! Oraz są zawołanymi kłamcami! Nie lubię Włochów.

— Ça se voit — uśmiechnął się Poirot. — Cóż, może i się nie mylisz, przyjacielu, ale zwrócę twoją uwagę, że nie masz absolutnie żadnych dowodów świadczących przeciwko temu człowiekowi.

— A co z psychiką? Czy Włosi nie mordują nożem?

— Bez wątpienia — potwierdził Poirot. — Szczególnie w ferworze kłótni. Ale tu mamy do czynienia z morderstwem innego rodzaju. Chodzi mi po głowie takie mgliste przecucie, przyjacielu, że ta zbrodnia została niezwykle starannie zaplanowana i wykonana. Jest to zbrodnia dalekowzrocza, przemyślana. Nie, jakby to wyrazić, latynoska. Ma ona natomiast wszelkie cechy typowe dla chłodnego, wnikliwego, rozważnego umysłu. Powiedziałbym: umysłu anglosaskiego.

Wziął dwa ostatnie paszporty.

— Teraz — rzeki — porozmawiajmy z panną Debenham.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ZEZNANIE PANNY DEBENHAM

Gdy Mary Debenham weszła do wagonu restauracyjnego, potwierdziła się uprzednia ocena Poirota.

Bardzo elegancko ubrana w czarny kostium, beżową bluzkę, gładkie fale włosów zaczesane starannie, bez zarzutu. Równie nienaganne i eleganckie jak jej fryzura były maniery.

Usiadła naprzeciwko panów Poirota i Bouca i spoglądała na nich pytająco.

— Pani nazywa się Mary Hermione Debenham i ma pani dwadzieścia sześć lat? — zaczął Poirot.

— Tak.

— Angielka?

— Tak:

— Czy będzie pani tak łaskawa, mademoiselle, i na tej oto karteczce zapisze swój adres?

Dopełniła tego. Miała czytelne i równe pismo.

— Teraz, mademoiselle, co mogłaby nam pani opowiedzieć o wydarzeniach ubiegłej nocy?

— Obawiam się, że nic. Położyłam się do łóżka i zasnęłam.

— Czy to, że w tym pociągu popełniono morderstwo, bardzo wytrąciło panią z równowagi?

Najwyraźniej nie spodziewała się takiego pytania. Odrobinę szerzej rozwarła oczy.

— Niezupełnie pana rozumiem.

— Ależ ja zadałem całkiem nieskomplikowane pytanie, mademoiselle. Powtórzę je. Czy to, że w pociągu popełniono morderstwo, bardzo wytrąciło panią z równowagi?

— Doprawdy, nie zastanawiałam się nad nim z tego punktu widzenia. Nie, nie mogę powiedzieć, że jestem wytrącona z równowagi.

— A więc morderstwo to dla pani chleb powszedni?

— Oczywiście, że takie wydarzenie nie należy do przyjemnych — odparła spokojnie Mary Debenham.

— Jest pani szalenie anglosaska, mademoiselle. Voun n'éprouvez pas d'émolion.

Uśmiechnęła się kącikiem ust.

— Obawiam się, że nawet, by udowodnić swoją niewinność, nie potrafię wpaść w histerię. A poza tym, ludzie codziennie umierają.

— Zgadza się, umierają, jednak zabójstwa zdarzają się nieco rzadziej.

— Oczywiście.

— Pani nie знаła zmarłego?

— Po raz pierwszy zobaczyłam go wczoraj przy obiedzie.

— I jaki się pani wydał?

— Prawie nie zwróciłam na niego uwagi.

— Czy zrobił na pani wrażenie czarnego charakteru? Wzruszyła ramionami.

— Doprawdy, nie potrafię powiedzieć, że w ogóle wywarł jakiegokolwiek.

Poirot popatrzył na nią przenikliwie.

— Przypuszczam, że pani pogardza nieco moimi metodami śledczymi — zauważył mrugnawszy powiekami. — Pani sobie myśli: „Nie tak toczyłoby się przesłuchanie w Anglii. Wszystko byłoby formalne, trzymano by się wyłącznie faktów, sprawę prowadzono by należycie”. Ja natomiast, mademoiselle, mam swoje drobne dziwactwa. Najpierw przyglądam się swojemu świadkowi, oceniam jego czy jej charakter, i do tego dostosowuję swoje pytania. Przed chwilą rozmawiałem z dżentelmenem, który pragnął mi opowiedzieć szczegółowo, co myśli na każdy lemat. Cóż, w jego wypadku ograniczyłem się ściśle do danej kwestii. Zmusiłem go, by odpowiadał tylko tak lub nie, to a to. Następnie przyszła pani. Natychmiast zauważyłem, że pani jest uporządkowana i systematyczna. Ograniczy się tylko do poruszanego problemu. Pani odpowiedzi będą krótkie i rzeczowe. A ponieważ, mademoiselle, natura ludzka jest przewrotna, pani zadają całkowicie odmienne pytania. Pytam, co pani czuje, co myśli. Czy taka metoda się pani nie podoba?

— Proszę wybaczyć, że to powiem, ale wydaje mi się to poniekąd stratą czasu. Fakt, czy spodobała mi się, czy nie twarz pana Ratchetta nie przyczyni się chyba do wykrycia, kto jest jego mordercą.

— Czy pani wie, kim naprawdę był człowiek podający się za Ratchetta?

Kiwnęła głową.

— Pani Hubbard rozpowiada o tym na lewo i prawo.

— A co pani sądzi o sprawie Armstrongów?

— Była odrażająca — oświadczyła sucho dziewczyna.

Poirot spojrzał na nią w zadumie.

— Jak wiem, pani podróżuje z Bagdadu, panno Debenham?

— Tak.

— Do Londynu?

— Tak.

— Co pani robiła w Bagdadzie?

— Pracowałam jako guwernantka dwójki dzieci.

— I po wakacjach wraca pani na tę posadę?

— Nie jestem jeszcze pewna.

— A dlaczegoż to?

— Bagdad to takie odległe miejsce. Wolałabym chyba objąć posadę w Londynie, gdybym tylko usłyszała o jakiejś odpowiedniej.

— Rozumiem. Myślałem może, że pani wybiera się za męża.

Panna Debenham nic nie odpowiedziała. Podniosła tylko wzrok i popatrzyła Poirotowi prosto w oczy. Spojrzenie to mówiło wyraźnie: „Ależ z pana impertynent”.

— Jakie jest pani zdanie o niewieście, z którą dzieli pani przedział, o panie Ohlsson?

— Wydaje mi się miłym, pocziwym stworzeniem.

— Jakiego koloru jest pani szlafrok? Mary Debenham wlepiała w niego oczy.

— Brązowawy, z czystej wełny.

— Aha. Nie popełnię chyba niedyskrecji, jeśli powiem, że w drodze z Aleppo do Stambułu zobaczyłem kolor pani szlafroka. Był bladoniebieski, jak mi się zdaje.

— Owszem, zgadza się.

— Więc może ma pani jeszcze jeden, mademoiselle?

Na przykład szkarłatny?

— Nie, to nie ja.

Poirot wychylił się do przodu. Przypominał kota czyhającego na mysz.

— Kto, wobec tego? Dziewczyna szarpnęła się odrobinę w tył, przestraszona.

— Nie wiem. O co panu chodzi?

— Pani nie powiedziała: „Nie, nie mam takiego”. Tylko: „Nie, to nie ja”, co znaczy, że ów przedmiot należy do kogoś innego.

Kiwnęła głową.

— Kogoś jadącego tym pociągiem?

— Tak.

— Do kogo?

— Już panu mówiłam. Nie wiem. Obudziłam się koło piątej nad ranem z uczuciem, że pociąg stoi już od dłuższego czasu. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz, sądząc, że może to dworzec. I zobaczyłam kogoś w szkarłatnym kimonie, jak szedł korytarzem.

— I nie wie pani, kto to? Czy ta kobieta miała jasne, ciemne, a może siwe włosy?

— Nie umiem powiedzieć. Krótko obcięte, a ja zobaczyłam tylko tył jej głowy.

— A jej figura?

— Była wysoka i szczupła, jak sądzę, ale trudno powiedzieć. Jej kimono wyhaftowano w smoki.

— Owszem, zgadza się, w smoki.

Milczał przez chwilę. Potem mruknął do siebie:

— Nie potrafię zrozumieć. Nie potrafię. To wszystko nie ma sensu.

I spojrzawszy na pannę Debenham, powiedział:

— Nie będę już pani dłużej zatrzymywał, mademoiselle.

— O! — wydała się nieco zaskoczona, ale posłusznie wstała.

W drzwiach jednakże zawahała się, potem wróciła.

— Ta Szwedka, panna Ohlsson, prawda? Wydaje się nieco zdenerwowana. Mówi, że pan jej powiedział, iż to ona była ostatnią osobą, która widziała tamtego mężczyznę przy życiu. Myślę, że teraz lęka się, iż to ją pan uważa za winną. Czy mogłabym przekazać jej, że się myli? Doprawdy, sam pan przecież wie, że ona należy do takich stworzeń, które nie potrafiłyby skrzywdzić nawet muchy. Mówiąc to uśmiechnęła się.

— O której poszła do pani Hubbard pożyczyć aspirynę?

— Tuż, po wpół do jedenastej.

— A jak długo jej nie było?

— Około pięciu minut.

— Czy w nocy ponownie opuszczała przedział?

— Nie.

Poirot zwrócił się do lekarza.

— Czy to możliwe, by Ratchetta zamordowano o tak wczesnej porze?

Doktor potrząsnął przecząco głową.

— Wobec tego sądzę, że może pani uspokoić swoją przyjaciółkę, mademoiselle.

— Dziękuję. — Niespodziewanie uśmiechnęła się do detektywa, tym razem jej uśmiech budził sympatię. — Widzi pan, ona przypomina owcę. Denerwuje się i beczy.

I odwróciwszy się, wyszła.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ZEZNANIE NIEMIECKIEJ POKOJÓWKI

Monsieur Bouc popatrzył zdziwiony na przyjaciela.

— Nie całkiem cię rozumiem, mon vieux. Do czegoż ty zmierzasz?

— Szukałem słabego punktu, przyjacielu.

— Słabego punktu?

— Zgadza się, w pancerzu tej młodej damy. Chciałem wzburzyć jej sang-froid, zimną krew. Czy mi się powiodło? Nie wiem. Ale wiem jedno. Nie spodziewała się, że w ten sposób podejść do sprawy.

— Ty ją podejrzewasz — powiedział przeciągając słowa monsieur Bouc. — Ale dlaczego? Wydaje się czarującą młodą osobką, ostatnią na świecie, która mogłaby być zamieszana w morderstwo tego rodzaju.

— Zgadza się — potaknął doktor Constantine. — Jest zimna. Nie ulega emocjom. Ona nie zakłułaby człowieka nożem, a zaciągnęłaby go do sądu.

Poirot westchnął.

— Obaj musicie pozbyć się obsesji, że tego morderstwa dokonano żywiołowo i bez premedytacji. A przyczyny, dla których podejrzewam pannę Debenham, są dwie. Pierwsza dotyczy czegoś, co przypadkiem podsłuchałem, a o czym wy jeszcze nie wiecie.

I opowiedział im o zadziwiającej rozmowie, której był świadkiem w Aleppo.

— Bezsprzecznie zastanawiające — zgodził się monsieur Bouc, gdy Poirot skończył. — I wymaga wyjaśnienia. Jeżeli oznacza ona to właśnie, co podejrzewasz, wówczas oboje są zamieszani. I dziewczyna, i ten sztywny Anglik.

Poirot kiwnął głową.

— A temu właśnie przeczą znane nam fakty. Widzicie, jeżeli oboje maczali w tym palce, czego mogliśmy się spodziewać? Że będą nawzajem świadczyć sobie alibi. Prawda? Lecz nie, nic takiego nie nastąpiło. Pannie Debenham alibi zapewnia Szwedka, która jej nigdy przedtem nie widziała, natomiast pułkownikowi Arbuthnotowi — MacQueen, sekretarz zamordowanego. Nie, takie rozwiązanie tajemnicy jest zbyt proste.

— Mówiłeś jednak, że istnieje jeszcze druga przyczyna twoich podejrzeń — przypomniał monsieur Bouc.

Poirot uśmiechnął się.

— Och, ale czysto psychologiczna. Zapytuję siebie, czy to możliwe, by panna Debenham zaplanowała tę zbrodnię? Jestem bowiem przekonany, że za tą sprawą kryje się chłodny, inteligentny, przebiegły umysł. A tej charakterystyce odpowiada umysł panny Debenham.

Bouc potrząsnął głową.

— Moim zdaniem, jesteś w błędzie, przyjacielu. Nie widzę w tej angielskiej dziewczynie zbrodniarki.

— No cóż — powiedział Poirot biorąc ostatni paszport — końcowe nazwisko na naszej liście. Hildegarda Schmidt, pokojówka.

Wezwana przez kelnera Hildegarda Schmidt weszła do wagonu restauracyjnego i stanęła w pełnej uszanowania pozie.

Poirot gestem poprosił ją, by usiadła.

Uczyliła to, splatając ręce i spokojnie oczekując na pytania. Wydawała się wyjątkowo stateczną osobą, bezwzględnie uczciwą, choć może niezbyt roztropną.

Metoda, jaką Poirot zastosował wobec Hildegardy Schmidt, tworzyła całkowity kontrast z tym, jak potraktował Mary Debenham.

Zachowywał się możliwie jak najserdeczniej i najżyczliwiej, rozpraszając obawy kobiety. Potem, gdy zapisała już swoje dane, delikatnie przeszedł do zadawania pytań.

Przesłuchanie odbywało się w języku niemieckim.

— Chcemy dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, o wydarzeniach ubiegłej nocy — powiedział. — Wiemy, że pani nie mogłaby nam opowiedzieć wiele o samej zbrodni, lecz może widziała pani lub słyszała coś, co wydaje się pani bez znaczenia, a dla nas okaże się istotne. Rozumie pani?

Wyglądało na to, że nie. Jej szeroka poczciwa twarz zastygła w wyrazie jawnego ogłupienia.

— Ja tam nic nie wiem, monsieur.

— Cóż, wie pani, na przykład, że wczoraj wieczorem pani chlebodawczyni posiała po panią.

— To wiem.

— Czy pamięta pani, o której to było?

— Nie. Widzi pan, spałam już, kiedy konduktor po mnie przyszedł.

— A tak, tak. Czy wezwanie w taki sposób nie zdziwiło pani?

— Nie było w nim nic niezwykłego, monsieur. Łaskawa pani często wymaga w nocy opieki. Nie za dobrze sypia.

— Eh bien, więc otrzymała pani wezwanie i wstała. Czy nałożyła pani na siebie szlafrok?

— Nie, monsieur. Ubrałam się. Nigdy nie pozwoliłabym sobie na pójście do jej wysokości w szlafroku.

— A przecież pani ma taki ładny szlafroczek, szkarłatny, nieprawdaż? Wytrzeszczyła na niego oczy.

— Jest granatowy, flanelowy, monsieur.

— O! Proszę mówić dalej. To tylko taki niewinny żarcik z mojej strony. Więc poszła pani do madame la princesse. I co pani u niej robiła?

— Masaż, monsieur. a potem czytałam na głos. Nie czytam na głos dobrze, ale jej wysokość mówi, że to lepiej. Szybciej ją usypia. Kiedy zrobiła się senna, powiedziała mi, bym odeszła, więc zamknęłam książkę i wróciłam do swojego przedziału.

— Czy pani wie, o której to było?

— Nie, monsieur.

— A jak długo przebywała pani u madame la princesse?

— Około pół godziny, monsieur,

— Dobrze, proszę dalej.

— Wpierw zaniosłam jej wysokości dodatkowy pled ze swojego przedziału. Mimo ogrzewania było bardzo zimno. Przykryłam ją, a ona życzyła mi dobrej nocy. Nalałam jej trochę wody mineralnej. Potem zgasiałam światło i wyszłam.

— Czy na korytarzu spotkała pani kogoś?

— Nie, monsieur.

— A przypadkiem nie spotkała pani kobiety ubranej w szkarłatne kimono haftowane w smoki? Wytrzeszczyła na niego swoje łagodne oczy.

— Nie, naprawdę nie, monsieur. Nie było nikogo prócz konduktora. Wszyscy spali.

— Ale konduktora pani widziała?

— Tak.

— Co robił?

— Wychodził z jednego z przedziałów, monsieur.

— Co takiego?! — Bouc nachylił się do przodu. — Z którego?

Hiłdegarda Schmidt zrobiła przestraszona minę, więc Poirot spiorunował przyjaciela pełnym wyrzutem spojrzeniem.

— Oczywiście — powiedział. — Konduktor czasem musi odpowiadać na dzwonki. Czy może przypomina sobie pani, który to był przedział?

— Mniej więcej pośrodku wagonu, monsieur. Drugi czy trzeci za przedziałem madame la princesse.

— Aha. Jeśli łaska, proszę opowiedzieć nam dokładnie, gdzie to było i co się stało.

— On prawie na mnie wpadł. To było wtedy, gdy wracałam do księżnej z pledem.

— A on wyszedł z przedziału i niemal się z panią zderzył. W którym kierunku podążał?

— W przeciwnym niż ja, monsieur. Przeprosił i poszedł dalej w stronę wagonu restauracyjnego. Zabrzęczał jakiś dzwonek, ale on chyba go nie dosłyszał.

Umilkła, potem spytała:

— Nie rozumiem. Po co...?

Poirot odezwał się uspokajająco:

— To tylko pytanie o czas — powiedział. — Zwykła formalność. Biedny konduktor, wygląda na to, że miał pracowitą noc. Najpierw budził panią, potem odpowiadał na dzwonki.

— To nie był ten sam konduktor, który mnie zbudził, monsieur. Inny.

— A! Inny! Czy przedtem już go pani widziała?

— Nie.

— Aha. Rozpoznałaby go pani, gdyby go teraz zobaczyła?

— Chyba tak.

Poirot mruknął coś do monsieur Bouca. Ten wstał, podszedł do drzwi i wydał jakieś polecenie.

Poirot dalej prowadził przesłuchanie łagodnym, przyjacielskim tonem. — Czy była pani kiedyś w Ameryce, Frau Schmidt?

— Nigdy. To musi być piękny kraj.

— A może słyszała już pani, że ten mężczyzna, którego zabito, był sprawcą śmierci małego dziecka?

— Tak, słyszałam, monsieur. To wstrętne, nikczemne. Dobry Bóg nie powinien był dopuścić do czegoś takiego. My w Niemczech nie jesteśmy tak niegodziwi.

Oczy kobieciny zaszklily się łzami. Wzruszyła się jej macierzyńska dusza.

— Odpychająca zbrodnia — powiedział poważnie Poirot. Wyciągnął z kieszeni batystowy drobiazg i podał jej. — To pani chusteczka, Frau Schmidt?

Przez chwilę panowała cisza, gdy kobieta oglądała chusteczkę. Po dłuższej chwili podniosła głowę. Miała lekko zaczerwienioną twarz.

— Och, doprawdy nie. Nie moja, monsieur.

— Widzi pani, tutaj wyhaftowano monogram „H”. Dlatego pomyślałem, że należy cło pani.

— Ależ, monsieur, to chusteczka damy. Bardzo kosztowna. Ręcznie haftowana. Przypuszczam, że pochodzi z Paryża.

— Więc nie należy do pani i pani nie wie, czyja to własność?

— Ja? Skąd, monsieur.

Z trójki słuchaczy tylko Poirot wychwycił drobną nutę wahania w jej odpowiedzi.

Monsieur Bouc szepnął mu coś do ucha. Poirot kiwnął głową i zwrócił się do pokojówki:

— Przyszło trzech konduktorów z wagonów sypialnych. Czy byłaby pani tak dobra i powiedziała mi, którego z nich spotkała pani ubiegłej nocy, gdy wracała pani do księżnej z pledem?

Wkroczyło trzech mężczyzn. Pierre Michel, potężny jasnowłosy konduktor salonki Ateny — Paryż i zwalisty, barczysty konduktor wagonu bukareszteńskiego.

Hildegarda Schmidt, spojrzawszy na nich, bez wahania potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, monsieur — powiedziała. — Ubiegłej nocy nie widziałam żadnego z nich.

— Ale to są jedyni konduktorzy w całym pociągu. Musi się pani mylić.

— Jestem całkowicie pewna. Oni wszyscy są wysocy, barczyści. A tamten, którego widziałam, był niski i ciemnowłosy. Miał mały wąsik. „Pardon” powiedział słabym, kobiecym głosem. Ja naprawdę go bardzo dobrze zapamiętałam, monsieur.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

PODSUMOWANIE ZEZNAŃ PASAŻERÓW

— Niski, ciemny mężczyzna o kobiecym głosie — powiedział Poirot.

Odprawiono już trzech konduktorów i Hildegardę Schmidt.

Monsieur Bouc wykonał gest rozpaczy.

— Ale ja nic a nic z tego nie rozumiem, nic a nic! Czy ten wróg, o którym opowiadał Ratchett, mimo wszystko dostał się do pociągu? Już mi się w głowie mąci! Gdzie on teraz jest? Jak mógł się rozplątać w powietrzu?! Błagam cię, przyjacielu, powiedz coś. Wytlumacz mi, jak niemożliwe może stać się możliwe!

— To dobre zdanie! — pochwalił go Poirot. — Niemożliwe nie może się zdarzyć, wobec tego pozornie niemożliwe musi być możliwe.

— Wytlumacz mi więc szybko, co naprawdę się wydarzyło w tym pociągu ubiegłej nocy?

— Nie jestem magikiem, mon cher. Tak jak ty, i ja jestem tym wszystkim skołowany. Cała sprawa rozwija się w niesłychanie dziwny sposób.

— Ależ ona w ogóle się nie rozwija! Stoi w miejscu. Poirot potrząsnął głową.

— Nie, nieprawda. Posunęliśmy się daleko naprzód. Wiemy już o pewnych faktach. Usłyszeliśmy zeznania pasażerów.

— I co nam to dało? Zupełnie nic!

— Ja bym tego nie powiedział, przyjacielu.

— No, może przesadzam. Ten Amerykanin, Hardman, i niemiecka pokojówka, oni, owszem, przyczynili się nieco do wzbogacenia naszej wiedzy. To znaczy, sprawili, iż cała zagadka siała się jeszcze bardziej zagmatwana niż przedtem.

— Nie, skądże znowu — zaprzeczył uspokajającym tonem Poirot.

Monsieur Boue popatrzył na niego.

— Mów więc, podziel się z nami mądrością Herkulesa Poirot.

— Czyż nie przyznałem, że tak jak ty łamię sobie nad tym wszystkim głowę? Ale przynajmniej możemy stawić czoło naszej tajemnicy. Możemy melodycznie i w jakimś porządku posegregować znane nam fakty.

— Błagam, niechże pan mówi! — odezwał się doktor Constanline.

Poirot odchrząknął i rozprostował arkusz bibuły.

— Przyjrzyjmy się więc naszej sprawie w świetle tego, czym dysponujemy. Po pierwsze, mamy pewnej niepodważalne fakty. Ubiegłej nocy mężczyzna o nazwisku Ratchett alias Cassetti otrzymał dwanaście ran kłutych, w wyniku których zmarł. To fakt numer jeden.

— Zgadzam się z tobą, zgadzam, mon vieux — potwierdził monsieur Bouc, skłaniając się ironicznie.

Herkulesa Poirot len wtęć bynajmniej nie spieszył. Spokojnie ciągnął dalej:

— Pominę na razie pewne, osobliwe jak się zdaje, zjawiska, o których już dyskutowaliśmy z doktorem Constantine'em. Później do nich wrócę. Dla mnie kolejnym, znaczącym faktem jest czas popełnienia morderstwa.

— To także jedna z niewielu kwestii, na jakie znamy odpowiedź — stwierdził monsieur Bouc. — Morderstwo popełniono kwadrans po pierwszej w nocy. Jak wszystko na to wskazuje.

— Nie wszystko. Przesadzasz. Ale, oczywiście, dysponujemy wieloma poszlakami na poparcie tej tezy.

— Cieszy mnie, że przynajmniej z tym się zgadzasz. Poirot ciągnął, nie dotknięty jego uwagą:

— Otwierają się więc trzy możliwości. Pierwsza: Morderstwo, jak mówiłeś, popełniono kwadrans po pierwszej. Potwierdza to zeznanie Niemki, Hildegardy Schmidt. Zgadza się to także z oświadczeniem doktora Constantine'a.

Możliwość druga: Zbrodni dokonano później. Dowód w postaci celowo spreparowanego zegarka.

Możliwość trzecia: Zbrodni dokonano wcześniej, a dowód spreparowano jak wyżej.

A więc, jeśli przychylimy się do możliwości numer jeden, jako najbardziej prawdopodobnej i potwierdzonej przez większość poszlak, musimy także zaakceptować wynikające z niej oczywiste fakty. Na początek, jeżeli morderstwo popełniono kwadrans po pierwszej, morderca nie mógł opuścić pociągu. Tak więc rodzi się pytanie: gdzie on teraz jest? I kim jest? Wpierw drobiazgowo zbadajmy dowody. Po raz pierwszy o istnieniu tego człowieka, niskiego, ciemnowłosego, o kobiecym głosie, dowiedzieliśmy się od Hardmana. Zeznał on, że Ratchett opowiedział mu o tamtym i wynajął detektywa, by miał nad nim pieczę. A na to z kolei nie mamy żadnego dowodu, prócz słów samego Hardmana. Toteż rozważmy następujące pytanie: czy Hardman jest osobą, która udaje, że pracuje dla nowojorskiej Agencji Detektywistycznej?

W całej tej sprawie najciekawsze dla mnie jest to, że nie mamy dostępu do żadnych danych policyjnych. Nie możemy sprawdzić bona fides żadnego z pasażerów.

Musimy polegać wyłącznie na dedukcji. I jeśli o mnie, czyni to sprawę tym bardziej interesującą. Żadnej rutynowej roboty. Jedynie zadanie dla intelektu. Zapytuję siebie: „Czy możemy uwierzyć w to, co mówił o sobie Hardman?” Podejmuję decyzję i odpowiadam: „Tak”. Moim zdaniem możemy uwierzyć w słowa Hardmana.

— Polega więc pan na intuicji, na tym, co Amerykanie nazywają przeczuciem? — spytał doktor Constantine.

— Wcale nie. Rozpatruję tylko za i przeciw. Hardman podróżuje ze sfalszowanym paszportem, a to natychmiast czyni z niego osobę podejrzaną. Pierwszą rzeczą, jaką uczyni po przybyciu policja, będzie zatrzymanie Hardmana i sprawdzenie telegraficznie, czy przedstawione przez niego dane są prawdziwe. W przypadku większości pasażerów ustalenie ich bona fides będzie trudne. Najpewniej w wielu wypadkach taka próba nawet nie zostanie podjęta, jako że nic ich nie obciąża. Ale jeśli chodzi o Hardmana, to sprawa jest jasna. Albo jest tym, za kogo się podaje, albo nie. Dlatego leż twierdzą, że wszystko, co mówił, jest zgodne z prawdą.

— Więc oczyszczasz go z wszelkich podejrzeń?

— Ależ nie! Źle mnie zrozumiałeś. Z tego, co wiem, każdy amerykański detektyw może mieć swoje osobiste powody, by życzyć Ratchettowi śmierci. Nie, ja mówię tylko, iż możemy uwierzyć w to, co Hardman mówi o sobie. Także jego opowieść o tym, jak to Ratchett go odszukał i wynajął, jest wielce prawdopodobna, chociaż, oczywiście, nie musi być prawdziwa. Jeżeli zgodzimy się, że jest prawdą, musimy się rozejrzeć, czy mamy coś na jej potwierdzenie. I natrafiamy na nie w całkiem niespodziewanym miejscu — w zeznaniu Hildegardy Schmidt. Jej opis mężczyzny, którego zobaczyła w mundurze konduktora Wagon Lit, pasuje jak ulał. Ale czy mamy jakieś dalsze potwierdzenie obu tych historii? Mamy! Guzik od uniformu znaleziony u przedziale pani Hubbard. A także inne potwierdzające zeznanie, na które może nie zwróciliście uwagi.

— Jakie?

— Takie, że zarówno pułkownik Arbuthnot, jak i Hector MacQueen wspomnieli, że jakiś konduktor przeszedł obok przedziału, w którym siedzieli. Oni do tego faktu nie przywiązywali żadnej wagi, ale, messieurs, Pierre Michel zeznał, że prócz ściśle określonych sytuacji nie opuszczał swojego miejsca, a żadna z nich nie wymagała mijania przedziału MacQueena.

Toteż historia, ta historia o niskim, ciemnowłosym mężczyźnie mówiącym kobiecym głosem, przebranym w mundur konduktora, wspiera się o zeznania — bezpośrednie lub pośrednie — czterech świadków.

— Z jednym maleńkim zastrzeżeniem — wtrącił doktor Constantine. — Jeżeli historia opowiedziana przez Hildegardę Schmidt jest zgodna z prawdą, jakim cudem prawdziwy konduktor nie wspomniał, że ją zobaczył, kiedy spieszył na dzwonek pani Hubbard?

— Myślę, że to da się wytłumaczyć. Kiedy szedł do pani Hubbard, pokojówka była właśnie u swojej pani. Kiedy zaś wracała już po raz ostatni do siebie, konduktor był u pani Hubbard.

Monsieur Bouc wprost nie mógł doczekać się, aż umilkną.

— Wszystko pięknie, przyjacielu — zwrócił się niecierpliwie do Poirota. — Lecz podziwiając twoją rozwagę, twoją metodę posuwania się krok po kroku, wyznaję, iż moim zdaniem wcale nie

dotknąłeś sedna sprawy. Zgadząmy się wszyscy, że taka osoba istniała. Sęk w tym, gdzie jest teraz? Poirot karcąco pokręcił głową.

— Popelniasz błąd. Masz skłonność do zaprzęgania wozu przed koniem. Ja, nim spytałbym siebie: „Gdzie zniknął ten człowiek?”, zadałbym sobie pytanie: „Czy on w ogóle istniał?” Gdyż, zrozum, jeżeli go wymyślono, sfabrykowano, jakże to uprościłoby jego zniknięcie! Tak więc najpierw starałbym się ustalić, czy rzeczywiście była to osoba z krwi i kości.

— A znalazłszy potwierdzenie, że lak... eh bien... to gdzie jest teraz?

— Na to mamy dwie odpowiedzi, mon cher. Albo ukrywa się do tej pory gdzieś w pociągu, w tak niesłychanie tajemniczym miejscu, że my nie potrafimy wpaść na to, gdzie się znajduje. Albo istnieje, jak to mówią, w dwóch postaciach. Co znaczy, że jest zarówno sobą — człowiekiem, którego obawiał się monsieur Ratchett — jak i pasażerem tego pociągu, tak znakomicie zamaskowanym, iż Ratchett go nie rozpoznał.

— To jest myśl! — stwierdził z wyjaśniałą twarzą monsieur Bouc. Potem znów się zachmurzył: — Z jednym tylko zastrzeżeniem...

Poirot wpadł mu w słowo:

— Wzrost tego człowieka. To chciałeś powiedzieć? Oprócz kamerdynera Ratchetta wszyscy mężczyźni, pasażerowie tego pociągu, są słusznego wzrostu: Włoch, pułkownik Arbuthnot, Hector MacQueen, hrabia Andrenyi. Cóż, to ogranicza nas do kamerdynera i jest wysoce nieprawdopodobne. Ale mamy i inną możliwość. Przypomnijcie sobie o „kobiecy głosie”, który nam daje duże pole do popisu. Ten mężczyzna mógł być przebrany za kobietę lub, inne wyjście, to naprawdę była kobieta. Wysoka kobieta w męskim przebraniu mogła wydawać się niskim mężczyzną.

— Ale Ratchett z pewnością by wiedział...

— Może i wiedział. Założmy, że kobieta ta nastawała już na jego życie przebrana za mężczyznę, by ułatwić sobie osiągnięcie zamierzonego celu. Ratchett mógł więc przypuszczać, że po raz drugi powtórzy tę sztuczkę. Dlatego powiedział Hardmanowi, by spodziewał się mężczyzny. Wspomniał jednak o kobiecym głosie.

— To prawdopodobne — odezwał się monsieur Bouc. — Ale...

— Posłuchaj, przyjacielu. Myślę, że przyszła pora, bym wyjawiał ci istnienie pewnych sprzeczności, odkrytych przez doktora Constantine’a.

I szczegółowo opisał wnioski, do jakich doszli wspólnie z lekarzem, badając charakter zadanych denatowi ran. Monsieur Bouc jęknął tylko i znowu zwiesił głowę.

— Wiem — odezwał się serdecznie Poirot. — Wiem doskonale, co czujesz. Mąci ci się w głowie, czyż nie tak?

Ta cała sprawa jest po prostu niesamowita! — wyrwało się monsieur Boucowi.

— Dokładnie. Jest to absurd, coś niemożliwego, to de mogło się zdarzyć. Tak właśnie sobie powiedziałem. A jednak, mój przyjacielu, zdarzyło się! Nie można zignorować faktów.

— To szaleństwo!

— Czyż nie? To wszystko jest szalone, przyjacielu, że chwilami prześladuje mnie myśl, iż rozwiązanie w istocie musi być niesłychanie proste.

Ale to tylko jeden z moich „skromnych konceptów”...

— Dwóch morderców — jęknął monsieur Bouc. — W Orient Expressie.

Na samą tę myśl omal nie zapłakał.

— A teraz, sprawimy, że całe to szaleństwo stanie się jeszcze bardziej niesamowite — oświadczył pogodnie Poirot. — Ubiegłej nocy w pociągu pojawiło się dwoje ludzi. Konduktor Wagon Lit odpowiadający rysopisowi podanemu przez monsieur Hardmana, widziany też przez Hildegardę Schmidt, pułkownika Arbuthnota i monsieur MacQueena. Oraz kobieta w czerwonym kimonie, wysoka, szczupła, widziana przez Pierre’a Michela, pannę Debenham, monsieur MacQueena i przeze mnie osobiście, a także, powiedziałbym, wyczuła przez pułkownika Arbuthnota! Kim była? Nikt w pociągu nie przyznał się do posiadania szkarłatnego kimona. I ona

zniknęła. A może i ona, i rzekomy konduktor to jedna i ta sama osoba? A może dwie zupełnie różne? Kim zatem byli ci dwoje? I przy okazji: gdzie podział się uniform konduktora i szkarłatne kimono?

— No! Nareszcie coś do sprawdzenia — monsieur Bouc żwawo poderwał się na równe nogi. — Musimy przeszukać bagaże pasażerów. Tak, wreszcie jakieś konkrety.

Poirot także wstał.

— Mogę wyjawić wam pewne proroctwo — oświadczył.

— Wiesz, gdzie są te ubrania?

— Mam takie wyobrażenie.

— Wobec tego, mów, gdzie?!

— Szkarłatne kimono znajdziesz w bagażu któregoś z mężczyzn, a mundur konduktora w walizkach Hildegardy Schmidt.

— Hildegardy Schmidt? Sądziś więc...?

— Nie to, co masz na myśli. Ujmę to tak: gdyby Hildegarda Schmidt była winna, moglibyśmy znaleźć uniform w jej bagażu, ale jeśli jest niewinna, znajdziemy go z całą pewnością. Lecz jak...

— zaczął monsieur Bouc i urwał. — Cóż to za dziwne hałasy?! — zawołał. — Zupełnie jakby tu nadciągała lokomotywa.

Hałas przybliżył się. Można już było odróżnić ostre krzyki i protesty kobiety. Drzwi na końcu wagonu restauracyjnego otworzyły się z impetem. Wpadła przez nie pani Hubbard.

— To okropne! — krzyczała. — To nazbyt okropne. W mojej torbie na przybory toaletowe! W mojej własnej torbie! Wielki nóż... cały we krwi!

I nagle, zachwiawszy się, runęła jak kłoda w objęcia monsieur Bouca.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ŚLAD: NARZĘDZIE ZBRODNI

Bardziej energicznie niż rycersko monsieur Bouc ułożył omdlałą niewiastę tak, by głowa jej wspierała się o stolik. Doktor Constantine zawołał jednego z kelnerów, który przybiegł co tchu.

— Trzymaj jej głowę w tej pozycji — polecił lekarz. — Kiedy wrócą jej zmysły, podaj odrobinę koniaku. Rozumiesz?

Potem pospiesznie wrócił do swoich dwóch towarzyszy. Poza zbrodnią nie interesowało go nic — a już szczególnie mdlejące damy w średnim wieku.

Możliwe, że właśnie takiemu potraktowaniu pani Hubbard zawdzięczała szybsze ozdrowienie. Po upływie kilku zaledwie minut siedziała, sącząc zaserwowany przez kelnera koniak i rozprawiając w najlepsze:

— Wprost trudno opisać, jakie to było straszne. Chyba nikt w całym pociągu nie będzie w stanie zrozumieć, co ja przeżyłam. Od dzieciństwa byłam strasznie, strasznie wrażliwa. Sam widok krwi... Dlatego jeszcze teraz, gdy o tym pomyślę, robi mi się słabo...

— Kelner podsunął jej następny kieliszek.

— Encore en peu, madame.

— Myśli pan, że mi to dobrze zrobi? Jestem zaprzysiężoną abstynentką. Nigdy nawet nie zbliżam się do wódki czy wina. Cała moja rodzina to abstynenci, jednak skoro to lekarstwo...

Pociągnęła kolejny łyk. Tymczasem Poirot, monsieur Bouc i doktor Constantine wybiegli z wagonu restauracyjnego, spiesząc korytarzem salonki Sambuł–Calais do przedziału pani Hubbard.

Wyglądało na to, że wszyscy pasażerowie wylegli ze swoich przedziałów. Konduktor, z zaambarasowaną miną, nakłaniał ich do powrotu.

— Maizi il n'y a rien ? voir — mówił, powtarzając to zdanie w kilku językach.

— Proszę pozwolić nam przejść, jeśli łaska — odezwał się monsieur Bouc.

Usiłując jak najbardziej wciągnąć w siebie swoje okrągłości, monsieur Bouc wyminął zawadzających mu pasażerów i wszedł do przedziału pani Hubbard. Za nim uczynił to Poirot.

— Cieszę się, że pan już jest, monsieur — powiedział konduktor z westchnieniem ulgi. — Wszyscy usiłowali tutaj wejść. Ta dama z Ameryki... jakżeż się ona darła, ma foi! Myślałem, że i ją mordują! Przybiegłem co sił. a ona krzyczała jak szalona, że musi się do panów dostać. Wypadła, informując na cały głos wszystkich mijanych po drodze, co się stało.

I dodał wskazując dłonią:

— To jest tutaj, monsieur. Nie dotykałem tego.

Na gałce drzwi wiodących do sąsiedniego przedziału wisiała ogromnych rozmiarów kraciasta torba na przybory toaletowe. Poniżej, na podłodze, dokładnie tam, gdzie wypadł z dłoni pani Hubbard, leżał sztylet z prostym ostrzem, imitujący wyroby orientalne, z rzeźbioną rękojeścią i spiczastym końcem. Na ostrzu widniały rdzawe plamy.

Poirot podniósł go delikatnie.

— Tak — mruknął. — Nie ma mowy o pomyłce. Oto nasze zaginione narzędzie zbrodni, zgadza się, doktorze?

Lekarz obejrzał je.

— Nie musi być pan aż taki ostrożny — powiedział Poirot. — Nie będzie na nim żadnych odcisków palców, prócz odcisków pani Hubbard.

— Oględziny dokonywane przez Constantine'a nie potrwały długo.

— Zgadza się, to jest narzędzie zbrodni — potwierdził. — Pasuje do wszystkich ran.

— Proszę usilnie, przyjacielu, nie mów tego.

Doktor popatrzył zdumiony.

— Już teraz jesteśmy wprost przytłoczeni zbiegami okoliczności. Dwie osoby postanowiły ubiegłej nocy zakłuć na śmierć monsieur Ratchetta. Byłoby to zbyt piękne, gdyby oboje wybrali identyczne narzędzie zbrodni.

— Jeżeli o to chodzi, zbieg okoliczności nie byłby aż tak niezwykły — zauważył lekarz. — Tysiące takich podrabianych orientalnych sztyletów znajduje się na bazarach Konstantynopola.

— Dodaje mi pan odrobinę ducha, ale tylko odrobinę — odezwał się Poirot.

Zadumany spoglądał na drzwi naprzeciwko, potem, unosząc torbę, spróbował przekręcić gałkę drzwi. Te nie puściły. Mniej więcej stopę nad gałką znajdował się rygiel. Poirot odsunął go i spróbował ponownie, lecz drzwi wciąż nie dawały się otworzyć.

— Proszę sobie przypomnieć, że są zamknięte od drugiej strony — odpowiedział mu lekarz.

— Prawda — zgodził się Poirot, jakby nieco roztargniony. Wydawało się, że myśli o czymś innym. Nagle, zaskoczony, zmarszczył brwi.

— To się zgadza, nieprawdaż? — pytał monsieur Bouc. — Ten człowiek przeszedł przez ten przedział? A kiedy zamykał za sobą drzwi, natknął się na torbę na przybory toaletowe. Nasunęło mu to pewien pomysł i skorzystał z niego, wetknąwszy do torby zakrwawiony nóż. Potem, zupełnie nieświadomy, że zbudził panią Hubbard, wymknął się drugimi drzwiami na korytarz.

— Skoro tak mówisz... — mruknął Poirot. — Tak właśnie musiało być.

Ale z jego twarzy nie zniknął wyraz zdumienia.

— Cóż to? — dopytywał się monsieur Bouc. — Jest tutaj coś jeszcze, co cię niepokoi, prawda?

Poirot obrzucił go szybkim spojrzeniem.

— A tobie to nie upadło w oko? Nie, najwyraźniej nie! No cóż, to drugorzędna kwestia.

Do przedziału zajrzał konduktor.

— Wraca Amerykanka.

Doktor Constantine przybrał minę winowajcy. Czuł, że potraktował te niewiastę nieco po grubiańsku. Ale ona nie czyniła mu wymówek. Całą swoją energię skoncentrowała na innej sprawie.

— Od razu chce jedno postawić jasno — oświadczyła bez tchu, stając na progu. — Ani chwili dłużej nie zamierzam zostać w tym przedziale! Nic mogłabym tutaj spać, nawet gdybyście ofiarowali mi milion dolarów.

— Ależ, madame...

— Wiem, co pan chce powiedzieć, a ja panu powtarzam, że za nic się na to nie zgadzam. Wolę przesiedzieć całą noc na korytarzu.

Zaczęła płakać.

— Och! Gdyby to moja córka wiedziała! Gdyby mnie teraz mogła zobaczyć!...

Poirot przerwał jej stanowczo.

— Pani mnie źle pojęła, madame. Pani żądanie jest ze wszech miar zrozumiałe. Bagaż zostanie natychmiast przeniesiony do innego przedziału.

Pani Hubbard odjęła chusteczkę od oczu.

— Naprawdę! O, już czuję się lepiej. Ale przecież nie ma wolnego miejsca, chyba że jeden z dżentelmenów...

Głos zabrał monsieur Bouc.

— Pani bagaż, madame, zostanie wyniesiony w ogóle poza ten wagon. Otrzyma pani przedział w sąsiedniej salonce, dołączonej w Belgradzie.

— To cudownie! Absolutnie nie należę do nerwowych kobiet, ale spanie w przedziale przylegającym do tego, w którym leżą zwłoki... — wzdrygnęła się. — To przyprawia mnie o obłęd.

— Michel! — zawołał monsieur Bouc. — Proszę przenieść bagaż madame do wolnego przedziału w wagonie Ateny–Paryż.

— Tak, monsieur, takiego jak ten, numer 3?

— Nie — wtrącił Poirot, nim jego przyjaciel zdołał coś odpowiedzieć. — Myślę, że dla madame byłoby lepiej otrzymać całkiem inny numer. Na przykład 12.

— Bien, monsieur.

Konduktor zabrał walizki. Pani Hubbard z wdzięcznością zwróciła się do Poirota:

— Jak to uprzejmie i delikatnie z pana strony. Zapewniam, że to doceniam.

— Ależ nic wielkiego, madame. Pójdziemy z panią i sprawdzimy, czy panią wygodnie rozlokowano.

Eskortowana przez trójkę mężczyzn pani Hubbard udała się do nowego lokum. Rozejrzała się uszczęśliwiona:

— Tu jest wspaniale.

— Odpowiada pani, madame? Jak pani widzi, ten przedział jest zupełnie podobny do poprzedniego.

— Zgadza się, tylko wychodzi na drugą stronę. Ale to bez znaczenia, gdyż pociąg jedzie raz w jednym, raz w drugim kierunku. Mówiłam córce: „Chcę przedział z biegiem pociągu”, a ona: „Ależ, mamuśka, i tak wszystko jedno, bo zaśniesz jadąc u jednym kierunku, a obudzisz się jadąc w drugim”. I miała absolutną rację.. Cóż, wczorajszego wieczoru ujechaliśmy do Belgradu z jednej strony, a wyjechaliśmy z drugiej.

— W każdym razie, madame, czy jest pani teraz całkiem spokojna i zadowolona?

— Cóż, tego bym nie powiedziała. Utknęliśmy w zaspach i nikt nic z tym nie robi, a mój statek odpływa pojutrze.

— Madame — odezwał się monsieur Bouc — każdy z nas jest w tej samej sytuacji.

— Cóż, to prawda — przyznała pani Hubbard. — Ale tylko przez mój przedział w środku nocy przeszedł morderca.

— To właśnie nie daje mi spokoju, madame — powiedział Poirot. — To, w jaki sposób ten człowiek zdołał się dostać do przedziału pani, skoro, jak sama pani twierdzi, wewnętrzne drzwi były zaryglowane. Jest pani tego pewna?

— Ależ na własne oczy widziałam, jak sprawdzała je Szwedka.

— Więc może zrekonstruujemy tę scenę. Pani leżała na swoim łóżku, dlatego sama nie mogła zobaczyć, zgadza się?

— Nie, z powodu torby na przybory toaletowe. Och, mój Boże, teraz muszę sobie sprawić nową. Na sam widok tej torby robi mi się niedobrze.

Poirot, wzięwszy torbę, zawiesił ją na gałce drzwi prowadzących do sąsiedniego przedziału.

— Précisément, rozumiem — powiedział. — Rygiel jest tuż poniżej gałki i torba go zasłania. Z miejsca, w którym pani leżała, nie da się zobaczyć, czy jest zasunięty.

— No właśnie, to cały czas panu powtarzam!

— I owa Szwedka, panna Ohlsson, stanęła pomiędzy panią a drzwiami. Spróbowała je otworzyć, potem powiedziała pani, że są zamknięte.

— Zgadza się.

— Jednakże, madame, mogła się omylić. Proszę zrozumieć, co mam na myśli — Poirot aż palił się do wyjaśnień. — Ta zasuwka to tylko metalowy pręt. Przesunięty w lewo zamyka drzwi, w prawo — otwiera. Możliwe, że panna Ohlsson tylko przekręciła gałkę, a drzwi były zamknięte od drugiej strony, uznała więc, że są zaryglowane od strony pani.

— Cóż, podejrzewam, że wtedy musiałyby być idiotką.

— Madame, najżyczliwsze, najsympatyczniejsze istoty nie zawsze muszą grzeszyć rozumem.

— Otóż to, właśnie.

— A tak przy okazji, madame. Czy do Smyrny podróżowała pani także tą trasą?

— Nie. Przyplłynęłam statkiem do Stambułu. Tam na spotkanie wyszedł mi przyjaciel mojej córki, pan Johnson (niezwykle miły człowiek, chciałabym, żeby go pan poznał). Oprowadził mnie po całym Stambule, który mnie okropnie rozczarował, wszystko się tam wali. A jeśli chodzi o te ich meczety i nakładanie na buty tych wielkich, rozdeptanych kapci... Na czym to ja stanęłam?

— Mówiła pani o spotkaniu z panem Johnsonem.

— Ach, tak. Odprowadził mnie na statek French Messagerie płynący do Smyrny, a tam w porcie czekał już na mnie mój zięć. Cóż on by powiedział, gdyby usłyszał, co się tutaj wyprawia! Moja córka mówiła, że to najbezpieczniejsza i najwygodniejsza podróż, jaką można sobie wyobrazić.

Och, mój Boże, co ja mam począć, by odwołać rezerwację na parowcu? Powinnam dać im jakoś znać. A nie mogę. To aż nazbyt okropne...

W oczach pani Hubbard znowu zaszklily się łzy. Poirot, który zdradzał lekkie objawy zniecierpliwienia, skorzystał z okazji.

— Przeżyła pani wstrząs, madame. Wydamy kelnerowi polecenie, by przyniesiono pani tutaj herbatę i sucharki.

— Ja wcale nie jestem taką wielbicieleką herbaty — zaprotestowała płaczliwie pani Hubbard. — To raczej obyczaj Anglików.

— Wobec tego kawę, madame. Przyda się pani coś na wzmocnienie.

— Po tym koniaku zaczęło mi się trochę kręcić w głowie. Myślę, że z przyjemnością napiję się kawy.

— Znakomicie. Musi pani przyjść do siebie.

— Ojej, cóż to za zabawne wyrażenie.

— Ale wpierw, madame, mała rutynowa czynność. Czy pozwoli pani, bym przeszukał jej bagaż.

— A to po co?

— Zamierzamy właśnie przeprowadzić rewizję bagażu wszystkich pasażerów. Nie chcę przypominać pani przykrego przeżycia, ale proszę pamiętać o swojej torbie na przybory toaletowe.

— Litości! Może i ma pan rację! Ja po prostu nie wytrzymałabym jeszcze jednej takiej niespodzianki.

Rewizja przebiegała sprawnie. Pani Hubbard podróżowała z minimalną ilością bagażu. Pudło na kapelusze, tania walizka i nieźle sfatygowana torba podróżna. Zawartość tych trzech sztuk bagażu była prosta i praktyczna, a przeszukanie ich nie zajęłoby więcej niż kilka minut, gdyby pani Hubbard nie uparła się, aby wszyscy podziwiali fotografie „jej córki” i dwójki raczej paskudnych dzieciaków: „Dzieci mojej córki. Czyż nie są bystre?”

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ŚLAD: BAGAŻ PASAŻERÓW

Wypowiedziawszy szereg zdawkowych uprzejmości i zapewniwszy panią Hubbard, że wyda polecenie, by przyniesiono jej kawę. Poirot wraz z dwoma towarzyszami zdołał opuścić przedział.

— Cóż. zrobiliśmy początek i spudłowaliśmy — zauważył monsieur Bouc. — Kogo następnego weźmiemy na cel?

— Myślę, że najprościej będzie przejrzeć cały wagon, przedział po przedziale. To znaczy, że zaczniemy od numeru 16, czyli sympatycznego monsieur Hardmana.

Pan Hardman, który właśnie palił cygaro, uprzejmie zaprosił ich do środka.

— Proszę wejść, panowie, jeżeli to jest w ogóle możliwe. Tu jest po prostu nieco ciasno jak na tyle osób.

Monsieur Bouc wyjaśnił cel ich najścia, a potężny detektyw ze zrozumieniem kiwnął głową.

— W porządku. Mówiąc szczerze, dziwiłem się, dlaczego nie zabraliście się za to wcześniej. Oto moje klucze, panowie, a gdybyście chcieli przetrząsnąć także moje kieszenie, to służę. Czy mam zdjąć z góry walizeczki?

— Zrobi to konduktor. Michel!

Szybko przejrzano zawartość „walizeczek” pana Hardmana. Znajdowała się w nich może nadmierna ilość napojów wysokokowych. Pan Hardman porozumiewawczo mrugnął okiem:

— Na granicach zwykle nie zagląдают do bagażu, jeżeli w porę załatwi się to z konduktorem. Toteż od razu opłaciłem się zwitkiem tureckich banknotów i jak dotąd nie miałem żadnych kłopotów.

— A co w Paryżu?

Pan Hardman znowu mrugnął porozumiewawczo:

— Nim dojadę do Paryża, to, co z tego zostanie, zmieści się we flakoniku opatrzonym nalepką „Pomada do włosów”.

— Nie należy pan do wyznawców prohibicji, monsieur Hardman — uśmiechnął się monsieur Bouc.

— No cóż... — przyznał tamten. — Trudno powiedzieć, by prohibicja spędzała mi sen z powiek.

— Aha — potaknął monsieur Bouc. — „Potajemne szynki”. — Wymówił te słowa pieszczotliwie, jakby je smakując. — Wy, Amerykanie, jesteście w swoich określeniach tacy oryginalni, tacy wyraziści.

— Ja, na przykład, bardzo bym chciał pojechać do Ameryki — odezwał się Poirot.

— Powinniście i wy nauczyć się patrzenia w przyszłość — stwierdził Hardman. — Europa chce się przebudzić. A spoczywa w półśnie.

— To prawda, że Ameryka jest krajem postępu — zgodził się Poirot — a Amerykanie mają wiele cech, które podziwiam. Tylko... Możliwe zresztą, że jestem nieco staroświecki, ale Amerykanki, jak na mój gust, są jednak mniej czarujące od moich rodaczek. Dziewczęta z Francji czy Belgii... kokietki... Pełne wdzięku... Myślę, że trudno innym się z nimi równać.

Hardman odwrócił się i przez chwilę patrzył przez okno na zasypane śniegiem.

— Może i ma pan rację, monsieur Poirot — powiedział wreszcie. — Ale chyba każda nacja najbardziej lubi swoje dziewczyny.

I zamrugał oczami, jakby poraził go śnieg.

— Oślepia, nieprawda? — zauważył. — Mówię wam, panowie, ta cała historia działa mi na nerwy. Morderstwo, ten śnieg i wszystko inne. Kompletna beczynność. Tylko nudzić się i byle czym zabijać czas. Tak już bym chciał się kimś lub czymś zająć.

— Iście amerykański niespokojny duch — uśmiechnął się Poirot.

Konduktor odstawił walizki na miejsce. Przeszli do następnego przedziału. Pułkownik Arbuthnot siedział w rogu paląc fajkę i czytając gazetę.

Poirot wyjaśnił przyczyny najścia. Pułkownik nie czynił przeszkód. Miał dwie ciężkie, skórzane walizy.

— Reszta mojego ekwipunku płynie morzem — wyjaśnił.

Jak większość żołnierzy, i pułkownik porządnie się spakował. Rewizja jego bagażu zajęła tylko kilka chwil. Poirot spostrzegł paczkę wyciorów do fajki.

— Czy zawsze używa pan tej samej marki? — spytał.

— Przeważnie. Jeżeli tylko jest dostępna.

Wyciory były identyczne z tym, który znaleziono na podłodze przedziału denata.

Gdy ponownie wyszli na korytarz, doktor Constantine zwrócił na to uwagę.

— Tout de m?me — mruknął Poirot. — Wprost trudno w to uwierzyć. Nie dans son caract?re, co mówi wszystkim.

Drzwi kolejnego przedziału były zamknięte. Należał on do księżny Dragomiroff. Zapukali i usłyszeli głęboki głos księżnej:

— Entrez.

Tutaj rzecznikiem był monsieur Bouc. Tłumacząc służbową konieczność, zachowywał się z najwyższym szacunkiem i uprzejmością.

Księżna wysłuchiwała go w milczeniu, z całkowicie obojętnym wyrazem na drobnej, ropuszej twarzy.

— Jeżeli to konieczne, messieurs — odezwała się spokojnie, gdy skończył. — Tutaj jest wszystko. Pokojówka ma kluczyki. Pomoże wam.

— Czy pani pokojówka zawsze sprawuje pieczę nad pani kluczykami, madame? — spytał Poirot.

— Oczywiście, monsieur.

— A jeśli nocą, na jakiejś granicy, celnicy zechcą otworzyć którąś z walizek?

Starsza dama wzruszyła ramionami.

— Wysoce nieprawdopodobne. Ale w takim wypadku konduktor by ją obudził.

— Więc ufa jej pani bez zastrzeżeń, madame?

— Już to panu mówiłam — odpowiedziała niewzruszona księżna. — Nie zatrudniam osób niegodnych zaufania.

— Tak. — zamyślił się Poirot. — Zaufanie w dzisiejszych czasach to doprawdy rzadkość. Pewnie dlatego lepiej zatrudniać prostą kobietę, której można ufać, niż szykowną pokojówkę, na przykład paryżankę.

Zauważył, że ciemne, inteligentne oczy księżnej powoli zwróciły się w jego stronę i przywarły do jego twarzy.

— Cóż takiego chce pan zasugerować, monsieur Poirot?

— Nic, madame. Ja? Absolutnie nic.

— Ależ owszem. Pan uważa, że powinnam wynajmować elegancką Francuzkę, by zajmowała się moją garderobą, prawda?

— Tu byłoby chyba bardziej naturalne, madame.

Potrząsnęła głową.

— Schmidt jest mi oddana — powiedziała z naciskiem. — A oddanie, c'est impayable.

Nadeszła Niemka z kluczykami. Księżna zwróciła się do niej w jej ojczystym języku, polecając otworzyć walizki i udzielić dżentelmenom pomocy w ich poszukiwaniach. Sama wyszła na korytarz i wyglądała przez okno na śnieg. Towarzyszył jej Poirot, składając na barki monsieur Bouca dopilnowanie rewizji bagażu. Księżna popatrzyła na detektywa z ironicznym uśmiechem.

— Cóż to, monsieur, nie chce pan obejrzeć zawartości moich walizek?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Madame, wszak to wyłącznie formalność.

— Taki pan pewny?

— W przypadku pani, owszem.

— A przecież znałam Sonię Annstrong i kochałam ją. Więc co pan myśli? Że nie przyłożyłabym ręki do zabicia takiej canaille jak Cassetti? Cóż, może i ma pan rację.

Milczała dłuższą chwilę, potem powiedziała:

— Wie pan, co chciałabym zrobić z takim człowiekiem? Chciałabym rozkazać służbie: „Zabatożcie go na śmierć, a ciało wdepczcie w błoto”. Tak się robiło w podobnych wypadkach w czasach mojej młodości, monsieur.

Poirot milczał, ale słów księżnej słuchał z najwyższą uwagą.

Spojrzała na niego z nagłą porywcznością.

— Pan nic nie mówi, monsieur Poirot. Ciekawam, o czym też pan myśli?

Popatrzył jej prosto w oczy.

— Myślę, madame, że pani siła tkwi w pani woli, nie w ramieniu.

Zerknęła na swoje szczupłe, spowite czarnym materiałem ramiona zwieńczone żółtawymi, szponiastymi dłońmi o upierścienionych palcach. — To prawda — przyznała. — W nich nie ma żadnej siły. I nie wiem, czy cieszyć się z tego, czy martwić.

Potem gwałtownie zawróciła do przedziału, gdzie pokojówka krzątała się, pakując już na powrót jej walizki.

Księżna krótko skwitowała przeprosiny monsieur Bouca.

— Nie ma potrzeby, by się pan usprawiedliwiał, monsieur — powiedziała. — Popołniono morderstwo. Muszą więc być wykonane pewne czynności. I to wszystko.

— Vous ?tez bien aimable, madame.

Gdy wychodzili, skłoniła lekko głowę.

Drzwi następnych dwóch przedziałów też były zamknięte. Monsieur Bouc przystanął i podrapał się w głowę.

— Diable! — wyrwało mu się. — Co za niezręczna sytuacja. Oni mają paszport dyplomatyczny. Ich bagaż nie podlega kontroli.

— Kontroli celnej, zgoda. Ale gdy mamy do czynienia z przestępstwem, to zupełnie inna sprawa.

— Wiem. Ale mimo to... nie chcemy komplikacji.

— Nie zamartwiaj się tak, przyjacielu. Hrabia i hrabina zachowują się rozsądnie. Popatrz tylko, jak wyrozumiała była księżna.

— To prawdziwa grande dame. Tych dwoje należy do tej samej kasty, jednak hrabia wywarł na mnie wrażenie cokolwiek porywczego. Nie był zadowolony, gdy upieraliśmy się przy przesłuchaniu jego żony. A to go jeszcze bardziej rozgniewa. Może więc, hm, ominemy ich? Przecież oni nie mogą mieć nic wspólnego ze zbrodnią. Dlaczego więc miałbym się pakować w niepotrzebne kłopoty?

— Nie zgadzam się z tobą — zaprotestował Poirot. — Jestem przekonany, że hrabia Andrenyi zachowa rozsądek. W każdym razie, spróbujemy.

I nim monsieur Bouc zdążył zareagować, ostro zabębnił w drzwi opatrzone numerem 13.

Z wewnątrz zawołano głośno:

— Entrez!

Hrabia siedział w narożniku przy drzwiach, czytając gazetę. W przeciwnym narożniku, pod oknem, leżała zwinięta w kłębek hrabina. Pod głową miała poduszkę, sprawiała wrażenie, że śpi.

— Pardon, monsieur le comte — zaczął Poirot. — Proszę wybaczyć to najście. Spowodowane jest koniecznością przeszukania całego bagażu znajdującego się w tym wagonie. To doprawdy czysta formalność, ale należy jej dopełnić. Ponieważ pan ma paszport dyplomatyczny, monsieur Bouc spodziewa się, iż może słusznie pan żądać wyłączenia z tej rewizji.

Hrabia zastanawiał się chwilę.

— Jestem wdzięczny za względy — przemówił — nie sądzę jednak, by zależało mi, aby w moim wypadku uczyniono wyjątek. Wolałbym raczej, żeby nasz bagaż przeszukano tak, jak bagaż wszystkich pasażerów.

I zwrócił się do żony:

— Chyba i ty nie masz nic przeciwko temu, Elena?

— Absolutnie — zgodziła się bez wahania hrabina. Dokonano błyskawicznego i cokolwiek pobieżnego przeszukania. Wyglądało na to, że Poirot usiłuje ukryć zmieszanie, gdyż czynił liczne, bezsensowne uwagi, takie jak:

— Ta nalepka na pani walizce, madame, jest cała mokra — gdy podnosił niebieską walizkę z marokinu opatrzoną inicjałami i hrabiowską koroną.

Hrabina nie zareagowała na tę uwagę. Wydawała się serdecznie znudzona całym tym zamieszaniem, wciąż siedziała skulona, wyglądając sennie przez okno, podczas gdy trzech mężczyzn przeszukiwało jej bagaż w sąsiednim przedziale.

Poirot zakończył oględziny otwierając małą szafkę nad umywalką i bystro przepatrując jej zawartość — gąbka, krem do twarzy, puder i mały flakonik z nalepką: „Trional”.

Następnie, wymieniwszy z obu stron uprzejmości, ekipa śledcza wycofała się.

Kolejny przedział należał do pani Hubbard, potem był przedział denata i dalej Poirota.

Przeszli więc do przedziałów drugiej klasy. Pierwszy, numery 10 i 11, zajmowały Mary Debenham, która właśnie czytała książkę, i Greta Ohlsson. pogrążona w głębokim śnie. Jednak gdy weszli, natychmiast się obudziła, przestraszona.

Poirot powtórzył swoją formułkę. Szwedka zdawała się tym poruszona, Mary Debenham była spokojna i obojętna.

Poirot zwrócił się do Szwedki:

— Jeżeli pani pozwoli, mademoiselle, najpierw przepatrzymy pani bagaż, a potem może będzie pani taka uprzejma i pójdzie zobaczyć, jak miewa się nasza dama z Ameryki. Przenieśliśmy ją do jednego z przedziałów w sąsiednim wagonie, ale wciąż jest roztrzęsiona swoim odkryciem. Poleciałem, by przyniesiono jej kawę, ale przypuszczam, że ona zalicza się do tych osób, które przede wszystkim muszą się wygadać.

Pocziwa kobieta natychmiast okazała współczucie. Pójdzie do tamtej bez zwłoki. To rzeczywiście musiał być okropny wstrząs, a biedaczka i tak już była wytrącona z równowagi podróżą i rozstaniem z córką. O, tak, oczywiście, zaraz do niej pójdzie — walizkę ma nie zamkniętą — i zabierze ze sobą flakonik soli trzeźwiących.

Wybiegła pospiesznie z przedziału. Szybko dokonano rewizji jej rzeczy. Były niemal na granicy ubóstwa. Najwyraźniej nie zauważyła jeszcze ubylku w siatce pudła na kapelusze.

Panna Debenham odłożyła książkę. Obserwowała Poirota. Gdy ją poprosił, wręczyła mu kluczyki. Potem, kiedy zdjął walizkę i ją otworzył, spytała:

— Dlaczego ją pan odesłał, monsieur Poirot?

— Ja, mademoiselle? No przecież, by zaopiekowała się Amerykanką.

— Doskonały pretekst, ale jednak pretekst.

— Nie rozumiem pani, mademoiselle.

— Myślę, że świetnie mnie pan rozumie. Uśmiechnęła się.

— Chciał pan, bym została sama. Czyż nie tak?

— Przypisuje mi pani jakieś intencje, mademoiselle.

— A pańskiej głowie jakiejś koncepcji? Nie, nie sędzę. Te koncepcje już w niej tkwią. Mam rację, prawda?

— Mademoiselle, jest u nas takie przysłowie...

— Qui s'excuse s'accuse, czy to chciał pan powiedzieć? Musi mi pan uwierzyć, że mam niezły zmysł obserwacji i sporą dozę zdrowego rozsądku. Z tego czy innego powodu wbił pan sobie do głowy, że wiem coś na temat tej ponurej sprawy — zamordowania człowieka, którego nigdy przedtem nie widziałam.

— Pani ma bujną wyobraźnię, mademoiselle.

— Niczego sobie nie wyobrażam. Ale wydaje mi się, że ukrywając prawdę, marnujemy czas. Owijamy w bawełnę, miast mówić wprosi, o co chodzi.

— A pani nie lubi marnować czasu. Tak, pani lubi przechodzić wprost do sedna sprawy. Jest pani zwolenniczką metody bezpośredniej. Eh bien, zastosuję więc wobec pani tę bezpośrednią metodę. Spytałem o znaczenie pewnych słów, które przypadkiem podsłuchałem w podróży z Syrii. Wsiadłem z pociągu, by, jak to wy, Anglicy, mówicie, „rozprostować nogi” na dworcu w Konyi. Z ciemności dobiegły mnie głosy pani i pułkownika, mademoiselle. Pani mówiła do niego: „Nie teraz. Nie teraz. Kiedy już będzie po wszystkim. Kiedy to będzie już poza nami”. Co pani miała na myśli, mówiąc to, mademoiselle?

Odpowiedziała bardzo spokojnie:

— Pan uważa, że chodziło mi... o morderstwo?

— To ja zadaję pytania, mademoiselle.

Westchnęła, przez chwilę pogrążyła się w sobie. Potem, jakby budząc się, odparła:

— Te słowa rzeczywiście miały pewne znaczenie, monsieur, ale tego nie mogę panu wyjawić. Mogę tylko dać panu uczciwe słowo honoru, że aż do spotkania w pociągu nigdy nie widziałam tego całego Ratchetta.

— Więc odmawia pani wyjaśnień?

— Tak, jeżeli pan chce to tak ująć, odmawiam. Związane one były z pewnym... obowiązkiem, jaki na siebie wzięłam.

— A czy nie wypełniła już pani owego obowiązku?

— O co panu chodzi?

— Został już wypełniony, czyż nie?

— Dlaczego pan tak uważa?

— Proszę posłuchać, mademoiselle, przypomnę pani jeszcze jeden incydent. Tego dnia, w którym mieliśmy dojechać do Stambułu, pociąg się opóźnił. Okropnie się pani tym zdenerwowała, mademoiselle. Pani, tak spokojna, tak opanowana. Straciła pani wtedy ten spokój.

— Nie chciałam się spóźnić na następny pociąg.

— Tak pani powiedziała. Ale, mademoiselle, Orient Express odjeżdża ze Stambułu codziennie. Gdyby więc pani spóźniła się wtedy, byłaby to kwestia jedynie dwudziestoczworgodzinnej zwłoki.

Po raz pierwszy panna Debenham okazała, że traci nad sobą panowanie.

— Pan zdaje się nie rozumieć, że ktoś może mieć przyjaciół, którzy oczekują w Londynie na jego przyjazd. I że nawet jednodniowe opóźnienie może pokrzyżować plany i spowodować wiele zamieszania.

— Ach, więc to tak? Przyjaciele czekają na pani przybycie? A pani nie chce im sprawiać kłopotów.

— Naturalnie.

— Cóż, to dziwne...

— A co w tym takiego dziwnego?

— Ten pociąg... też ma opóźnienie. Tym razem o wiele poważniejsze, gdyż nie istnieje żadna możliwość wysłania do przyjaciół depeszy czy skontaktowania się z nimi...

— Na odległość? Chodzi panu o telefon?

— Ach, racja. Połączenie zagraniczne, jak wy to nazywacie w Anglii.

Mary Debenham uśmiechnęła się mimowolnie.

— Międzynarodowe — poprawiła go. — Owszem, jak pan zauważył, to okropnie denerwujące nie mieć możliwości posłania im słówka, ani telegraficznie, ani telefonicznie.

— A przecież, mademoiselle, tym razem zachowuje się pani całkiem odmiennie. Nie okazuje już pani zniecierpliwienia. Jest pani spokojna i podchodzi do sprawy filozoficznie.

Mary Debenham spłoniła się i przygryzła wargi. Straciła całą ochotę do uśmiechu.

— Nie ma pani nic do powiedzenia na ten temat, mademoiselle? — Przykro mi. Nie wiedziałam, że wymaga to jakiejś odpowiedzi.

— Wytłumaczenia zmiany w pani zachowaniu, mademoiselle.

— Nie sądzi pan, że robi wiele hałasu o nic, monsieur Poirot?

Poirot rozłożył dłonie w przeproszającym geście.

— Może to przywara nas, detektywów. Spodziewamy się, że czyjeś zachowanie będzie zawsze zgodne z logiką. Nie dopuszczamy możliwości zmiennych nastrojów.

Mary Debenham przemilczała jego słowa.

— Pani dobrze zna pułkownika Arbuthnota, mademoiselle?

Zdawało się, że zmiana tematu przyniosła jej ulgę.

— Poznałam go dopiero w czasie tej podróży.

— Czy może wiadomo pani coś, co sugeruje, że znał on wcześniej Ratchetta?

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Jestem pewna, że go nie znał.

— Skąd ta pewność?

— Ze sposobu, w jaki o nim mówił.

— Ale, mademoiselle, na podłodze przedziału denata znaleźliśmy wycior do fajki. A pułkownik Arbuthnot jest jedynym mężczyzną podróżującym tym pociągiem, który pali fajkę.

Nie spuszczał z niej oka, ale dziewczyna, nie okazawszy ani zdziwienia, ani zdenerwowania, odpowiedziała po prostu:

— Bzdura. Absurd. Pułkownik Arbuthnot jest ostatnim człowiekiem na świecie, który mógłby być zamieszany w zbrodnię, szczególnie tak teatralną.

Było to tak zbieżne z tym, co myślał sam Poirot, że prawie jej potaknął. Ale zamiast tego, zauważył:

— Muszę pani przypomnieć, iż nie zna go pani zbyt dobrze.

Wzruszyła ramionami.

— Ale dość dobrze znam ten typ człowieka. Poirot odezwał się bardzo łagodnym głosem:

— Wciąż pani odmawia wytłumaczenia sensu swoich słów: „Kiedy to będzie już poza nami”?

Odparła zimno:

— Nie mam nic więcej do dodania.

— To bez znaczenia — stwierdził Herkules Poirot. — I tak się dowiem.

Sklonił się i wyszedł z przedziału, zamykając za sobą drzwi.

— Czy to było rozsądne, przyjacielu? — spytał monsieur Bouc. — Teraz będzie się miała na baczności, a za jej pośrednictwem również pułkownik.

— Mój przyjacielu, jeżeli chcesz złapać królika, wrzucasz mu do nory łasicę, i jeśli królik tam jest, ucieka. To właśnie uczyniłem.

Weszli do przedziału Hildegardy Schmidt.

Niewiasta stanęła gotowa do pomocy, na jej twarzy malował się szacunek, choć nie zdradzała żadnych uczuć.

Poirot szybko przejrzał zawartość podręcznej torby leżącej na siedzeniu. Potem gestem nakazał konduktorowi zdjąć z siatki większą walizkę.

— Kluczyki — poprosił.

— Jest nie zamknięta, monsieur. Poirot odpiął klamerki i uniósł wieko.

— O! — zawołał do monsieur Bouca. — Pamiętasz moje słowa? Spójrz no tutaj!

Na samym wierzchu leżał zwinięty jakby w pośpiechu mundur konduktora Wagon Lit.

Flegmatyczna dotąd Niemka zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— A! — krzyknęła. — To nie moje. Ja tego tutaj nie wkładałam. Od chwili opuszczenia Stambułu nawet nie zaglądałam do tej walizki. Mówię prawdę, przysięgam.

Zalęknione spojrzenie przenosiła od jednego mężczyzny do drugiego.

Poirot, ująwszy ją delikatnie za ramię, mówił uspokajająco:

— Ależ nie, nie, wszystko w porządku. Wierzmy pani. Proszę się nie denerwować. Tego, że nie pani wepchnęła tutaj ten uniform, jestem równie pewien jak tego, że jest pani wyśmienitą kucharką. Prawda? Pani jest doskonałą kucharką, zgadza się?

Oszołomiona kobieta uśmiechnęła się mimo woli. — Zgadza się, rzeczywiście, wszystkie moje panie to powtarzały. Ja...

Urwała z otwartymi ustami, zdawało się, że ponownie zaczęło ogarniać ją przerażenie.

— Nic, nic — powiedział Poirot. — Zapewniam panią, że wszystko jest w porządku. Proszę posłuchać, powiem pani, jak to się stało. Ten mężczyzna, którego widziała pani w mundurze konduktora Wagon Lit, wyszedł z przedziału zamordowanego. Natknął się na panią. Miał pecha. Liczył, że nikt go nie będzie widział. Więc co miał począć dalej? Musiał się pozbyć munduru, który teraz stał się dla niego zagrożeniem, a nie osłoną. Wzrok detektywa powędrował ku monsieur Boucowi i doktorowi Constantine, słuchającym go z najwyższą uwagą.

— Spadł śnieg, rozumiecie. Śnieg, który pokrzyżował mu plany. Gdzież wobec tego mógłby ukryć to przebranie? Wszystkie przedziały zajęte. Ale nie, minął właśnie drzwi, które były otwarte, a w środku nie było żywego ducha. Musiała zajmować go kobieta, z którą się właśnie zderzył. Wśliznął się, zdjął mundur, pospiesznie upchnął go do leżącej na siatce walizki. Może nie znajdują go tak od razu.

— Co dalej? — pytał monsieur Bouc.

— Nad tym musimy się jeszcze zastanowić — odparł Poirot rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie.

Wziął do ręki kurtkę munduru. Brakowało trzeciego od dołu guzika. Poirot wsunął dłoń do kieszeni i wyjął klucz konduktorski do otwierania przedziałów.

— A oto wytłumaczenie, w jaki sposób ten człowiek zdołał przenikać zamknięte drzwi — powiedział monsieur Bouc. — Niepotrzebnie zadawałeś tyle pytań pani Hubbard. Bez względu na to, czy drzwi łączące oba przedziały były zamknięte, czy nie, morderca mógł się przez nie swobodnie przedostać. No jasne, skoro zdobył uniform, to dlaczego nie klucz?

— Rzeczywiście, dlaczego — zgodził się Poirot.

— Naprawdę, powinniśmy się byli tego domyślić. Pamiętasz, jak Michel mówił, że gdy przybiegł wezwany dzwonkiem, drzwi prowadzące z korytarza do przedziału pani Hubbard były zamknięte?

— Tak było, monsieur — potwierdził konduktor. — Dlatego uważałem, że ta dama musiała śnić.

— Ale teraz wszystko jest już jasne — ciągnął Bouc. — Bez wątplenia zamierzał zamknąć także i drzwi przejściowe, ale może usłyszał jakieś poruszenie od strony łóżka i to go spłoszyło.

— Pozostaje nam więc jedynie odnalezienie szkarłatnego kimona — powiedział Poirot.

— Zgadza się. Zaś dwa ostatnie przedziały zajmują mężczyźni.

— Mimo to przeszukamy je.

— Oczywiście! Pamiętam jednak, co powiedziałaś wcześniej.

Hector MacQueen ochoczo zgodził się na rewizję.

— Proszę to zrobić jak najszybciej — rzekł ze smętnym uśmiechem. — Mam wrażenie, że z całego pociągu niewątpliwie ja jestem najbardziej podejrzanym pasażerem. Pozostaje panom tylko odnaleźć testament, w którym stary zapisuje mi cały swój majątek, i to będzie ostateczny dowód.

Monsieur Bouc zmierzył go nieufnym spojrzeniem.

— Ja tylko żartuję — wyjaśnił MacQueen pospiesznie. — W rzeczywistości on nigdy nie zostawiłby mi złamanego centa. Byłem dla niego po prostu użyteczny — znam języki i tak dalej. Wiecie, panowie, kiedy się włada wyłącznie pocziwym amerykańskim, łatwo można dać się okpić. Ja sam nie jestem wielkim poliglotą, ale wiem, jak się co nazywa w sklepie czy w hotelu po francusku, niemiecku i włosku.

Mówił nieco głośniej niż zazwyczaj. Wyglądało to, jakby mimo przyzwolenia, był jednak trochę niespokojny o wynik rewizji.

Poirot zakończył przeszukanie.

— Nic — oznajmił. — Nawet kompromitującego legatu.

MacQueen odetchnął.

— No cóż, kamień spadł mi z serca — powiedział wesoło.

Przeszli do ostatniego przedziału. Rewizja bagaży potężnego Włocha i kamerdynera skończyła się fiaskiem.

Trzech mężczyzn przystanąło na końcu wagonu, spoglądając po sobie.

— I co dalej? — spytał monsieur Bouc.

— Wrócimy do wagonu restauracyjnego — odparł Poirot. — Wiemy już teraz wszystko, czego byliśmy się w stanie dowiedzieć. Mamy zeznania pasażerów, świadectwo ich bagażu, świadectwo naszych oczu. Nie możemy się spodziewać żadnych dalszych wskazówek. Teraz od nas zależy, jak wykorzystamy sprawność naszych umysłów.

Wyjął z kieszeni papierošnicę. Była pusta.

— Dołączę do was za chwilę — powiedział. — Będę potrzebował papierosów. To bardzo trudna, bardzo dziwna zagadka. Kto nosił szkarłatne kimono? I gdzie się ono podziało? Chciałbym to wiedzieć. W tej sprawie jest coś, jakiś drobiazg, który mi się wymyka! Zagadka jest skomplikowana, gdyż taką ją uczyniono. Ale zastanowimy się nad nią. Wybaczcie mi na moment.

Pospieszył korytarzem do swojego przedziału. W jednej z walizek wiózł zapas papierosów.

Ściągnął ją na dół i otworzył zamek.

Potem nachylił się i wlepił w nią wzrok.

Na samym wierzchu, starannie złożone, leżało jedwabne, szkarłatne kimono, haftowane w smoki.

— Aha — mruknał detektyw. — Więc to tak. Wyzwanie. Świetnie. Podejmuję je.

III HERKULES POIROT SIADA WYGODNIE I ROZMYŚLA

ROZDZIAŁ PIERWSZY KTO Z NICH?

I

Kiedy Poirot wrócił do wagonu restauracyjnego, monsieur Bouc i doktor Constantine pogrążeni byli w rozmowie. Monsieur Bouc miał przygnębioną twarz.

— La voilà? — odezwał się zobaczywszy Poirota. Potem, gdy jego przyjaciel usiadł, dodał:

— Jeżeli rozwiążesz tę zagadkę, mon cher, to doprawdy zacznę wierzyć w cuda!

— Martwisz się, prawda?

— Oczywiście! Nie daje się to ugryźć ani z jednej, ani z drugiej strony.

— No właśnie! — przytaknął lekarz. Spojrzał z zaciekawionym na Poirota.

— Szczerze mówiąc — wyznał — nie rozumiem, co pan zamierza dalej począć?

— Nie rozumie pan? — Poirot się zamyślił. Wyjął papierośnicę i zapalił smukłego papierosa. Miał senny wzrok.

— A mnie właśnie w całej tej tajemnicy pociąga to — powiedział — że jesteśmy odcięci od wszelkich zwykłych źródeł informacji. Czy osoby, których zeznania usłyszeliśmy, mówią prawdę, czy kłamią? Nie mamy żadnej możliwości sprawdzenia tego, chyba że sami ją sobie stworzymy. A to jest ćwiczeniem dla umysłu.

— Wszystko to bardzo pięknie — odezwał się monsieur Bouc. — Jednak cóż takiego mamy, nad czym moglibyśmy popracować? — Właśnie ci powiedziałem: mamy zeznania pasażerów i świadectwo naszych własnych oczu.

— Znakomite świadectwo! Zeznania pasażerów! Nic z nich nie wynika.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie zgadzam się z tobą, przyjacielu. Zeznania pasażerów wyjawiały nam wiele interesujących danych.

— Doprawdy? — spytał sceptycznie monsieur Bouc. — Ja tego nie zauważyłem.

— Dlatego, że nie słuchałeś.

— No cóż, wobec tego wyjaśnij mi, co umknęło mojej uwadze.

— Na przykład: pierwsze usłyszane przez nas zeznanie — młodego MacQueena. Według mnie wyrwało mu się jedno zdanie wielkiej wagi.

— O listach?

— Nie, wcale nie o listach. O ile dobrze pamiętam, jego słowa brzmiały następująco: „Podróżowaliśmy. Pan Ratchett pragnął zwiedzić świat. Na przeszkodzie stała mu nieznajomość języków. Służyłem mu więc bardziej jako przedstawiciel niż sekretarz”.

Powiódł wzrokiem od twarzy doktora do twarzy monsieur Bouca.

— I co? Wciąż niczego nie dostrzegacie? Ależ to niewiarygodne! Przecież przed chwilą mieliście drugą okazję, gdy powiedział: „Kiedy się władza wyłącznie pocziwym amerykańskim, łatwo można dać się okpić”.

— To znaczy...? — monsieur Bouc wciąż niczego nie rozumiał.

— Ach! Chciałbyś, żeby ci podać to wszystko na tacy. Proszę bardzo! Monsieur Ratchett nie władał francuskim. A jednak, kiedy zeszłej nocy przybiegł wezwany jego dzwonkiem konduktor, usłyszał czyjś głos mówiący po francusku, że to pomyłka i że niczego nie potrzebuje. Co więcej, użyto doskonale idiomatycznej frazy, nie takiej, którą by wypowiedział człowiek znający zaledwie kilka francuskich słów. „Ce nest rien. Je me suis trompé”.

— To prawda! — krzyknął podekscytowany Constantine. — Powinniśmy byli zwrócić na to uwagę! Przypominam sobie, że pan, powtarzając jego słowa, właśnie na to położył akcent. Teraz

rozumiem, dlaczego tak sceptycznie odnosił się pan do dowodu w postaci potłuczonego zegarka. Bo za dwadzieścia trzy pierwsza Ratchett już nie żył.

— I to był głos jego mordercy! — dokończył przejęty monsieur Bouc.

Poirot uniósł błagalnie dłonie.

— Nie spieszmy się zbyt. I nie zakładajmy więcej niż naprawdę wiemy. Myślę, że bezpieczniej jest twierdzić, że o tej porze, za dwadzieścia trzy pierwsza, w przedziale Ratchetta był ktoś i że ta osoba albo pochodziła z Francji, albo biegle władała francuskim.

— Jesteś bardzo ostrożny, mon vieux.

— Zawsze należy posuwać się tylko krok po kroku. Nie dysponujemy żadnym niepodważalnym dowodem, że Ratchett wtedy już nie żył.

— Ciebie obudził czyjś krzyk.

— Owszem, zgadza się.

— Z jednej strony — zadumał się monsieur Bouc — to odkrycie niewiele zmienia postać rzeczy. Usłyszałeś, jak ktoś się rusza za sąsiednimi drzwiami. I tym kimś nie był bynajmniej Ratchett. Ktoś bez wątplenia obmywał ręce z krwi, sprzątał po zbrodni, palił demaskujący go list. Potem odczekał, aż zapanuje spokój, i kiedy myślał, że jest już bezpieczny i ma drogę wolną, zamknął od środka drzwi Ratchetta na zamek i łańcuch i otworzył drzwi wiodące przez przedział pani Hubbard. Tamtędy się wymknął. A więc, w rzeczywistości było tak, jak przypuszczaliśmy. Z tą różnicą, że Ratchetta zamordowano jakieś pół godziny wcześniej, a zegarek przestawiono na kwadrans po pierwszej, by stworzyć alibi.

— Nie takie znowu świetne alibi — zauważył Poirot. — Wskazówki zegarka zatrzymano na 1.15, a wtedy dokładnie intruz opuścił scenę zbrodni.

— Prawda — zgodził się lekko zbity z tropu monsieur Bouc. — Cóż wobec tego mówi ci ten zegarek?

— Jeżeli wskazówki byłyby przestawione, powtarzam „jeżeli”, wtedy czas, jaki pokazują, musiałyby mieć znaczenie. Naturalną reakcją byłoby rzucenie podejrzeń na każdego, kto o tej porze ma solidne alibi. W naszym przypadku o 1.15.

— Tak, tak — odezwał się doktor. — Takie rozumowanie trafia mi do przekonania.

— Należy także zwrócić większą uwagę na porę, w której intruz wszedł do przedziału. Kiedy miał sposobność po temu. Jeżeli wykluczmy prawdziwego konduktora, morderca mógł tego dokonać tylko w jednym przypadku: kiedy pociąg zatrzymał się w Vincovci. Po odjeździe ze stacji usiadł twarzą do korytarza i podczas gdy i z pasażerów nie zwróciłby uwagi na pracownika Wagon Lit, jedyną osobą, która rozpoznałaby oszusta, byłby prawdziwy konduktor. Ale podczas postoju w Vincovci konduktor wyszedł na peron. Droga więc była wolna.

— A wcześniej już doszliśmy do wniosku, że musiał to być jeden z naszych pasażerów — dodał Bouc. — I znów wracamy do punktu wyjścia. Który z nich?

Poirot uśmiechnął się.

— Sporządziłem listę — powiedział. — Jeżeli chcielibyście rzucić na nią okiem, to może odświeżyłaby ona waszą pamięć.

Lekarz i monsieur Bouc jednocześnie nachylili się nad listą. Wykonano ją schludnie i metodycznie, w kolejności, w jakiej przesłuchiowano pasażerów.

HECTOR MACQUEEN — obywatel amerykański.

Łóżko nr 6. Druga klasa.

Motyw Wynikający może z jego układów z zamordowanym?

Alibi Od północy do 2 nad ranem (od północy do 1.30 potwierdzone przez płka Arbuthnota, od 1.15 do 2 przez konduktora).

Dowody przeciwko Brak

Podjęte okoliczności Brak

KONDUKTOR PIERRE MICHEL — obywatel francuski

Motyw Brak

Alibi Od północy do 2 nad ranem (widziany na korytarzu przez H.P., kiedy czyjś głos odezwał się zza drzwi przedziału Ratchetta o 12.37. Od 1 do 1.16 potwierdzone przez dwóch innych konduktorów).

Dowody przeciwko Brak

Podejrzane okoliczności Na jego korzyść świadczy znaleziony mundur konduktora Wagon Lit, gdyż wydaje się, że skorzystano z niego w celu rzucenia podejrzeń na Michela.

EDWARD MASTERMAN — obywatel angielski.

Łóżko nr 4. Druga klasa.

Motyw Wynikający może z układów między nim a zmarłym, u którego był kamerdynerem.

Alibi Od północy do 2 nad ranem (potwierdzone przez Antonia Foscarellego).

Dowody przeciw Brak, z wyjątkiem tego, że jest lub podejrzane jedynym mężczyzną w pociągu, okoliczności który ma wzrost i posturę pasujące do uniformu konduktora. Nie wydaje się jednak, by mówił płynnie po francusku.

PANI HUBBARD — obywatelka amerykańska.

Łóżko nr 3. Pierwsza klasa.

Motyw Brak

Alibi Od północy do 2 nad ranem — brak.

Dowody przeciw lub podejrzane okoliczności Opowieść o mężczyźnie w jej przedziale poświadczona zeznaniem Hardmana i pani Schmidt.

GRETA OHLSSON — obywatelka szwedzka. Łóżko nr 10.

Druga klasa.

Motyw Brak

Alibi Od północy do 2 nad ranem (potwierdzone przez Mary Debenham). Uwaga: ona ostatnia wdziwała Ratchetta przy życiu.

KSIĘŻNA DRAGOMIROFF — naturalizowana obywatelka francuska.

Łóżko nr 14. Pierwsza klasa.

Motyw Była blisko związana z rodziną Armstrongów. Matka chrzestna Soni Armstrong.

Alibi Od północy do 2 nad ranem (potwierdzone przez konduktora i pokojówkę).

Dowody przeciw lub podejrzane okoliczności Brak

HRABIA ANDRENYI — obywatel węgierski. Paszport dyplomatyczny.

Łóżko nr 13. Pierwsza klasa.

Motyw Brak

Alibi Od północy do 2 nad ranem (potwierdzone przez konduktora prócz 1 — 1.15).

HRABINA ANDRENYI — jak wyżej.

Łóżko nr 12.

Motyw Brak

Alibi Północ — 2 nad ranem. Wzięła środek nasenny i zasnęła (potwierdzone przez męża. W jej szafce flakonik z trionalem).

PULKOWNIK ARBUTHNOT — obywatel brytyjski.

Łóżko nr 15. Pierwsza klasa.

Motyw Brak

Alibi Od północy do 2 nad ranem. Do 1.30 rozmawiał z MacQueenem. Wrócił do swojego przedziału i już go nie opuszczał (potwierdzone przez MacQueena i konduktora).

Dowody przeciw lub podejrzane okoliczności Wycior do fajki.

CYRUS HARDMAN — obywatel amerykański.

Łóżko nr 16. Pierwsza klasa.

Motyw Nie znany

Alibi Północ — 2 nad ranem. Nie opuszczał przedziału (poświadczone przez MacQueena i konduktora).

Dowody przeciw lub podejrzane okoliczności Brak

ANTONIO FOSCARELLI — obywatel amerykański (z pochodzenia Włoch).

Łóżko nr 5. Druga klasa.

Motyw Nie znany

Alibi Północ do 2 nad ranem; (potwierdzone przez Edwarda Mastermana).

Dowody przeciw lub podejrzane okoliczności Brak, prócz tego, że broń, jakiej użyto, pasuje do jego temperamentu (patrz: monsieur Bouc).

MARY DEBENHAM — obywatelka brytyjska.

Łóżko nr 11. Druga klasa.

Motyw Brak

Alibi Północ do 2 nad ranem (potwierdzone przez Gretę Ohlsson).

Dowody przeciw lub podejrzane okoliczności Rozmowa podsłuchana przez H.P. i odmowa wyjaśnienia, co znaczyła.

HILDEGARDA SCHMTDT — obywatelka niemiecka.

Łóżko nr 8. Druga klasa.

Motyw Brak

Alibi Północ do 2 nad ranem (potwierdzone przez konduktora i chlebowączynię). Położyła się do łóżka. Zbudzona przez konduktora ok. 12.38, poszła do swojej pani.

Uwaga: Zeznania pasażerów są potwierdzone przez oświadczenie konduktora, że między północą a 1 (kiedy wyszedł do sąsiedniego wagonu) i od 1.15 do 2 nikt nie wchodził do przedziału pana Ratchetta.

— Ten dokument, rozumiecie, panowie — odezwał się Poirot — jest tylko streszczeniem tego, co usłyszeliśmy, dla przejrzystości ułożonym w ten sposób.

Krzywiąc się, monsieur Bouc oddał mu listę.

— Niezbyt to pouczające — stwierdził.

— Więc może to bardziej przypadnie ci do gustu — rzeki Poirot z dyskretnym uśmiechem, wręczając mu drugi arkusz papieru.

ROZDZIAŁ DRUGI DZIESIĘĆ PYTAŃ

Na papierze widniało:

Sprawy domagające się wyjaśnienia

1. Chusteczka opatrzona monogramem „H”. Do kogo należy?
2. Wycior do fajki. Czy zgubił go pułkownik Arbuthnot? Czy ktoś inny?
3. Kto nosił szkarłatne kimono?
4. Kim był mężczyzna (albo kobieta) przebrany w mundur konduktora?
5. Kto ustawił wskazówki zegarka na 1.15?
16. Czy o tej godzinie popełniono morderstwo? Czy wcześniej?
8. Czy później?
9. Czy możemy mieć pewność, że rany zadała Ratchettowi więcej niż jedna osoba?
10. Jakie może być inne wytłumaczenie takich ran na jego ciele?

Cóż, zorientujemy się, co uda się nam z tym zrobić — powiedział monsieur Bouc, rozchmurzywszy się na takie wyzwanie, rzucone jego intelektowi. — Na początek chusteczka. Przede wszystkim bądźmy systematyczni i skrupulatni.

— Oczywiście — potwierdził Poirot, kiwając z satysfakcją głową.

Monsieur Bouc ciągnął dalej cokolwiek mentorskim tonem:

— Monogram „H” pasuje do trzech kobiet — pani Hubbard, panny Debenham, która ma na drugie imię Hermione, i do pokojówki Hildegardy Schmidt.

— Aha! Więc do której z nich?

— Trudno powiedzieć. Ale ja osobiście stawiałbym na pannę Debenham. Przede wszystkim, może używać drugiego, a nie pierwszego imienia. Jak również, mamy już co do niej pewne podejrzenia. Rozmowa, którą podsłuchałeś, mon cher, bez wątpienia była mocno osobliwa, tak samo jak i odmowa wyjaśnień.

— Jeżeli chodzi o mnie, wskazałbym na Amerykankę — odezwał się doktor Constantine. — Ta chusteczka jest bardzo kosztowna, a Amerykanie, jak powszechnie wiadomo, szastają pieniędzmi.

— Więc obaj wykluczacie pokojówkę? — spytał Poirot.

— Tak. Zresztą wedle jej słów, to chusteczka osoby z wyższych sfer.

— Teraz drugie pytanie. Wycior do fajki. Czy zgubił go pułkownik Arbuthnot, czy może ktoś inny?

— To trudniejsze. Anglicy nie mają w zwyczaju dźgania nożem, W tym punkcie masz rację. Skłaniam się ku opinii, że wycior pozostawił ktoś inny, a uczynił to, by rzucić podejrzenie na długonogiego Anglika.

— Jak pan sam powiedział, monsieur Poirot — wtrącił doktor — dwa ślady to zbyt wiele nieostrożności. Zgadzam się z monsieur Boukiem. Chusteczka to czyste niedopatrzenie, stąd nikt się do niej nie przyznał. A wycior to ślad spreparowany. Sami zauważcie, że taką teorię popiera zachowanie samego pułkownika Arbuthnota. Nie okazał on najmniejszego zmieszania i z własnej woli przyznał, że pali fajkę i używa wyciorów tej marki.

— Wyciąga pan słuszne wnioski — zgodził się Poirot.

— Pytanie numer trzy. kto nosił szkarłatne kimono? — ciągnął monsieur Bouc. — W tej kwestii przyznaję, że nie mam żadnego pomysłu. Może pan ma jakieś przypuszczenia, doktorze?

— Najmniejszych.

— Musimy więc usnąć się za pokonanych. Jednakże następne pytanie otwiera przed nami pewne możliwości. Mianowicie: kim był mężczyzna (czy kobieta) przebrany w mundur konduktora? Bez specjalnej trudności można znaleźć całkiem sporą liczbę osób, które należy wykluczyć. Hardman, pułkownik Arbuthnot, Foscarelli, hrabia Andrenyi i Hector MacQueen są za wysocy. Pani Hubbard, Hildegarda Schmidt i Greta Ohlsson za tęgie. Pozostają więc: kamerdyner, panna

Debenham, księżna Dragomirowa i hrabina Andrenyi. A każde z nich wydaje się nieprawdopodobne! Przy tym zarówno Greta Ohlsson, jak i Antonio Foscarelli przysięgają, że panna Debenham i kamerdyner nie opuszczali swoich przedziałów. Hildegarda Schmidt twierdzi zaś, że księżna była u siebie, natomiast według zeznania hrabiego Andrenyi jego żona zażyła środek nasenny. Dlatego też wydaje się niemożliwe, by ktoś taki w ogóle istniał, co z kolei jest absurdalne!

— Jak mówi nasz stary przyjaciel Euklides — mruknął Poirot.

— Więc jednak musi to być ktoś z tej czwórki — stwierdził doktor Constantine. — Chyba że jeszcze był ktoś z zewnątrz, kto znalazłby sobie kryjówkę. A to, jak się wszyscy zgadzamy, jest niemożliwe.

Monsieur Bouc przeszedł do następnego pytania z listy.

— Numer pięć. Dlaczego wskazówki potłuczonego zegarka ustawiono na 1.15? Widzę dwa wytłumaczenia. Albo zrobił to morderca, by zapewnić sobie alibi, a potem przeszkadzono mu w opuszczeniu przedziału tak, jak planował, gdyż usłyszał czyjeś kroki... Albo... poczekajcie... coś zaczęło mi świtać...

Dwaj panowie czekali z szacunkiem, aż monsieur Bouc zakończy okrutne zmagania ze swoim umysłem.

— Mam! — oznajmił triumfalnie. — To wcale nie morderca w mundurze konduktora manipulował zegarkiem! To osoba, którą nazwaliśmy Drugim Mordercą, osoba leworęczna. Innymi słowy, kobieta w szkarłatnym kimonie. Ona przyszła później i przestawiła wstecz wskazówki, by stworzyć sobie alibi.

— Bravo! — pochwalił go doktor Constantine. — Dobrze wykoncypowane.

— Faktycznie — odezwał się Poirot. — Zadała w ciemności ciosy, nie zauważywszy, że Ratchett już nie żył, ale w jakiś sposób wpadła na to, że w kieszeni pizamy miał zegarek, na ślepo przestawiła wskazówki i potłukła go.

Monsieur Bouc obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

— Więc może ty masz jakąś lepszą koncepcję? — spytał.

— W tej chwili... nie — przyznał Poirot. — Mimo to nie wydaje mi się, by któryś z was spostrzegł, co jest najbardziej interesujące w kwestii dotyczącej zegarka.

— Czy łączy się z tym pytanie numer sześć? — spytał doktor. — Na to, czy morderstwo popełniono dokładnie o 1.15, odpowiadam: nie.

— Zgadzam się — dodał monsieur Bouc. — „Czy wcześniej?” Ja mówię: tak. Potwierdza to pan, doktorze?

215 Lekarz skinął głową.

— Owszem, ale na pytanie: „Czy później?”, także można by odpowiedzieć twierdząco. Zgadzam się z pańską teorią, monsieur Bouc, a myślę, że monsieur Poirot również, choć nie chce się do tego przyznać. Pierwszy Morderca przybył przed 1.15, Drugi Morderca po 1.15. A biorąc pod uwagę leworęczność tej osoby, to czy nie powinniśmy podjąć kroków mających na celu ustalenie, który z pasażerów jest mańkutom?

— Tak całkiem tego nie zaniedbałem — odezwał się Poirot. — Może zwróciliście uwagę, że wszystkich pasażerów prosiłem, by się podpisali albo zanotowali swój adres. To jednak nie jest dowód ostateczny, gdyż wiele osób wykonuje pewne czynności prawą, a inne lewą ręką. Niektórzy piszą prawą, a w golfa grają lewą. Mimo wszystko jednak coś mamy. Wszyscy pasażerowie wzięli pióro do prawej ręki. Prócz księżnej Dragomirowa, która w ogóle odmówiła pisania.

— Księżna Dragomirowa, to nieprawdopodobne — stwierdził monsieur Bouc.

— Wątpię, czy miałyby dość siły, by zadać ów niesłychany cios lewą ręką — dodał z powątpiewaniem doktor Constantine. — Ta szczególna rana zadana została z wyjątkową siłą.

— Większą niż dysponuje kobieta?

— Nie, tego nie twierdzę. Ale uważam, że z większą, niż na to stać starszą kobietę, a przy tym księżna Dragomirowa jest wyjątkowo kruchą osobą.

— Może to jest kwestia wpływu rozumu na ciało — powiedział Poirot. — Księżna Dragomiroff ma żelazny charakter i ogromną siłę woli. Ale na razie pomińmy tę sprawę.

— Pytania numer dziewięć i dziesięć. Czy możemy mieć pewność, że ciosy wymierzyła więcej niż jedna osoba i jakie może być inne wytłumaczenie jego obrażeń. Według mnie, z medycznego punktu widzenia, nie istnieje żadne inne wytłumaczenie. Samo domniemanie, że jeden i ten sam człowiek może najpierw uderzyć niepewnie, potem zdecydowanie, najpierw prawą, potem lewą ręką, a po przerwie trwającej, powiedzmy, jakieś pół godziny, zadać kolejne ciosy martwemu już ciału — jest bezsensowne.

— Zgoda — odezwał się Poirot. — To nie ma sensu. Ale czy pan uważa, iż istnienie dwójki morderców ma sens?

— Sam pan przecież powiedział, że nie może być innego wytłumaczenia.

— Poirot zapatrzył się przed siebie.

— Właśnie to pytanie sobie zadaję. Bez przerwy sam siebie o to pytam.

Usiadł wygodniej.

— Od tej chwili wszystko zależy od tego — popukał się w czoło. — Wydobyliśmy na wierzch, co się dało. Mamy przed sobą wszystkie fakty, starannie, metodycznie, przejrzysto poukładane. Pasażer za pasażerem składali tutaj zeznania. Wiemy więc wszystko, czego mogliśmy się dowiedzieć... z zewnątrz.

Uśmiechnął się serdecznie do monsieur Bouca.

— To taki nasz mały żart, prawda? Mówienie o wygodnym rozparciu się w fotelu i wymyśleniu, co jest prawdą? Cóż, chcę wprowadzić swoją teorię w czyn, tutaj, wprost przed waszymi oczami. A i wy dwaj musicie uczynić to samo. Zamknijmy więc wszyscy oczy i pomyślmy...

Ratchetta zabił jeden lub więcej pasażerów. Kto z nich?

ROZDZIAŁ TRZECI

PEWNE DAJĄCE DO MYŚLENIA FAKTY

Upłynął cały kwadrans, nim pierwszy z nich zabrał głos.

Monsieur Bouc i doktor Constantine zaczęli od próby podporządkowania się sugestii Poirota. Usiłowali rozpatrzyć się w gmatwaninie sprzecznych ze sobą śladów, by dojść do klarownego i znakomitego rozwiązania.

Myśli monsieur Bouca biegły takim mniej więcej torem:

— Oczywiście, że muszę się zastanowić. Przecież już dotąd zdołałem to i owo wymyślić. Poirot bez wątpienia uważa, że w całą tę sprawę zamieszana jest ta młoda Angielka. Ja jednak nie potrafię oprzeć się przeczuciu, że jest to wysoce nieprawdopodobne... Anglicy są zimni aż do przesady. Przypuszczalnie dlatego, że brak im wyobraźni... Ale nie o to chodzi. Wygląda też, że nie mogła to być sprawka Włocha, a szkoda. Zakładam, że angielski kamerdyner nie kłamie, gdy twierdzi, że tamten nie opuszczał przedziału. Dlaczego miałby kłamać? Niełatwo przekupić Anglika, są tacy niedostępni. Cała ta sprawa jest ze wszech miar pechowa. Ciekawe, kiedy się stąd wydostaniemy? Musi przecież toczyć się jakaś akcja ratownicza. W tych krajach ludzie tacy powolni... Trzeba godzin, by ktoś o czymś myślał lub coś wykonał. A ta ich policja! Na pewno okropnie mieć z nimi do czynienia... Napuszeni i ważni, a w dodatku drażliwi na punkcie swojej godności. Rozdmuchają całą sprawę aż do przesady. Nieczęsto trafia się im taka gratka. Dostanie się to do wszystkich gazet...

I od tej chwili myśli monsieur Bouca wkroczyły już na utarty szlak, który tylekroć już przemierzali wspólnie.

Zaś doktor Constantine myślał tak:

— Cóż to za dziwak z tego małego człowieczka. Geniusz? Czy pomyłony? Czy rozwiąże tę zagadkę? Niemożliwe. Nie widzę sposobu jej rozwiązania. Wszystko to zbyttno pogmatwane... Może wszyscy kłamią... Ale jeśli nawet, to i tak do niczego to nie prowadzi. Jeżeli kłamią, to jest to równie zagmatwane, jakby mówili prawdę. Dziwne te rany. Nie potrafię tego zrozumieć... Łatwiej byłoby pojąć, gdyby go zastrzelono. A przy okazji, nazwa rewolwerowiec musi oznaczać, że oni strzelają z rewolwerów. Dziwny kraj ta Ameryka. Chciałbym tam pojechać. Taki postępowy kraj. Gdy wrócę do domu, muszę skontaktować się z Demetriusem Zagone, on był w Ameryce, ma nowoczesne poglądy... Ciekawe, co teraz porabia Zia... Jeżeli moja żona dowie się...

I głowę doktora Constantine'a zaprzątnęły ściśle prywatne sprawy.

Herkules Poirot siedział nieruchomo.

Można by sądzić, że drzemie.

A potem, nagle, po kwadransie absolutnego bezruchu, brwi Poirota powoli zaczęły unosić się w górę. Z jego piersi wyrwało się ciche westchnienie. Mruknął pod nosem:

— Jednak, mimo wszystko, czemu nie? A skoro tak, cóż, skoro tak, to to wszystko tłumaczy.

Otworzył oczy. Zielone jak u kota. Odezwał się cicho:

— Eh bien. Ja pomyślałem. A wy, panowie?

Wyrwani raptownie; ze swoich rozważań, obaj panowie drgnęli.

— Ja również — powiedział cokolwiek zawstydzony monsieur Bouc. — Ale nie doszedłem do żadnych wniosków. Wyjaśnienie tej zbrodni to twoja metier, nie moja, przyjacielu.

— Ja również uczciwie pomyślałem — pochwalił się doktor, nie mrugnawszy nawet okiem, choć właśnie oderwano go od nieco pornograficznych wspomnień. — Wypracowałem sobie szereg możliwych teorii, ale, niestety, żadna nie zadowoliła mnie w pełni.

Poirot skinął zyczliwie głową. Ten gest zdawał się mówić:

„Absolutna racja. Powiedział pan to, co należało. Dał mi pan wskazówkę, której się spodziewałem”.

Siedział wyprostowany jak struna, z wysuniętą do przodu piersią. Musnął wąsy i odezwał się niczym orator na publicznym wiecu:

— Przyjaciele, przejrzałem w myślach znane nam fakty, a także rozpatrzyłem się w zeznaniach pasażerów, z tym oto rezultatem. Widzę chyba pewne, mgliste na razie, wytłumaczenie zaistniałych zdarzeń. Jest ono niezwykle osobliwe i jak dotąd nie mam pewności, czy odpowiada prawdzie. A żeby jego prawdziwość stwierdzić z całą stanowczością, muszę jeszcze przeprowadzić określone eksperymenty.

Najpierw jednak pragnąłbym wspomnieć o niektórych kwestiach, jak mi się wydaje dość znaczących. Zaczniemy od spostrzeżenia, jakie uczynił pod moim adresem monsieur Bouc w tym samym miejscu, w którym obecnie się znajdujemy, gdyśmy wspólnie jedli pierwszy lunch w pociągu. Skomentował fakt, że wokół nas siedzą ludzie ze wszystkich warstw społecznych, w różnym wieku i najrozmaitszych narodowości. I że takie nagromadzenie o tej porze roku, kiedy to na przykład wagony linii Ateny–Paryż czy Bukareszt–Paryż jadą niemal puste, jest niespotykane rzadkie. Przypominam sobie także, że jeden z pasażerów w ogóle się nie zjawił. Co, według mnie, jest faktem znaczącym. Jak również niektóre pomniejsze kwestie, na przykład: umieszczenie na gałce od drzwi torby pani Hubbard, nazwisko matki pani Armstrong, metody pracy detektywa Hardmana, sugestia MacQueena, że Ratchett własnoręcznie unicestwił znaleziony przez nas, spalony list, imię chrzestne księżny Dragomirowff, a także tłusta plama na węgierskim paszporcie...

Panowie Bouc i Constantine otworzyli szeroko oczy.

— Czy to wszystko coś wam mówi? — spytał Poirot.

— Nic a nic — przyznał szczerze monsieur Bouc.

— Monsieur le docteur?

— Absolutnie nie pojmuję, do czego pan zmierza.

Tymczasem monsieur Bouc, uczepiwszy się jedynej namacalnej rzeczy, o której wspomniał jego przyjaciel, przerzucał paszporty. Chrząknąwszy wyjął należący do hrabiego i hrabiny Andrenyi i otworzył go.

— Czy o to ci chodziło? O tę plamę?

— Owszem. Tłusta plama powstała całkiem niedawno. Zauważyłeś, w którym jest miejscu?

— Na początku rysopisu żony hrabiego, dokładnie na jej imieniu. Ale wyznam, że dalej nie wiem, do czego zmierzasz.

— Zmierzam do rozważenia tego faktu z innego punktu widzenia. Wróćmy do chusteczki znalezionej na scenie zbrodni. Jak to niedawno przyznaliśmy, trzy kobiety mogą posługiwać się literą „H”. Pani Hubbard, panna Debenham i pokojówka, Hildegarda Schmidt. A teraz popatrzmy na tę chusteczkę inaczej. Jest to, przyjaciele, wyjątkowo kosztowny przedmiot — object de luxe, ręczna robota, haftowana w Paryżu. Kto z pasażerów, pominąwszy monogram, mógłby sobie na taką chusteczkę pozwolić? Nie pani Hubbard, zacna niewiasta o bezpretensjonalnych gustach w ubiorze. Nie panna Debenham. Angielka o jej pozycji używa delikatnej płóciennej chusteczki, a nie drogiego skrawka batysty, kosztującego zapewne ze dwa tysiące franków. No i z całą pewnością nie pokojówka. Jednak w naszym pociągu jadą dwie kobiety, do których można by przypasować chusteczkę w takim właśnie gatunku. Zastanówmy się więc, czy mają cokolwiek wspólnego z literą „H”. Te dwie kobiety, o których mowa, to księżna Dragomirowff...

— Której na chrzcie dano imię Natalia — wtrącił ironicznie monsieur Bouc.

— Otóż to. Takie imię, co niniejszym stwierdzam, nasuwa pewne wnioski. Druga kobieta to hrabina Andrenyi. I co natychmiast rzuca się nam w oczy...

— Tobie się rzuca!

— Zgoda, mnie. Tłusta plama zamazała w paszporcie jej imię. Przypadek, powiedziałby ktoś. My jednak zastanowimy się nad imieniem Elena. Założmy, że miast Eleny, widniała tam Helena. Duże „H” zamieniono na duże „E”, a tłusta plama bez trudu zamaskowała połączenie z następną literą i ową zmianę.

— Helena! — krzyknął monsieur Bouc. — To jest myśl, naprawdę!

— Oczywiście, że to jest myśl! Rozejrzałem się więc za jakimś, najniewinniejszym nawet, potwierdzeniem. I znalazłem je. Jedna z nalepek na bagażu hrabiny była lekko wilgotna. Akurat

traf chciał, że zakrywała wypisane na walizce inicjały hrabiny. Odlepiono ją więc i na powrót przymocowano w zupełnie innym miejscu.

— Zaczynasz mnie przekonywać — odezwał się monsieur Bouc. — Ale hrabina Andrenyi... z całą pewnością...

— A teraz, mon vieux, musimy zrobić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i podejść do tego zagadnienia z zupełnie innej strony. Jak, według pierwotnego zamiaru, miało wyglądać to morderstwo w oczach osób postronnych? Proszę nie zapominać, że śnieg pokrzyżował plany mordercy. Wyobraźmy sobie przez chwilę, że śnieg wcale nie spadł, że pociąg jechał zgodnie z rozkładem. I co wtedy by się zdarzyło?

Załóżmy z dużym prawdopodobieństwem, że morderstwo odkryto by wczesnym rankiem na granicy włoskiej. Zeznania złożone włoskiej policji byłyby mniej więcej takie same. Istnienie anonimów z pogrozkami wyjawione przez monsieur MacQueena, monsieur Hardman opowiada swoją historię, pani Hubbard z ochotą mówi, jak jakiś mężczyzna przeszedł przez jej przedział, odkryto by guzik. Wyobrażam sobie, że tylko dwa wydarzenia przybrałyby inny obrót. Mężczyzna przeszedłby przez przedział pani Hubbard przed godziną pierwszą, a mundur konduktora znaleziono by w jednej z toalet!

— To znaczy?

— To znaczy, że morderca planował, by jego dzieło przypisano komuś innemu, kto wtargnął do pociągu. Założono by, że domniemany zabójca wysiadł z pociągu w Brodzie, gdyż mieliśmy tam dojechać o 0.58. Ktoś prawdopodobnie minąłby się na korytarzu z obcym konduktorem. Mundur podrzucony w widocznym miejscu miałby jasno wskazywać, że zbrodni nie dokonał żaden z pasażerów. I tak, przyjaciele, cała sprawa przedstawiałaby się komuś z zewnątrz. Ale przypadek wszystko zmienił. Bez wątplenia to jest powodem, dla którego ten człowiek tak długo przebywał w przedziale swojej ofiary. Ostatecznie jednak zrozumiał, że pociąg utknął na dobre. Należało więc wprowadzić w życie plan awaryjny. Gdyż od tej chwili stało się jasne, iż mordercą musi być jeden z pasażerów.

— Owszem, owszem — odezwał się niecierpliwie monsieur Bouc. — Wszystko to pojmuję. Ale gdzie tu miejsce na chusteczkę?

— Wracam do niej nieco okrężną drogą. Najpierw musicie sobie uświadomić, że listy z pogrozkami były nienaturalne. Mogły w całości zostać skopiowane z jakiejś marnej amerykańskiej powieści kryminalnej. Nie były prawdziwe. W rzeczywistości pomyślano je jako żer dla policji. Musimy więc zadać sobie następujące pytanie: „Czy Ratchett dał się na nie nabrać?” Biorąc pod uwagę fakty, odpowiedź brzmi: „nie”. Informacje, jakich udzielił Hardmanowi, zdają się wskazywać na określonego, „osobistego” wroga, którego tożsamość świetnie znał. To znaczy, jeżeli uznamy, że Hardman nie skłamał. Ale z całą pewnością Ratchett otrzymał jeden taki list, który miał diametralnie inny charakter. Ten, w którym nawiązywano do córeczki Armstrongów, a którego fragment znaleźliśmy w jego przedziale. Na wypadek, gdyby Ratchett nie domyślił się wcześniej, ów list miał sprawić, by dobrze zrozumiał źródło pogrozek. Ten list, jak już mówiłem, nie był przeznaczony dla postronnych oczu. Pierwszą troską mordercy było więc zniszczenie go. I tu po raz drugi jego plany zostały pokrzyżowane. Pierwszy raz to śnieg, drugi raz, gdy zrekonstruowaliśmy fragment anonimu. To, że tak starannie ów list niszczone, mogło oznaczać tylko jedno: pociągiem musi podróżować ktoś tak blisko związany z rodziną Armstrongów, że odnalezienie anonimu natychmiast skierowałoby podejrzania na niego. A teraz zajmijmy się dwoma następnymi, znalezionymi przez nas śladami. Pominę wycior do fajki. Już dość szczegółowo mówiliśmy na ten temat. Zabierzmy się za chusteczkę. Mówiąc najprościej, jest to ślad bezpośrednio obciążający kogoś, kto ma inicjał „H”, a kto nieumyślnie ją zgubił.

— Właśnie — wtrącił doktor Constantine. — Ta kobieta zorientowała się, że zgubiła chusteczkę, i natychmiast podjęła kroki, by ukryć swoje prawdziwe imię.

— Zbyttno się pan pospieszył. Ja nie pozwoliłbym sobie na tak pochopne wyciąganie wniosków.

— A mamy jakąś alternatywę?

— Oczywiście. Załóżmy, na przykład, że to pan popełnił zbrodnię i chce pan rzucić podejrzenie na kogoś innego. Tak się składa, że tym pociągiem jedzie pewna osoba blisko związana z rodziną Armstrongów. Jest to kobieta. Załóżmy, że podrzuca pan chusteczkę będącą jej własnością... Kobieta zostaje przesłuchana, na jaw wychodzą jej związki z rodziną Armstrongów — et voilà. Jest motyw oraz przedmiot wskazujący na jej winę.

— Ale w takim wypadku — zaprotestował doktor — jeżeli rzeczona osoba byłaby niewinna, nie podjęłaby z pewnością próby ukrycia swojej tożsamości.

— Czyżby? Tak pan sądzi? Na pewno takiego zdania byłaby i policja. Ale ja znam naturę ludzką, przyjacielu, i mogę pana zapewnić, że osoby, które niespodziewanie stają w obliczu oskarżenia o morderstwo, choćby były absolutnie niewinne, tracą głowę i dokonują najbardziej absurdalnych posunięć. Nie, nie, tłusta plama i zamiana nalepki nie dowodzą winy. Dowodzą tylko, że hrabina Andrenyi z jakichś powodów pragnie ukryć swoją tożsamość.

— Ciekawe, co może ją łączyć z rodziną Armstrongów? Jak pan uważa? Ona sama utrzymuje, że nigdy nie była w Ameryce.

— Właśnie, mówi kulawą angielszczyzną i ma wybitnie egzotyczną urodę, co jeszcze stara się podkreślać. Ale ustalenie, kim jest, nie powinno sprawić trudności. Mówiłem już, jak brzmiało nazwisko matki pani Armstrong. To Linda Arden, aktorka wielkiej sławy, znana między innymi i z ról szekspirowskich. Przypomnijcie sobie „Jak wam się podoba”, Rozalinę i las Arden. Stąd właśnie zaczerpnęła pomysł swojego scenicznego pseudonimu. Linda Arden, nazwisko pod którym znał ją cały świat, nie było prawdziwe. Mogło brzmieć Goldenberg, z całą pewnością miała w swoich żyłach środkowoeuropejską krew, może z domieszką żydowskiej. Do Ameryki ściągало wiele narodowości. Więc sugeruję, panowie, że młodsza siostra pani Armstrong, w chwili tragedii nieledwie dziecko, to Helena Goldenberg, młodsza córka Lindy Arden, która poślubiła hrabiego Andrenyi, gdy pełnił funkcję attache w Waszyngtonie.

— Ale księżna Dragomiroff utrzymywała, że tamta wyszła za Anglika.

— Którego nazwiska nie potrafiła sobie przypomnieć? Pytam cię przyjacielu, czy to rzeczywiście możliwe? Księżna Dragomiroff uwielbiała Lindę Arden, tak jak wielkie damy wielbią wybitnych artystów. Była matką chrzestną jednej z jej córek. Czyżby mogła tak szybko zapomnieć męzowskie nazwisko drugiej? To wysoce nieprawdopodobne. Nie, jestem zdania, iż księżna Dragomiroff mija się z prawdą. Wiedziała, że Helena podróżuje tym pociągiem, widziała ją. Jak tylko zorientowała się, kim w rzeczywistości był Ratchett, natychmiast uświadomiła sobie, iż podejrzenie padnie na Helenę. Toteż gdy spytaliśmy ją o siostrę pani Armstrong, skłamała bez namysłu. Że niby nie ma pewności, że nie może sobie przypomnieć, ale wydaje jej się, iż „Helena poślubiła Anglika”, co było sugestią jak najdalej od prawdziwego stanu rzeczy.

W drzwiach u wylotu wagonu pojawił się jeden z kelnerów. Skierował się do monsieur Bouca.

— Monsieur, czy można podawać kolację? Już od dłuższego czasu jest gotowa.

Monsieur Bouc popatrzył na Poirota. Ten kiwnął głową.

— Ależ oczywiście, niech podają.

Kelner zniknął za drzwiami. Do uszu trzech panów dobiegł dźwięk dzwonka i podniesiony głos kelnera:

— Premier Service. Le dîner est servi. Premier dîner!

ROZDZIAŁ CZWARTY TLUSTA PLAMA NA WĘGIERSKIM PASZPORCIE

Monsieur Poirot usiadł do kolacji wraz z panami Boucem i Constantine'em.

Zgromadzone w wagonie restauracyjnym towarzystwo było wyciszone, niewiele rozmawiano. Nawet gadatliwa pani Hubbard zachowywała się nienaturalnie spokojnie. Siadając mruknęła:

— Chyba wcale nie mam ochoty na jedzenie. — Co powiedziawszy, pałaszowała wszystko, co jej podsuwano, zachęcana jeszcze przez Szwedkę, która zdawała się otaczać ją specjalną opieką.

Zanim podano posiłek, Poirot przytrzymał za rękaw szefa kelnerów i szepnął mu coś do ucha. Constantine trafnie odgadł, jakie to było polecenie, gdy zauważył, że hrabiego i hrabinę obsługiwano w ostatniej kolejności i z opóźnieniem przyniesiono im rachunek. Z tego też powodu Andrenyi jako ostatni byli gotowi do opuszczenia wagonu restauracyjnego.

Gdy wstali od stolika i zmierali w stronę drzwi, Poirot podniósł się energicznie i podążył za nimi.

— Pardon, madame, zgubiła pani chusteczkę.

I wyciągnął ku niej zwiewny, opatrzony monogramem kwadracik.

Wzięła go do ręki, obejrzała, potem zwróciła detektywowi.

— Pan się omylił, monsieur, to nie moja chusteczka.

— Nie? Jest pani pewna?

— Oczywiście, monsieur.

— Ale przecież widnieje na niej monogram, litera „H”.

Hrabia uczynił gwałtowny ruch, który Poirot zignorował. Nie spuszczał wzroku z twarzy hrabiny. Odparła, patrząc mu twardo w oczy:

— Nie rozumiem, monsieur. Moje inicjały to „E.A”.

— Nie sądzę. Pani ma na imię Helena, nie Elena. Helena Goldenberg, młodsza córka Lindy Arden, Helena Goldenberg, siostra pani Armstrong.

Zaległa śmiertelna cisza. Oboje, hrabia i hrabina, byli kredowo bladzi. Poirot odezwał się po chwili nieco łagodniej:

— Nie ma sensu zaprzeczać. Wszak to prawda, czyż nie?

Hrabia wybuchł gniewnie:

— Żądam wyjaśnień, monsieur. Jakim prawem...

Żona przerwała mu, przytykając swoją małą dłoń do jego ust.

— Nie, Rudolfie. Pozwól mi mówić. Zaprzeczanie słowom tego dżentelmena mija się z celem. Lepiej usiądźmy i porozmawiajmy o tej sprawie.

Jej głos uległ przeobrażeniu. Wciąż pobrzmiwały w nim echa bogactwa Południa, ale jednocześnie stał się ostrzejszy i czystszy. Po raz pierwszy można było stwierdzić, że ten głos niewątpliwie należy do Amerykanki.

Hrabia poddał się nakazowi jej dłoni i zamilkł. Oboje usiedli naprzeciw Poirota.

W istocie, jest tak, jak pan twierdzi — powiedziała hrabina. — Jestem Heleną Goldenberg, młodszą siostrą Soni Armstrong.

— Dziś rano nie przyznała się pani do tego, madame la comtesse.

— Nie.

— I w rzeczywistości wszystko to, co powiedział pani mąż, całkowicie mija się z prawdą.

— Monsieur! — hrabia Andrenyi wyraźnie tracił nad sobą panowanie.

— Nie unos się, Rudolfie. Monsieur Poirot ujawnia fakty w sposób nieco brutalny, ale temu, co mówi, trudno jest zaprzeczyć.

— Cieszę się, że przyznaje pani to tak otwarcie, madame. Czy może wyzna mi pani teraz, co powodowało panią, aby obrać taki sposób postępowania i sfałszować w paszporcie swoje imię?

— To był mój pomysł — powiedział hrabia.

Helena mówiła cicho:

— Monsieur Poirot, z pewnością potrafi pan zrozumieć, co mną... co nami... kierowało. Zamordowany człowiek był tym samym, który zamordował moją małą siostrzeniczkę, przyczynił się do śmierci mojej siostry, zniszczył życie mojego szwagra. A tych troje było dla mnie wszystkim, tworzyli mój dom... mój świat!

W jej głosie zadźwięczała żarliwa pasja. Hrabina była nieodrodną córką swojej matki, której namiętna siła sztuki aktorskiej doprowadzała tysięczną publiczność do łez.

Dalej ciągnęła już spokojnie:

— Ze wszystkich pasażerów tego pociągu prawdopodobnie ja tylko miałem najsilniej uzasadniony motyw do zabicia tamtego mężczyzny.

— Ale pani go nie zabiła, madame?

— Przysięgam panu, monsieur Poirot, a mój mąż także to wie, i przysięgnie, że chociaż bym tego pragnęła, to jednak nigdy na tego człowieka nie podniosłam ręki.

— Ja również — dodał hrabia. — Daję wam słowo honoru, że ubiegłej nocy Helena w ogóle nie opuszczała przedziału. Tak jak powiedziałem, zażyła środek nasenny. Jest absolutnie i bez zastrzeżeń niewinna.

Monsieur Poirot popatrzył wpierw na jedno, potem na drugie z małżonków.

— Słowo honoru — powtórzył hrabia.

Poirot lekko potrząsnął głową.

— A jednak to pan własnoręcznie sfalszował imię w paszporcie?

— Monsieur Poirot — głos hrabiego brzmiał szczerze, przepełniały go emocje. — Proszę zrozumieć moją sytuację. Czy pan uważa, że mógłbym znieść, by moją żonę wplątano w ponurą aferę kryminalną? Wiem, że żona jest niewinna. Jednak to, co powiedziała, jest prawdą: z powodu jej bliskich związków z rodziną Armstrongów, automatycznie stałaby się osobą podejrzaną. Byłaby przesłuchiwana, może nawet aresztowana. Skoro więc jakiś piekielny zbieg okoliczności sprowadził nas do tego samego pociągu, co Ratchetta, zrozumiałem dobitnie, że pozostało mi tylko to jedno do zrobienia. Przyznaję, monsieur, że skłamałem panu we wszystkim, prócz jednego. Zeszłej nocy moja żona wcale nie wychodziła z przedziału.

Mówił z takim przekonaniem, że trudno byłoby je podważyć.

— Nie twierdzę, że panu nie wierzę, monsieur — Poirot mówił wolno, ważąc słowa. — Wiem, że pańska rodzina zalicza się do dumnych i starożytnych rodów. Zrozumiałe więc, że chciał pan uniknąć przykrości, jaką byłoby wciągnięcie pańskiej żony w brzydką aferę kryminalną. W tej sprawie podzielam pańskie zapatrywania. Ale jak wytłumaczy pan obecność chusteczki pańskiej małżonki akurat w przedziale zamordowanego?

— To nie jest moja chusteczka, monsieur — powtórzyła hrabina.

— Mimo monogramu „H”?

— Mimo monogramu. Moje chusteczki są w gatunku podobne, ale żadna z nich nie jest identyczna z tą właśnie. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że niewiele mam szans, by pana przekonać, jednak zapewniam, że tak jest. Ta chusteczka nie należy do mnie.

— Więc może ją tam ktoś podłożył, by rzucić na panią podejrzenie?

Uśmiechnęła się blado.

— Kusi mnie pan, bym wyznała, że to moja własność? Ale tak nie jest, monsieur Poirot.

Mówiła z absolutną szczerością.

— Dlaczego zatem, skoro chusteczka nie należy do pani, zmieniła pani imię w paszporcie?

Na to odpowiedział hrabia:

— Gdyż doszła nas wieść, że znaleziono chusteczkę opatrzoną monogramem „H”. Nim przyszedliśmy na przesłuchanie, omówiliśmy to wspólnie. Wytłumaczyłem Helenie, że natychmiast zostanie poddana surowszemu śledztwu, ponieważ jej imię zaczyna się na „H”. A cała sprawa była taka prosta. Bez większego trudu można było zmienić Helenę w Elenę.

— Ma pan, monsieur le comte, zadatki na wytrawnego przestępcę — zauważył sucho Poirot. — Wielki wrodzony spryt i wyraźne, silne postanowienie, by wprowadzić w błąd przedstawicieli prawa.

— Ależ nie, nie — dziewczyna pochyliła się w przód. — Monsieur Poirot, przecież mąż wyjaśnił panu, jak do tego doszło. — Przerzuciła się z francuskiego na angielski. — Byłam przerażona, straszliwie, śmiertelnie przerażona, rozumie pan? To takie okropne... tamten czas... wszystko na nowo odżyło. W dodatku ja podejrzana i może wtrącona do więzienia. Ze strachu odchodziłam od zmysłów. Czy pan nie może tego pojąć, monsieur Poirot?

Miała cudowny głos, głęboki, bogaty, błagalny, głos córki Lindy Arden, aktorki.

— Jeżeli mam pani uwierzyć, madame, a wcale nie mówię, że pani nie wierzę, to musi mi pani pomóc.

— Pomóc?

— Tak. Motyw moderstwa kryje się w przeszłości, w tej tragedii, która zburzyła pani dom i osnuła cieniem pani młode życie. Proszę więc zabrać mnie w tę przeszłość, mademoiselle, a może natrafię tam na jakiś ślad, który nam wszystko wyjaśni.

— Cóż takiego mogłabym panu opowiedzieć? Oni wszyscy nie żyją. — Ze smutkiem powtórzyła: — Wszyscy... wszyscy... John, Sonia, najukochańsza Daisy. Była taka słodka, taka szczęśliwa, miała takie cudowne loczki. Wszyscy za nią szaleliśmy!

— Była tam jeszcze jedna ofiara, madame. Ofiara pośrednia, można by powiedzieć.

— Biedna Susanne? Tak, o niej zapomniałam. Policja ją przesłuchiwała. Byli przekonani, że maczała w tym palce. Może i tak, ale jeśli nawet, to nieświadomie. Przypuszczam, że wypaplała komuś beztrzesko, kiedy Daisy będzie poza domem. Biedactwo, ogromnie to nią wstrząsnęło. Myślała, że zostanie oskarżona — hrabina wzdrygnęła się. — Rzuciła się z okna. Och, to takie okropne.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Jakiej ona była narodowości?

— Francuzka.

— Jak brzmiało jej nazwisko?

— To niedorzeczne, ale nie potrafię sobie przypomnieć. Wszyscy zwracaliśmy się do niej po prostu Susanne. Ładna, roześmiana dziewczyna. Bardzo przywiązana do Daisy.

— Była jej opiekunką, prawda?

— Tak.

— A kto pełnił funkcję pielęgniarki?

— Kwalifikowana siostra ze szpitala. Nazwiskiem Stengelberg. Ona także uwielbiała Daisy... i moją siostrę.

— A teraz, madame, chciałbym, aby się pani dobrze zastanowiła, nim odpowie pani na następne pytanie. Czy od chwili wejścia do tego pociągu zobaczyła pani kogoś znajomego?

Spojrzała na niego uważnie.

— Ja? Ależ skąd, nie!

— A księżna Dragomiroff?

— Ona? Oczywiście, znam ją. Myślałam, że chodzi panu o kogoś... kogoś z tamtych czasów.

— Dokładnie o to mi chodzi, madame. Proszę się dobrze zastanowić. Proszę pamiętać, że minęło kilka lat. Taka osoba mogła się zmienić.

Helena zamyśliła się głęboko. Potem powiedziała:

— Nie, jestem pewna, że nie ma tutaj nikogo takiego.

— W tamtym czasie pani sama była bardzo młodą dziewczyną. Czy nie było kogoś, kto nadzorowałby pani naukę, sprawował nad panią pieczę?

— A owszem, miałam tyrana... Coś jakby moją guwernantkę i sekretarkę Soni w jednej osobie. Angielka czy raczej Szkotka, postawna, ruda kobieta.

— Jak brzmiało jej nazwisko?

- Panna Freebody.
 - Młodsza czy starsza?
 - Mnie wydawała się przeraźliwie stara. Nie przypuszczam jednak, by mogła mieć więcej niż czterdzieści lat. No i oczywiście była Susanne, która doglądała mojej garderoby i usługiwała mi.
 - Czy byli jeszcze jacyś inni domownicy?
 - Tylko służba.
 - Czy jest pani pewna, absolutnie pewna, madame, że nie rozpoznała pani nikogo z pasażerów?
- Odpowiedziała szczerym głosem:
- Nikogo, monsieur. Ani jednej osoby.

ROZDZIAŁ PIĄTY IMIĘ KSIĘŻNEJ DRAGOMIROFF

Kiedy hrabia z hrabiną wyszli, Poirot popatrzył po swoich dwóch towarzyszach.

— Sami widzicie — przemówił — zrobiliśmy pewne postępy.

— Znakomita robota — pochwalił wylewnie monsieur Bouc. — Jeżeli chodzi o mnie, to nigdy by mi się nie śniło, by podejrzewać hrabiostwo Andrenyi. Myślę, że nie ulega już wątpliwości, iż to ona jest winna zabójstwa. No, ale przecież jej nie zgilotynują. Istnieją okoliczności łagodzące. Kilka lat więzienia, na tym się skończy.

— Ty naprawdę jesteś całkowicie przekonany o jej winie?

— Drogi przyjacielu, a jakież tu mogą być wątpliwości? Sądziłem, że twoje uspokajające słowa miały tylko złagodzić sprawy do czasu, aż wydostaniemy się z tych zasp i policja przejmie śledztwo.

— Nie wierzysz w zapewnienie hrabiego, w jego słowo honoru, że żona jest niewinna?

— Mon cher, naturalnie, cóż innego mógłby twierdzić? Uwielbia żonę. Pragnie ją ocalić. Kłamał znakomicie, całkiem po jaśniepańsku, ale przecież to było oczywiste kłamstwo.

— Cóż, ja jednak mam nedorzeczne przeczucie, że to mogła być prawda.

— Ależ skąd! Pamiętaj o chusteczce. Ona rozstrzyga sprawę.

— O, nie byłbym wcale taki pewny, jeśli chodzi o chusteczkę. Przypomnij sobie, jak mówiłem, iż są dwie możliwe jej właścicielki.

— Mimo to...

Monsieur Bouc przerwał. Drzwi otworzyły się i do wagonu restauracyjnego wkroczyła księżna Dragomirowa. Skierowała się prosto ku nim, więc trzej mężczyźni porwali się na równe nogi.

Ignorując obecność pozostałych, księżna zwróciła się do Poirota:

— Odnoszę wrażenie, monsieur — powiedziała — że pan ma moją chusteczkę.

Poirot rzucił towarzyszom triumfalne spojrzenie.

— Czy to ta, madame?

I pokazał mały kwadracik wytwornego batystu.

— Ta. W rogu jest mój inicjał.

— Ależ, madame la princesse, to jest litera „H” — odezwał się monsieur Bouc. — A pani imię, proszę mi wybaczyć, brzmi Natalia.

Zgasiła go lodowatym spojrzeniem.

— Zgadza się, monsieur. Moje chusteczki zawsze są oznaczane rosyjskimi literami. Rosyjskie „N” to „H”.

Monsieur Bouc nieco się zmieszał. W tej nieugiętej starej damie było coś takiego, co sprawiało, iż tracił głowę i pewność siebie.

— Podczas przesłuchania dzisiejszego ranka nie przyznała się nam pani, że to pani własność.

— Bo mnie pan nie pytał — odparła cierpko księżna.

— Pani raczy usiąść, madame — poprosił Poirot.

Westchnęła.

— Cóż, chyba powinnam.

Usiadła.

— Nie ma potrzeby przeciągania tego, messieurs, Pańskie następne pytanie będzie brzmiało: „jakim sposobem moja chusteczka znalazła się obok ciała zamordowanego?” Moja odpowiedź jest taka: „nie mam pojęcia”.

— Pani naprawdę nie ma pojęcia?

— Najmniejszego.

— Proszę mi wybaczyć, madame, ale skąd możemy mieć pewność, że pani wyjaśnienia są zgodne z prawdą?

Poirot wypowiedział te słowa niezwykle miękkim tonem. Księżna Dragomiroff zareagowała pogardliwie:

— Widzę w tym aluzję do tego, iż nie wyznałam, że Helena Andrenyi to siostra pani Armstrong?

— Prawdę powiedziawszy, pani nas rozmyślnie wprowadziła w błąd.

— Oczywiście. I zrobiłabym to raz jeszcze. Jej matka była moją przyjaciółką. A ja, messieurs, jestem wyznawczynią lojalności wobec przyjaciół, wobec rodziny oraz wobec własnej kasty.

— I swoich przekonań nie przenosi pani dalej, na wymiar sprawiedliwości?

— W tej sprawie jestem zdania, że sprawiedliwość, ta czysta sprawiedliwość, zatriumfowała.

Poirot nachylił się ku niej.

— Madame, czy pani rozumie, w jakim jestem kłopotcie? Czy mam dać wiarę pani słowom w sprawie tej chusteczki? A może kryje pani córkę swojej przyjaciółki?

— O! Pojmuję, o co panu chodzi — jej twarz wykrzywiła się w cierpkim uśmiechu. — Cóż, messieurs, moje zeznanie można bez trudu sprawdzić. Podam panom adres firmy w Paryżu, w której wytwarzają moje chusteczki. Wystarczy ją tylko pokazać, a oni poświadczą, że wykonano ją ponad rok temu na moje zamówienie. Ta chusteczka należy do mnie, messieurs.

Wstała.

— Czy jeszcze chcielibyście, panowie, o coś mnie zapytać?

— A pani pokojówka, madame, rozpoznała chusteczkę, kiedy ją pokazaliśmy jej dziś rano?

— Z całą pewnością. A więc widziała ją i nie pisnęła ani słówkiem? Cóż, to tylko dowód, że i ona potrafi być lojalna.

I dystygowanie skinąwszy głową opuściła wagon restauracyjny.

— Więc to tak — mruknął cicho Poirot. — Zauważyłem cień wahania w głosie pokojówki, gdy pytałem, czy wie, do kogo należy chusteczka. Nie wiedziała, czy ma wyjawić, że do jej pani. Ale czy przystaje to do mojej głównej dziwnej koncepcji? Owszem, może przystawać.

— Ach! — zawołał monsieur Bouc z charakterystycznym dla siebie gestem. — Ta starsza dama jest okropna!

— Czy ona mogła zamordować Ratchetta? — Poirot zwrócił się do doktora Constantine'a.

Ten potrząsnął przecząco głową.

— Zadano mu ciosy z wielką siłą, przebijając mięśnie... Za nic nie mogła ich wymierzyć osoba tak wątłej konstrukcji fizycznej.

— A słabsze ciosy?

— Słabsze — owszem.

— Myślę właśnie — powiedział Poirot — o pewnym wydarzeniu z dzisiejszego ranka, gdy poczyniłem uwagę, iż siła jej tkwi raczej w woli niż w ramieniu. Ta uwaga była jakby pułapką. Chciałem przekonać się, czy spojrzy na swoje lewe, czy prawe ramię. Ale ona zrobiła coś jeszcze innego. Popatrzyła na oba. I jakoś dziwnie mi odpowiedziała. Jej słowa brzmiały: „Tak, nie ma w nich żadnej siły. I nie wiem, czy się tym martwić, czy cieszyć”. Zdumiewająca uwaga. Potwierdza moje domysły co do zbrodni.

— Ale nie wyjaśnia kwestii leworęczności.

— Nie. Przy okazji, czy zwróciliście panowie uwagę, że hrabia Andrenyi trzyma swoją chusteczkę w kieszonce po prawej stronie piersi?

Monsieur Bouc potrząsnął głową. Jego myśli wróciły do zdumiewających rewelacji, jakie przyniosło ostatnie pół godziny. Mruknął:

— Kłamstwa, i jeszcze raz kłamstwa. Aż mnie zadziwia, ile to kłamstw usłyszeliśmy w ciągu dzisiejszego ranka.

— I wciąż zostaje nam wiele z nich do wyjaśnienia — dorzucił pogodnie Poirot.

— Tak uważasz?

— Byłbym rozczarowany, gdyby się stało inaczej.

— Straszna jest taka nieszczerłość — powiedział monsieur Bouc. — Ale ciebie chyba to cieszy — dodał z wyrzutem.

— Ma to swoje zalety — oświadczył Poirot. — Gdy osobę, która kłamie, postawi się w obliczu prawdy, zwykle się przyznaje, często przez czyste zaskoczenie. Należy więc tylko prawidłowo odgadnąć, by osiągnąć spodziewany rezultat.

Naszą zagadkę można rozwiązać tylko w jeden jedyny sposób: przywołuję w myśli kolejno wszystkich pasażerów, analizuję szczegółowo każde zeznanie i mówię sobie: „Jeżeli to i to jest kłamstwem, to w jakim punkcie i z jakiego powodu on skłamał?” I odpowiadam sobie, że jeżeli oni kłamią — zwróćcie uwagę na to „jeżeli”, to chyba z takiego a takiego powodu, tylko w takim a takim celu. Już raz się nam powiodło — w przypadku hrabiny Andrenyi. Toteż próbujemy dalej zastosować tę samą metodę wobec kilku innych osób.

- A przypuścmy, że twoje domysły są błędne?
- Wtedy co najmniej jedna osoba zostanie całkowicie oczyszczona z podejrzeń.
- Aha! Proces eliminacji.
- Właśnie.
- Więc kogo następnego weźmiemy na cel?
- Na cel weźmiemy tego pukka sahib, pułkownika Arbutnota.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DRUGIE PRZESŁUCHANIE PUŁKOWNIKA ARBUTHNOTA

Pułkownik Arbuthnot nie ukrywał niezadowolenia, że po raz drugi wezwano go na rozmowę do wagonu restauracyjnego. Usiadł przybierając najbardziej odpychający wyraz twarzy i zapytał:

— Słucham?

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, że ponownie pana fatygujemy — odezwał się Poirot. — Ale podejrzewam, że wciąż jeszcze jest kilka informacji, którymi mógłby się pan z nami podzielić.

— Doprawdy? Wątpię.

— Zacznijmy od tego wycioru do fajki. Widzi go pan?

— Tak.

— Czy to jeden z pańskich?

— Nie wiem. Domyśla się pan, że ich nie oznaczam.

— Czy jest pan świadom, pułkowniku Arbuthnot, że tylko pan spośród pasażerów tego wagonu Stambuł–Calais pali fajkę?

— W takim razie to prawdopodobnie moja własność.

— A wie pan, gdzie go znaleziono?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Obok ciała zamordowanego.

Pułkownik Arbuthnot uniósł brwi.

— Czy może mi pan wyjaśnić, pułkowniku Arbuthnot, w jaki sposób ten wycior mógł się tam dostać?

— Jeżeli podejrzewa pan, że to ja go zgubiłem, to jest pan w błędzie.

— Czy wchodził pan kiedykolwiek do przedziału Ratchetta?

— Nigdy nawet nie rozmawiałem z tym człowiekiem.

— Nie rozmawiał pan z nim i nie zamordował go?

Brwi pułkownika ponownie uniosły się drwiąco.

— Gdybym to zrobił, z pewnością nie byłbym skłonny się do tego przyznać. Ale jeśli chodzi o ścisłość, nie ja zamordowałem tego faceta.

— Aha, dobrze — mruknął Poirot. — To nie ma żadnego znaczenia.

— Słucham?

— Powiedziałem, że to bez znaczenia.

— O! — Arbuthnot osłupiał. Z niepokojem popatrzył na Poirota.

— Gdyż, widzi pan — ciągnął mały człowieczek — ten wycior do fajki nie ma żadnej wagi. Sam osobiście mogę wymyślić z jedenaście przekonujących powodów, dla których się tam znalazł.

Arbuthnot wpatrywał się w niego z uwagą.

— Naprawdę to chciałbym zapytać pana o coś innego — mówił dalej Poirot. — Może panna Debenham już się panu zwierzyła, że na stacji w Konyi podsłuchałem pewne jej słowa, skierowane do pana.

Arbuthnot nic nie odpowiedział.

— Jej słowa brzmiały: „Nie teraz. Kiedy będzie to już poza nami. Kiedy już będzie po wszystkim”. Może pan wie, do czego się one odnoszą?

— Przykro mi, monsieur Poirot, ale muszę odmówić odpowiedzi na to pytanie.

— Pourquoi?

Pułkownik wyjaśnił sztywno:

— Proponuję, by o znaczenie tych słów spytał pan samą pannę Debenham.

— Już to uczyniłem.

— A ona odmówiła?

— Tak.

— Wobec tego sądzę, że nawet dla pana powinno być całkiem jasne, dlaczego mam zamknięte usta.

— Nie zdradza pan sekretów damy?

— Jeżeli pan chce to ująć w ten sposób, to tak.

— Panna Debenham wyjawiała mi, że jej słowa odnoszą się do ściśle osobistych spraw.

— Więc dlaczego się pan tym nie zadowoli?

— Gdyż, pułkowniku Arbuthnot, panna Debenham zalicza się do tak zwanych najbardziej podejrzanych osób.

— Bzdura — zaprzeczył gorąco pułkownik.

— Wcale nie taka bzdura.

— Nie ma przeciw niej żadnych dowodów.

— Prócz tego, że panna Debenham była guwernantką w rodzinie Armstrongów w czasie, kiedy porwano małą Daisy Armstrong.

Zapadła chwila śmiertelnej ciszy. Poirot skinął zyczliwie głową.

— Widzi pan — powiedział — że wiemy więcej, niż pan przypuszcza. Jeżeli panna Debenham jest niewinna, to dlaczego się do tego nie przyznała? Dlaczego wmawiała mi, że nigdy nie była w Ameryce?

Pułkownik odchrząknął.

— A może pan się myli?

— Nie jestem w błędzie. Dlaczego panna Debenham skłamała?

Pułkownik Arbuthnot wzruszył ramionami.

— Niech pan lepiej ją samą o to zapyta. Ja nadal uważam, że się pan myli.

Poirot zawołał głośno kelnera. Jeden z nich nadbiegł z odległego krańca wagonu.

— Proszę zawiadomić mademoiselle z numeru 11, Angielkę, że proszę, aby była tak dobra i zechciała przyjść tutaj.

— Bien, monsieur.

Kelner odszedł. Czterech mężczyzn siedziało w milczeniu. Twarz pułkownika była jak wyrzeźbiona w drewnie — nieruchoma i bez wyrazu.

Wrócił kelner.

— Ta dama już idzie, monsieur.

— Dziękuję.

Minutę czy dwie później do wagonu restauracyjnego weszła Mary Debenham.

ROZDZIAŁ SIÓDMY TOŻSAMOŚĆ MARY DEBENHAM

Nie miała kapelusza. Głowę odrzuciła w tył, jakby obronnym ruchem. Pukiel włosów zgarnięty z twarzy, zarys nosa przypominający dziób statku dzielnie walczącego ze wzburzonym morzem. W tej chwili dziewczyna była piękna.

Przez sekundę jej oczy zatrzymały się na Arbuthnocie, lecz był to tylko moment.

Zwróciła się do Poirota.

— Pan życzył sobie mnie widzieć?

— Chciałem panią spytać, mademoiselle, dlaczego dziś rano nie powiedziała nam pani prawdy?

— Nie powiedziałam prawdy? Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi?

— Zataiła pani fakt, że w czasie, kiedy rozgrywała się tragedia Armstrongów, mieszkała pani w ich domu. A mnie pani starała się przekonać, że nigdy nie była w Ameryce.

Spostrzegł, że zadrżała, ale opanowała się natychmiast.

— Tak — odezwała się. — To prawda.

— Nie, mademoiselle, to fałsz.

— Pan mnie źle zrozumiał. Miałam na myśli, że prawdą jest, iż rano skłamałam.

— Ach więc, przyznaje to pani? Jej wargi złożyły się do uśmiechu.

— Oczywiście. Jeżeli już mnie pan na tym przyłapał.

— Więc wreszcie jest pani szczerą, mademoiselle.

— Nie mam innego wyjścia.

— Cóż, bez wątpienia ma pani rację. Toteż, mademoiselle, czy mogę spytać, jaka była przyczyna tego oszustwa?

— Powinnam wymyślić jakąś rzucającą się w oczy przyczynę, monsieur Poirot?

— Dla mnie przyczyna ta wcale nie byłaby taka oczywista.

Odpowiadała spokojnie, w jej głosie zabrzmiała nawet twarda nuta:

— Muszę zarabiać na swoje utrzymanie.

— To znaczy?...

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Cóż pan może wiedzieć, monsieur Poirot, o walce, jaką trzeba stoczyć, by zdobyć i utrzymać przyzwoitą posadę? Czy pan sądzi, że dziewczyna, która jest zamieszana w sprawę o morderstwo, której nazwisko i możliwe, że zdjęcie reprodukowałyby angielskie gazety... Czy pan uważa, że stateczna, średniozamożna Angielka byłaby skłonna zatrudnić taką dziewczynę jako guwernantkę do swoich córek?

— Nie widzę powodu, dlaczego by nie. Skoro na panią nie padł nawet cień podejrzeń?

— Och, cień podejrzeń! To nie podejrzenia, to rozgłos! Monsieur Poirot, jak dotąd, powiodło mi się w życiu. Miałam i mam dobrze płatne i sympatyczne posady. Nie zamierzam więc ryzykować osiągniętej pozycji, kiedy i tak nic dobrego by z takiego ryzyka nie wynikło.

— Ośmielałam się zasugerować, mademoiselle, że najlepszy osąd o tym mogę wydać ja, nie pani.

Wzruszyła ramionami.

— Na przykład, mogłaby mi pani pomóc w sprawie ustalenia tożsamości. — Co pan przez to rozumie?

— Czyż to możliwe, mademoiselle, że nie rozpoznała pani hrabiny Andrenyi, młodszej siostry pani Armstrong, którą uczyła pani w Nowym Jorku?

— Hrabina Andrenyi? Nie — potrząsnęła głową. — Może to wydać się panu nieprawdopodobne, ale jej nie poznałam. Rozumie pan, w tamtych czasach, gdy ją znałam, była zaledwie podlotkiem. Minęły ponad trzy lata. Prawda, że hrabina mi kogoś przypominała, nawet łamałam sobie nad tym głowę, ale wyglądała tak z cudzoziemska, że nigdy nie skojarzyłam jej z tamtą małą amerykańską uczennicą. Prawda też, że popatrzyłam na nią jedynie przelotnie, gdy wchodziła do wagonu restauracyjnego. Ale wtedy większą uwagę zwróciłam na jej ubranie niż na twarz —

uśmiechnęła się blado. — Jak to kobieta! A potem... cóż... myśli miałam zaprzątnięte czymś innym.

— Nie zdradzi mi pani swojego sekretu, mademoiselle?

Głos Poirota brzmiał łagodnie i przekonywająco. Mary Debenham odparła cicho:

— Nie mogę, nie mogę.

I nagle, całkiem niespodziewanie, załamała się. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała tak, jakby jej serce miało pęknąć.

Pułkownik zerwał się na równe nogi i stanął niezgrabnie u jej boku.

— Ja... słuchaj no...

Urwał, obrócił się i zmierzył Poirota wściekłym spojrzeniem.

— Połamie ci wszystkie kości w tym twoim cholernym ciele, ty parszywy, wścibski łapsie! — krzyknął.

— Monsieur! — zaprotestował Bouc.

Arbuthnot ponownie odwrócił się do dziewczyny.

— Mary... na miłość boską... Wyprostowała się.

— To nic. Nic mi nie jest. Nie jestem już panu więcej potrzebna, monsieur Poirot? Jeżeli tak, to sam pan umie mnie znaleźć. Och, co za idiotkę robię z siebie!

Wybiegła z wagonu. Arbuthnot, nim za nią pospieszył, znowu odezwał się do Poirota:

— Panna Debenham nie ma nic wspólnego z tą sprawą, nic, słyszy pan? A jeżeli będzie ją pan niepokoił i dręczył, to będzie pan miał ze mną do czynienia!

I wymaszerował z wagonu.

— Lubię oglądać rozwścieczonego Anglika — rzekł Poirot. — Jest taki zabawny. Im bardziej poruszony, tym bardziej traci panowanie nad językiem.

Ale monsieur Bouca wcale nie obchodziły reakcje emocjonalne Anglików. Rozpływał się w podziw dla przyjaciela.

— Mon cher, vous ?tez épatant! — krzyknął. — Kolejny domysł na granicy cudu! C'est formidable.

— Niewiarygodne, jak pan do tego doszedł — zawtórował pełen uznania doktor Constantine.

— Och, tym razem nie przypisuję sobie najmniejszej zasługi. To nie był domysł. Właściwie powiedziała mi o tym hrabina Andrenyi.

— Comment? Przecież nie mówiła nic takiego.

— Czy pamiętacie, że spytałem ją o guwernantkę lub opiekunkę? Już wtedy doszedłem do wniosku, że jeżeli Mary Debenham jest zamieszana w tę sprawę, to musiała w rodzinie Armstrongów pełnić którąś z tych funkcji.

— Owszem. Ale hrabina Andrenyi opisała całkiem inną osobę.

— Otóż to. Wysoką, rudowłosą kobietę w średnim wieku. Prawdę mówiąc, to takie przeciwieństwo panny Debenham, że aż zastanawiające. Ale potem musiała natychmiast wymyślić jej nazwisko. I wtedy nasunęło się jej pewne skojarzenie. Pamiętacie, że powiedziała: „panna Freebody”?

— I co?

— Eh bien, wy możecie o tym nie wiedzieć, ale w Londynie jest sklep, który do niedawna nosił nazwę „Debenham i Freebody”. Mając więc w głowie nazwisko Debenham, hrabina szybko uchwyciła się innego, a pierwsze, jakie jej przyszło do głowy, to Freebody. Oczywiście, natychmiast to rozszyfrowałem.

— Więc zdemaskowaliśmy następne kłamstwo. Dlaczego to zrobiła?

— Możliwe, że to kolejny przykład lojalności. Co jeszcze bardziej komplikuje całą sprawę.

— Ma foi — odezwał się porywczo monsieur Bouc. — Ale dlaczego wszyscy pasażerowie tego pociągu oszukują?

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć — wyjaśnił mu Poirot.

ROZDZIAŁ ÓSMY DALSZE ZDUMIEWAJĄCE ODKRYCIA

— Teraz już mnie nic nie zdziwi — oświadczył monsieur Bouc. — Absolutnie nic! Nawet jeśli okaże się, że wszyscy pasażerowie mieli jakieś powiązania z rodziną Armstrongów, nie powiem ani słowa.

— Nadzwyczaj wnikliwa uwaga — odezwał się Poirot. — Może chciałbyś się przekonać, co twój ulubiony podejrzany ma do powiedzenia?

— Zamierzasz zweryfikować kolejny ze swoich słynnych domysłów?

— Właśnie.

— Doprawdy, to wyjątkowa i niecodzienna sprawa — zauważył doktor Constantine.

— Skąd, jak najbardziej naturalna.

Monsieur Bouc w komicznym geście uniósł w górę ramiona.

— Jeżeli to dla ciebie naturalne, mon ami... I odebrało mu głos.

Gdyż Poirot polecił kelnerowi, by sprowadził Antonia Foscarellego.

Olbrzymi Włoch wszedł do wagonu łypiąc niepewnie okiem. Rozglądał się nerwowo na boki, niczym zwierzak schwyty w pułapkę.

— Czego wy ode mnie chcecie? — spytał. — Nie mam wam nic do powiedzenia, nic, rozumiecie? Per Dio... — uderzył pięścią w stół.

— Wręcz przeciwnie, pan ma nam coś do powiedzenia — odezwał się stanowczym tonem Poirot. — Prawdę!

— Prawdę? — Włoch niespokojnie zerknął na Poirota. Z jego zachowania ulotniła się cała pewność siebie i jowialność.

— Mais oui. Możliwe, że ja znam już tę prawdę. Ale kiedy wyzna ją pan dobrowolnie, będzie to punkt świadczący na pana korzyść.

— Mówi pan jak amerykańska policja. „Oczyść się”, tak właśnie powiadają, „oczyść się”.

— Aha! Ma pan więc jakieś doświadczenia z nowojorską policją?

— Nie, skąd, nigdy w życiu! Nic mi nie mogli udowodnić, bo i nic nie było do udowodnienia.

Poirot odezwał się cichym głosem:

— To było przy okazji sprawy Armstrongów, prawda? Pan był szoferem?

Jego oczy spotkały się z oczami Włocha. Z olbrzymia uszła cała pewność siebie. Przypominał przekłuty balon.

— Skoro pan wie... to po co pan pyta?

— Dlaczego pan dziś rano skłamał?

— Dla dobra biznesu. Poza tym, nie ufam jugosłowiańskiej policji. Oni nienawidzą Włochów. Nie byłiby wobec mnie sprawiedliwi.

— A może właśnie wymierziliby panu sprawiedliwość?

— Och, nie, nie. Nie miałem nic wspólnego z wydarzeniami ubiegłej nocy. Ten Anglik o skwaszonej minie, on może to potwierdzić. To nie ja zabiłem tę świnię, tego całego Ratchetta. Nie ma pan przeciwko mnie żadnego dowodu.

Poirot notował coś na arkuszu papieru. Podniósł głowę i powiedział cicho:

— Świetnie. Może pan odejść.

Foscarelli ociągał się z niepewną miną.

— Pan rozumie, że to nie ja... że ja nie miałem z tym nic wspólnego?

— Powiedziałem, że jest pan już wolny.

— To jakiś spisek. Pan chce mnie w to wrobić? I to za wszarza, który powinien skończyć na krześle elektrycznym? Nie ma takiej podłości, której by się nie dopuścił. Gdybym to miał być ja... gdyby mnie wtedy aresztowano...

— Ale to nie był pan. Pan nie miał nic wspólnego z porwaniem dziecka.

— Tak pan uważa? Cóż, mała... ona była oczkiem w głowie całego domu. Nazywała mnie Tonio. Siadała w samochodzie i udawała, że kręci kierownicą. Cały dom ją uwielbiał! Wreszcie i policja to zrozumiała. Ach, takie śliczne maleństwo.

W jego głosie pojawiła się miękka nuta. Oczy zaszkliły się łzami. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z wagonu.

— Pietro! — zawołał Poirot.

Kelner przybiegł natychmiast.

— Numer 10, Szwedka.

— Bien, monsieur.

— Następna?! — wykrzyknął monsieur Bouc. — Och, to niemożliwe.

— Mon cher, musimy się wszystkiego dowiedzieć. Nawet jeżeli w końcu okaże się, że każdy z pasażerów miał motyw do zabicia Ratchetta, musimy dojść prawdy. A kiedy już się dowiemy, będziemy mogli ustalić ostatecznie, czyja to wina.

— Kręci mi się w głowie — jęknął monsieur Bouc.

Jeden z kelnerów współczująco wprowadził do wagonu Gretę Ohlsson. Niewiasta płakała gorzko.

Osunęła się na siedzenie naprzeciw Poirota i szlochała nieprzerwanie w chusteczkę.

— Proszę nie rozpaczać, mademoiselle. Proszę nie rozpaczać — Poirot pogładził ją po ramieniu.

— Chodzi mi tylko o kilka słów prawdy, to wszystko. Pani była pielęgniarzką opiekującą się małą Daisy Armstrong?

— Prawda... to prawda — załkała zrozpaczona kobieta. — Ach, cóż z niej był za aniołek, słodki, prawdziwy aniołek. Nie zaznała nic prócz czułości i miłości... i zabrał ją ten nikczemny człowiek... okrutnie potraktował... i jej biedna matka... i to drugie maleństwo, któremu w ogóle nie dane było żyć. Pan nie potrafi zrozumieć... pan nie może tego wiedzieć... gdyby pan był wtedy tam jak ja... gdyby pan sam widział tę straszliwą tragedię... powinnam dziś rano powiedzieć panu prawdę o sobie. Ale się bałam... bałam. Taka byłam uszczęśliwiona, że ten szatan nie żyje... że nie będzie mógł już więcej zabijać czy torturować małych dzieci. Ach! Nie potrafię o tym mówić... brakuje mi słów...

I zaszlochała jeszcze gwałtowniej.

Poirot nie przestawał gładzić jej po ramieniu.

— Już dobrze... dobrze... rozumiem... wszystko rozumiem... wszystko, powtarzam pani... Nie będę już pani o nic więcej pytać. Wystarczy, że przyznała pani, iż to, o czym wiem, jest prawdą. Zapewniam panią, że wszystko rozumiem.

Oślepiąca łzami Greta Ohlsson wstała i po omacku odnalazła drzwi. Kiedy do nich dotarła, zderzyła się z wchodzącym właśnie mężczyzną.

Był to kamerdyner — Masterman.

Skierował się prosto do Poirota i odezwał się jak zwykle cichym, pozbawionym emocji głosem:

— Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam, sir. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jak przyjdę tu od razu, sir. I wyznam panu całą prawdę. Podczas wojny byłem ordynansem pułkownika Armstronga, sir, a potem, w Nowym Jorku, zostałem jego kamerdynerem. Obawiam się, że zataiłem ten fakt dziś rano. Było to błędem z mojej strony, więc uznałem, że lepiej przyjdę tutaj i wszystko wyjaśnię. Ale mam nadzieję, sir, że pan w najmniejszym nawet stopniu nie podejrzewa Tonię. Poczciwy Tonio, sir, nie skrzywdziłby nawet muchy. Mogę przysiąc na wszystko, że ubiegłej nocy w ogóle nie opuszczał przedziału. Sam pan więc widzi, że nie mógł tego zrobić. Tonio może sobie być obcokrajowcem, sir, ale ma wyjątkowo łagodne usposobienie, zupełnie różne od tych okropnych włoskich morderców, o których się czyta.

Umilkł.

Poirot nie odrywał od niego wzroku.

— Czy to wszystko, co pan ma do powiedzenia?

— Wszystko, sir.

Ucichł, a ponieważ Poirot się nie odzywał, skłonił się w przeproszającym geście i po chwilowym wahaniu opuścił wagon restauracyjny, w taki sam spokojny, dyskretny sposób, w jaki tu wszedł.

— To wszystko — orzekł doktor Constantine — jest bardziej niesamowite i zwariowane, niż jakikolwiek roman policier, jaki czytałem.

— Zgadza się — potaknął monsieur Bouc. — Z dwunastu pasażerów jadących tym pociągiem, dziewięć osób okazało się mieć związki z rodziną Armstrongów. Co dalej, pytam się? Czy raczej powinienem powiedzieć: kto następny w kolejce?

— Na to jestem w stanie dać ci natychmiastową odpowiedź — rzekł Poirot. — Oto nadciąga nasz amerykański detektyw, monsieur Hardman.

— Czy on także przychodzi coś wyznać?

Nim Poirot zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Amerykanin był już przy ich stoliku. Zmierzył wszystkich czujnym wzrokiem i usiadłszy, wycedził:

— Co naprawdę dzieje się w tym pociągu? Wydaje mi się, że wrze tu jak w ulu.

Poirot mrugnął do niego:

— Czy jest pan absolutnie pewny, panie Hardman, że pan nie pracował u Armstrongów jako, powiedzmy, ogrodnik?

— Oni nie mieli ogrodnika — wyjaśnił formalnym tonem Hardman.

— A majordomusem?

— Nie mam pojęcia, czy był tam taki. Nie, nigdy, w żaden sposób nie byłem związany z domem Armstrongów. Ale zaczynam dochodzić do wniosku, że jako jedyny w całym pociągu! Da pan wiarę? Czy da pan wiarę?

— To rzeczywiście nieco zdumiewające — powiedział zgodliwie Poirot.

— C'est rigolo! — wyrwało się monsieur Boucowi.

— A może ma pan, panie Hardman, jakieś własne teorie na temat tej zbrodni? — dopytywał się Poirot.

— Nie, sir. Poddaję się. Nie wiem doprawdy, jak to — wytłumaczyć. Przecież wszyscy pasażerowie nie mogą być zamieszani. Ustalenie jednak, kto należy do spisku, przerasta moje siły. Jakim cudem, chciałbym wiedzieć, doszedł pan do tego wszystkiego?

— Zwyczajnie: domyśliłem się.

— Wobec tego, proszę mi wierzyć, z pana jest mistrz domysłów.

Hardman odchylił się do tyłu i popatrzył z podziwem na Poirot.

— Pan mi wybacz — stwierdził — ale nikt by w to nie uwierzył, widząc pana. Uchylam przed panem kapelusza. Naprawdę uchylam.

— Pan jest zbyt uprzejmy, monsieur Hardman.

— Ależ skąd! Musiałem to panu powiedzieć.

— Tak czy siak — odezwał się Poirot — zagadka nie została jeszcze do końca rozwiązana. Czy możemy twierdzić z absolutnym przekonaniem, że wiemy, kto zabił monsieur Ratchetta?

— Mnie proszę z tego wyłączyć — powiedział Hardman. — Ja nic nie mówię. Nie posiadam się wprost z podziwu dla pana. A co z pozostałą dwójką, co do której nie żywił pan jeszcze żadnych domysłów? Z tą podstarzałą amerykańską damą oraz z pokojówką? Przypuszczam, że możemy założyć, iż one jedyne w całym pociągu są niewinne?

— Chyba że — uśmiechnął się Poirot — dopasujemy je do naszej małej kolekcji jako, powiedzmy, gospodynię i kucharkę domostwa Armstrongów.

— Cóż, teraz już nie ma nic takiego pod słońcem, co byłoby dla mnie niespodzianką — stwierdził z cichą rezygnacją Hardman. — Dom wariatów, oto, czym jest ta cała sprawa. Dom wariatów!

— Ach, mon cher — wtrącił monsieur Bouc. — Przecież to byłaby przesada. Wszyscy nie mogą być w to zamieszani.

Poirot popatrzył na niego.

— Nie rozumiesz — powiedział. — Nic nie rozumiesz. Powiedz mi — poprosił — czy wiesz, kto jest zabójcą Ratchetta?

— A ty? — odparował monsieur Bouc.

Poirot skinął potakująco głową.

— Owszem. Wiem to już od pewnego czasu. I jest to tak oczywiste, iż dziwię się, że i ty tego nie dostrzegasz. — Spojrzał na Hardmana i spytał: — A pan?

Detektyw potrząsnął głową. Wlepił w Poirota wzrok pełen zaciekawienia.

— Nie wiem — przyznał. — Nic nie wiem. A więc, kto z nich?

Poirot milczał chwilę. Potem odezwał się:

— Może pan będzie taki dobry, monsieur Hardman, i zwoła wszystkich tutaj. W tej sprawie są dwa możliwe rozwiązania. Chciałbym przedstawić je publicznie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

POIROT PROPONUJE DWA ROZWIĄZANIA

Pasażerowie, wszedłszy tłumnie do wagonu restauracyjnego, zajęli swoje miejsca przy stolikach. Na wszystkich twarzach malował się ten sam wyraz — wyczekiwania pomieszanego z lękiem. Szwedka wciąż zanosila się płaczem, a pani Hubbard ją uspokajała.

— No, no, musi się pani wziąć w garść, moja droga. Wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Nie może pani tracić nad sobą panowania. Jeżeli ktoś z nas jest ohydny mordercą, to wszyscy świetnie wiemy, że nie pani. Proszę usiąść, ja będę przy pani. I już się więcej nie martwić.

Kiedy Poirot wstał, jej głos zamarł. Konduktor Wagon Lit niepewnie czał się przy drzwiach.

— Czy pozwoli pan, abym i ja został, monsieur?

— Naturalnie, Michel. Poirot odchrząknął.

— Messieurs et mesdames, będę mówił po angielsku, gdyż sędzę, że wszyscy w takim czy innym stopniu władacie tym językiem. Zgromadziliśmy się tutaj, by przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci Samuela Edwarda Ratchetta, alias Cassettego. Są dwa prawdopodobne wyjaśnienia tej zbrodni. Przedstawię je państwu, a potem poproszę monsieur Bouca i doktora Constantine'a, by osądzili, które rozwiązanie jest właściwe. Wszystkim wam znane są fakty łączące się z tą sprawą. Dziś rano znaleziono zakłutego nożem Ratchetta. Wiadomo, że był przy życiu o 0.37 ubiegłej nocy, kiedy to przez drzwi rozmawiał z konduktorem Wagon Lit. Znaleziony w kieszeni jego piżamy zegarek okazał się mocno uszkodzony, a jego wskazówki zatrzymały się na kwadrans po pierwszej. Doktor Constantine, który dokonał obdukcji zwłok, ustalił czas zgonu na między północą a drugą nad ranem. Pół godziny po północy, jak wszyscy wiecie, pociąg wpadł w zasy. I od tamtej pory niemożliwe było, aby ktokolwiek opuścił go niepostrzeżenie.

Zeznanie pana Hardmana, pracującego dla nowojorskiej Agencji Detektywistycznej (ku Hardmanowi zwróciło się wiele głów) wykazuje, że nikt nie mógł przechodzić koło jego przedziału — numer 16, na samym końcu — tak, by tego nie spostrzegł. Musimy więc wyciągnąć wniosek, że morderca z całą pewnością znajduje się wśród pasażerów jednego, szczególnego wagonu, wagonu linii Sambuł–Calais.

Takie, powtarzam, było nasze założenie.

— Comment? — wyrwało się osłupiałemu monsieur Boucowi.

— Ale zapoznam państwa także z teorią alternatywną. Jest bardzo prosta. Pan Ratchett miał określonego wroga, którego się lękał. Opisał go panu Hardmanowi i wyjawiał mu, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zamach na jego życie nastąpi drugiej nocy po wyjeździe ze Sambułu.

Zwracam więc teraz waszą uwagę, panie i panowie, że Ratchett wiedział daleko więcej, niż to przyznawał. Wróg, jak się Ratchett tego spodziewał, wtargnął do pociągu w Belgradzie albo, co możliwe, w Vincovci, drzwiami, które pozostawili otwarte pułkownik Arbuthnot i pan MacQueen, wychodzący na peron. Dostarczono mu uniform konduktora Wagon Lit. Naciągnął go na zwyczajne ubranie. Zaopatrzono go także w klucz umożliwiający wejście do przedziału Ratchetta mimo zamkniętych drzwi. Ratchett znajdował się pod działaniem środków nasennych. Ów człowiek wymierzył mu szereg gwałtownych ciosów i wycofał się przez drzwi prowadzące do przedziału pani Hubbard...

— Zgadza się — potwierdziła Amerykanka kiwając głową.

— Przechodząc wsunął sztylet, którego użył, do torby z przyborami toaletowymi pani Hubbard. Nie zauważył jednak, że urwał mu się guzik od munduru. Potem wymknął się z przedziału i przebiegł korytarzem. Pospiesznie upchnął mundur do walizki w pustym przedziale i kilka minut później, już w zwykłym ubraniu, opuścił pociąg, nim ten ruszył w dalszą drogę. Ponownie skorzystał z tego samego wyjścia — drzwi obok wagonu restauracyjnego.

Wszyscy odetchnęli.

— A co z zegarkiem? — dopytywał się pan Hardman.

— Oto wyjaśnienie tej zagadki. Ratchett zapomniał przestawić wskazówki, co powinien był uczynić w Carybrodzie. Jego zegarek wciąż więc wskazywał czas wschodnioeuropejski. Kiedy zabito Ratchetta, naprawdę był kwadrans po dwunastej, a nie po pierwszej!

— Przecież takie wytłumaczenie to bzdura! — oburzył się monsieur Bouc. — Czyj głos odezwał się z jego przedziału za dwadzieścia trzy pierwsza? Bo był to głos albo Ratchetta, albo mordercy.

— Niekoniecznie. Mogła tam być i... trzecia osoba. Ktoś, kto przyszedł porozmawiać z Ratchettem i znalazł go martwego. Nacisnął dzwonek, by wezwać konduktora, a potem, jakbyś to określił, obleciał go strach. Bał się, że zostanie oskarżony o morderstwo, toteż odezwał się udając Ratchetta.

— C'est possible — przyznał niechętnie monsieur Bouc.

Poirot spojrział na panią Hubbard.

— Słucham, madame, pani chce coś powiedzieć?...

— Cóż, sama nie bardzo wiem, co. Czy pan uważa, że i ja zapomniałam przestawić zegarek?

— Nie, madame. Myślę, że pani usłyszała, jak ktoś przechodzi przez pani przedział, ale podświadomie. Później przeżyła pani koszmar senny, że u pani jest jakiś człowiek, obudziła się przerażona i wezwała konduktora.

— Cóż, przyznaję, że to możliwe — zgodziła się pani Hubbard. Księżna Dragomiroff spojrzała Poirotowi prosto w oczy.

— A jak pan wyjaśni zeznanie mojej pokojówki, monsieur?

— Bardzo prosto, madame. Pani pokojówka rozpoznała w pokazanej przeze mnie chusteczce pani własność. Nieco niezręcznie usiłowała panią uchronić. Naprawdę widziała tego człowieka, ale wcześniej, kiedy pociąg stał na dworcu w Vincovci. Skłamała, że zobaczyła go później, gdyż skonfundowana pragnęła zapewnić pani niepodważalne alibi.

Księżna kiwnęła głową.

— Pan pomyślał o wszystkim, monsieur. Ja... ja pana podziwiam.

Zapadła cisza.

Uderzenie pięścią w stół przez doktora Constantine'a było tak nieoczekiwane, że wszyscy aż podskoczyli.

— Ależ nie! — zawołał doktor. — Nie, nie i jeszcze raz nie! Takie wytłumaczenie nie trzyma się kupy.

Szwankuje w kilkunastu pomniejszych punktach. Morderstwa nie popełniono w ten sposób... I monsieur Poirot musi o tym doskonale wiedzieć. Poirot obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

— Rozumiem więc — przemówił — że muszę przedstawić moje wyjaśnienie numer dwa. Ale nie rozstawajmy się zbyt szybko z poprzednim. Może się nam jeszcze przydać.

I ponownie zwrócił się ku pasażerom.

— A oto drugie prawdopodobne rozwiązanie zagadki zbrodni. I sposób, w jaki do niego doszedłem:

Kiedy usłyszałem już wszystkie zeznania, usiadłem sobie wygodnie, zamknąłem oczy i zacząłem rozmyślać. Niektóre sprawy wydały mi się godne uwagi. Przedstawiłem je swoim kolegom. Inne już sam sobie naświetliłem. Na przykład, obecność tłustej plamy na paszporcie itd. Zająłem się więc pozostałymi. Pierwszą i najważniejszą była uwaga poczyniona przez monsieur Bouca pierwszego dnia po wyjeździe ze Stambułu, a dotycząca wrażenia, że całe zgromadzone w tym wagonie towarzystwo jest niezmiernie interesujące, gdyż jest tak różne. Mamy tutaj przedstawicieli wszelkich warstw społecznych i najrozmaitszych narodowości.

Zgodziłem się z nim, ale kiedy ta szczególna kwestia wróciła mi na myśl, spróbowałem wyobrazić sobie, czy podobna mieszanina ludzi byłaby możliwa w jakichkolwiek innych okolicznościach. Odpowiedź, jaka mi się nasunęła, brzmi: tylko w Ameryce. W Ameryce może zdarzyć się taki dom, w którym zamieszka wiele narodowości. Szofer-Włoch, angielska guwernantka, pielęgniarka ze Szwecji, francuska pokojówka i tak dalej. To doprowadziło mnie do koncepcji „domysłów”. To znaczy, obsadzenia każdej osoby w konkretnej roli odegranej w

dramacie Armstrongów, na sposób, w jaki to czynią fachowcy od obsady w teatrze. Cóż, przyniosło to wyjątkowo ciekawy i zadowalający rezultat.

Z takim samym zaskakującym rezultatem przemyślałem zeznania wszystkich pasażerów. Weźmy na przykład jako pierwsze zeznanie pana MacQueena. Pierwsze przesłuchanie było całkowicie satysfakcjonujące. Ale przy drugim poczynił zadziwiającą uwagę. Opowiedziałem mu o znalezieniu kartki, na której wspomniano sprawę Armstrongów. A on powiedział: „Ależ przecież...” Potem urwał i dokończył: „Myślę, że była to wielka nieostrożność ze strony starego”.

Odniosłem wtedy wrażenie, że wcale nie to zaczął mówić. Załóżmy, że chciał powiedzieć tak: „Ależ z pewnością ją spalono!” Co z kolei oznaczałoby, że MacQueen wiedział o liście i o jego zniszczeniu. Innymi słowy, był albo sam mordercą, albo jego współnikiem. Bardzo dobrze.

Następnie kamerdyner. Utrzymywał, że jego chlebobawca, podróżując pociągiem, miał zwyczaj zażywać środki nasenne. To mogła być prawda, ale czy Ratchett zażył je także ubiegłej nocy? Przeczyła temu obecność pistoletu pod poduszką. Ratchett zamierzał czuwać całą noc. Z pewnością więc nie był świadom, że zaaplikowano mu jakikolwiek środek odurzający. Ale kto tego dokonał? Bezspornie MacQueen albo kamerdyner.

Teraz zastanówmy się nad zeznaniem pana Hardmana. Wierzę we wszystko, co powiedział mi na temat swojej tożsamości, ale jeśli chodzi o same metody, które zastosował, by strzec Ratchetta, to w mniejszym lub większym stopniu są one absurdalne. Jedynym skutecznym sposobem ochrony Ratchetta byłoby, gdyby się na tę noc do niego przeprowadził albo zajął takie miejsce, z którego mógłby obserwować drzwi jego przedziału. Natomiast zeznanie detektywa wskazywało tylko, że nikt z dalszej części pociągu nie miał sposobności zamordowania Ratchetta. Zawężyło to krąg podejrzanych do wagonu Sztambuł–Calais. Ten fakt wydał mi się dziwny i niejasny, toteż postanowiłem go później przemyśleć.

Do tej pory prawdopodobnie już wszystkim państwu wiadomo o kilku słowach, jakie padły między panną Debenham a pułkownikiem Arbuthnotem, a które niechęć podśledzałem. Najbardziej zaintrygowało mnie, że pułkownik zwracał się do panny Debenham po imieniu: „Mary” i że wyraźnie był z nią w zażyłych stosunkach. A przecież pułkownik poznał ją rzekomo zaledwie parę dni wcześniej, ja zaś znam Anglików w typie pułkownika. Nawet jeżeli od pierwszego wejrzenia zakochają się w jakiejś młodej damie, zalecają się do niej powoli i w zgodzie z konwenansami, a nie natarczywie. Z tego więc wyciągnąłem wniosek, że w rzeczywistości pułkownik i panna Debenham naprawdę są ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni, a z jakichś przyczyn udają tylko, że są sobie obcy. Kolejnym drobnym punktem była oczywista łatwość, z jaką panna Debenham użyła terminu „rozmowa międzynarodowa” na rozmowę telefoniczną. A przecież twierdziła, że nigdy nie była w Stanach.

Przejdźmy do kolejnego świadka. Pani Hubbard powiedziała nam, że leżała w łóżku, więc nie była w stanie stwierdzić, czy drzwi łączące dwa przedziały są zamknięte na zasuwkę, czy nie. Musiała poprosić pannę Ohlsson, by to za nią zrobiła. Ale, choć takie jej zeznanie byłoby absolutnie zgodne z prawdą, gdyby zajmowała któryś z przedziałów o numerach 2, 4, 12 czy którykolwiek parzysty, to w numerach nieparzystych, jak przedział numer 3, zasuwka jest powyżej gałki. Dlatego też torba z przyborami toaletowymi w żaden sposób nie mogła jej zasłaniać. Co zmusiło mnie do wyciągnięcia wniosku, że pani Hubbard wymyśliła całe to zdarzenie, ono zaś nigdy nie miało miejsca.

A teraz pozwólcie powiedzieć mi kilka słów na temat czasu. W moim mniemaniu naprawdę ciekawą kwestią dotyczącą stłuczonego zegarka było miejsce, w którym go znaleziono: w kieszeni kurtki od piżamy Ratchetta. Takie zaś miejsce jest wyjątkowo niewygodne i mało prawdopodobne, by w nim ktokolwiek przechowywał zegarek, szczególnie że nad głową łóżka wisi zegar ścienny. Pojąłem więc, że bez wątpienia zegarek celowo włożono do kieszeni denata i fałszywie ustawiono czas. Zbrodni wcale nie dokonano kwadrans po pierwszej.

Czy wobec tego popełniono ją wcześniej? Ściśle mówiąc, za dwadzieścia trzy pierwsza? Mój przyjaciel, monsieur Bouc, wysunął hipotezę popierającą ten domysł, mianowicie, że to o tej

właśnie porze obudził mnie czyjś głośny krzyk. Ale skoro Ratchett był nafaszerowany narkotykiem, w żadnym razie nie mógł krzyknąć. Jeżeli byłby do tego zdolny, byłby też w stanie walczyć w swojej obronie, a na to nie znaleźliśmy żadnego dowodu.

Przypomniałem sobie, że pan MacQueen zwrócił naszą uwagę, i to dwukrotnie (a po raz drugi w bardzo przejrzysty sposób), że Ratchett nie znał języka francuskiego. Doszedłem więc do przekonania, że całe to zamieszanie za dwadzieścia trzy pierwsza było komedią odegraną na mój benefit. Każdy mógł dokonać tego oszustwa z zegarkiem, to dość popularna sztuczka z powieści kryminalnych. Założono, że ją przejrę i że wykorzystując swoją inteligencję, łatwo zrozumieć, że skoro Ratchett nie mówił po francusku, to głos, jaki słyszałem za dwadzieścia trzy pierwsza, nie mógł należeć do niego oraz że wtedy Ratchett musiał już nie żyć. Ja jednak jestem przekonany, że za dwadzieścia trzy pierwsza Ratchett wciąż leżał w narkotycznym śnie.

Mimo wszystko sztuczka powiodła się! Otworzyłem swoje drzwi i wyjrzałem. Na własne uszy usłyszałem wypowiedziane po francusku zdanie. Gdybym nawet był tak niesamowicie tępy, żeby nie zrozumieć jego przesłania, i tak musiałyby to zwrócić moją uwagę. A jeśli okazałyby się to konieczne, MacQueen zagrałby ze mną w otwarte karty. Mógłby powiedzieć: „Proszę mi wybaczyć, monsieur Poirot, ale to nie mógł być pan Ratchett. On nie znał francuskiego”.

O jakiej więc godzinie naprawdę popełniono morderstwo? I kto go zabił?

Uważam, ale to tylko moje prywatne zdanie, że Ratchetta zabito przed drugą, to jest najpóźniej jak to możliwe, według opinii doktora.

Umilkł, przesuwając wzrok po zgromadzonych. Nie mógłby się uskarżać na brak uwagi. Były utkwione w nim wszystkie oczy. W tej ciszy dałoby się słyszeć nawet upadającą szpilkę.

Poirot ciągnął dalej niespiesznie:

— Szczególnie uderzyła mnie niespotykana trudność w udowodnieniu czegokolwiek komukolwiek z tego wagonu, a także nieco zastanawiający zbieg okoliczności, że w każdym przypadku świadectwo zapewniające alibi pochodziło z ust osoby, którą określiłbym jako najbardziej „nieprawdopodobną”. Tak więc pan MacQueen i pułkownik Arbuthnot wzajemnie dali sobie alibi — dwie osoby, których według wszelkich domysłów absolutnie nic nie łączyło. To samo dotyczy angielskiego kamerdynera i Włocha, Szwedki i angielskiej młodej damy. Powiedziałem sobie: „To niesłychane, przecież wszyscy nie mogą być w to zamieszani”.

I wtedy, messieurs, olśniło mnie. Wszyscy byli w to zamieszani. Gdyż niemożliwe, aby wyłącznie przez czysty przypadek tym samym pociągiem podróżowało tyle osób związanych z rodziną Armstrongów. Nie mógł to więc być traf, a rzecz z góry ukartowana. Pamiętam uwagę pułkownika Arbuthnota o powoływaniu ławy przysięgłych i wydawanym przez nią wyroku. W skład takiej ławy wchodzi dwanaście osób — a my tu mieliśmy dwunastu pasażerów, Ratchettowi zaś zadano dwanaście ciosów nożem. I w ten sposób fakt, który cały czas nie dawał mi spokoju — dlaczego w tym martwym sezonie wagon Sтамбул–Calais jest tak przepełniony — został wyjaśniony.

W Ameryce Ratchett wymknął się sprawiedliwości. Jego wina była nie kwestionowana. Wyobraziłem więc sobie samozwańczą ławę przysięgłych, złożoną z dwunastu osób, która skazała go na śmierć i zmuszona okolicznościami sama wymierzyła mu wyrok. Przy takim założeniu cała zagadka natychmiast ułożyła się w idealnym porządku.

Zobaczyłem ją jako doskonałą mozaikę, w której każda osoba odegrała przypisaną sobie rolę. Zaaranżowaną w ten sposób, że jeśli na kogokolwiek padnie podejrzenie, zeznanie jednej lub więcej osób oczyści go i tym samym zagmatwa sprawę. Zeznanie Hardmana było niezbędne, w razie gdyby podejrzenie padło na kogoś niewtajemniczonego, kto nie mógłby się wykazać alibi. Pasażerom wagonu jadącego ze Sтамбулу to nie groziło. Ich zeznania zawczasu opracowano w najdrobniejszych szczegółach. Cała sprawa była niezwykle inteligentnie obmyślona łamigłówką, tak spreparowaną, że każdy nowy wychodzący na jaw fakt jeszcze bardziej utrudniał jej rozwiązanie. Jak zauważył mój przyjaciel, monsieur Bouc, cała zagadka wydawała się fantastycznie nieprawdopodobna! I dokładnie takie wrażenie miała wywrzeć.

Czy to wyjaśnienie wszystko tłumaczy? Owszem, tak. Charakter zadanych ran — każda jest dziełem innej osoby. Fałszywe listy z pogrozkami, sporządzone tylko po to, aby służyły za dowód. (Bez wątpienia istniały i listy prawdziwe, ale te zniszczył MacQueen, zastępując je sfigowanymi). Opowieść Hardmana, jak to go Ratchett wynajął, to jawne kłamstwo od początku do końca — opis mitycznego „niskiego, ciemnowłosego mężczyzny o kobiecym głosie”, wygodna charakterystyka, mająca tę zaletę, że nie rzuca podejrzeń na żadnego z prawdziwych konduktorów Wagon Lit, a pasuje zarówno do kobiety, jak i mężczyzny.

Na pierwszy rzut oka pomysł zadania ciosów nożem wydaje się nieco dziwny, ale po zastanowieniu staje się jasne, że nic innego nie pasowałoby tak idealnie do okoliczności. Broni w postaci sztyletu może użyć każdy — silny czy słaby — a przy tym nie czyni on hałasu. Wyobrażam sobie, choć mogę być w błędzie, że każda osoba, jedna po drugiej, wkraadała się do ciemnego przedziału Ratchetta przez przedział pani Hubbard i wymierzała cios! I żadna z nich nigdy nie dowie się, kto go naprawdę zabił!

Ostatni list, który Ratchett prawdopodobnie znalazł pod swoją poduszką, starannie spalono. Kiedy zabrakłoby śladów wskazujących na związki z rodziną Armstrongów, nie byłoby absolutnie żadnego powodu, by podejrzewać kóregokolwiek z pasażerów. Stwierdzono by, że to robota kogoś z zewnątrz, a „niski, ciemnowłosy człowiek o kobiecym głosie” widziany byłby przez jednego lub więcej pasażerów, jak wysiadał z pociągu w Brodzie.

Nie wiem dokładnie, co zaszło, gdy spiskowcy zorientowali się, że ta część planu spaliła na panewce za sprawą zasp, w jakie wpadł pociąg. Wyobrażam sobie, że dokonano pospiesznych konsultacji, a potem mimo wszystko zdecydowano się jednak brnąć do końca. Prawda, że w takim stanie rzeczy jeden lub wszyscy pasażerowie znajdują się w kręgu podejrzeń, ale i taką możliwość przewidziano z góry i podjęto środki zapobiegawcze. Dwa tak zwane „ślady” podrzucono w przedziale denata — jeden rzucający podejrzenie na pułkownika Arbuthnota, który miał najmocniejsze alibi i kórego związki z rodziną Armstrongów prawdopodobnie najtrudniej byłoby udowodnić, i drugi, chusteczkę, obciążającą księżnę Dragomiroff, która dzięki swojej pozycji społecznej, wyjątkowo kruchej konstrukcji fizycznej i dzięki alibi, jakie zapewnili jej pokojówka i konduktor, praktycznie nie miała sposobności do popełnienia morderstwa. Dalsze zagmatwanie sprawy: przez pociąg przemknęła „czerwona żmija”, mityczna kobieta w szkarłatnym kimonie. I tym razem mnie osobiście uczyniono świadkiem istnienia tej kobiety. Coś uderzyło z hukiem o moje drzwi. Wstałem, wyjrzałem na zewnątrz i zobaczyłem znikające w dali szkarłatne kimono. Rozsądnie wybrana ekipa ludzi, złożona z konduktora, Mary Debenham oraz MacQueena — również ją widziała. Ktoś, jak sądzę, obdarzony poczuciem humoru rozmyślnie włożył to kimono do mojej walizki w czasie, gdy prowadziłem przesłuchania w wagonie restauracyjnym. Jakie jest pochodzenie tego stroju, nie wiem. Przypuszczam, że to własność hrabiny Andrenyi, gdyż w jej bagażu znalazłem jedynie szyfonowy szlafroczek, tak wyszukany, że raczej powinien służyć za strój do picia herbaty niż za szlafrok. Kiedy tylko MacQueen się dowiedział, że fragment przezornie spalonego listu ocalał i że słowem, które zostało, było właśnie nazwisko Armstrong, bezzwłocznie musiał powiadomić o tym pozostałych. W tej to chwili skomplikowało się położenie hrabiny Andrenyi i jej mąż natychmiast podjął kroki, aby sfalszować paszport. Był to dla spiskowców kolejny pech!

Wszyscy razem i każde z osobna zobowiązali się bezwzględnie zaprzeczać jakimkolwiek związkom łączącym ich z rodziną Armstrongów. Wiedzieli, że nie mam możliwości natychmiastowego skorygowania zeznań i nie wierzyli, bym drążył tę sprawę, jeśli moje podejrzenia skierują się ku jednej szczególnej osobie.

Została nam do rozważenia ostatnia już kwestia. Założywszy, że moja teoria o dokonaniu w ten sposób zabójstwa jest prawidłowa, a nie mam najmniejszych wątpiwości, że tak właśnie jest, wtedy staje się oczywiste, że w spisek zamieszany być musiał także konduktor Wagon Lit. Lecz jeśli tak by było, to mielibyśmy trzynaście, a nie dwanaście osób. Zamiast więc zwykłej formułki:

„Z wielu osób ta jedna jest winna”, stanąłem przed dylematem: z owych trzynastu osób jedna, tylko i wyłącznie jedna jest niewinna. Ale kto?

I doszedłem do bardzo dziwnego wniosku. Zrozumiałem, że osobą, która nie brała udziału w morderstwie, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa brać powinna, jest hrabina Andrenyi. Trafiła mi do przekonania szczerść jej męża, który przysięgał na swój honor, że tamtej nocy jego żona w ogóle nie opuszczała przedziału. Uznałem więc, że jak to mówią, hrabia Andrenyi zajął miejsce żony.

A skoro tak, to do naszej dwunastki bezwzględnie musiał należeć Pierre Michel. Lecz czym można by wytłumaczyć jego współudział? Jest przecież godnym szacunku człowiekiem, od wielu lat zatrudnionym przez kompanię, nie należy do osób, które by można przekupstwem nakłonić do pomagania w morderstwie. Tak więc musiało go coś łączyć ze sprawą Armstrongów. Ale to wydawało się niemożliwe. Potem przypomniałem sobie, że zmarła opiekunka dziecka była Francuzką. Załóżmy więc, że ta nieszczęsna dziewczyna to córka Pierre’a Michela. To tłumaczyłoby wszystko — także, dlaczego ten pociąg wybrano na dokonanie zabójstwa. Czy mamy jeszcze jakieś osoby, których udział w dramacie nie jest jasny do końca? Pułkownika Arbuthnota widziałbym jako przyjaciela Armstronga. Pewnie byli razem na wojnie. Pokojówka Hildegarda Schmidt — mogę domyślić się, jakie miejsce zajmowała w tej rodzinie. Może jestem zbyt łakomczuchem, ale instynktownie potrafię wyczuć dobrą kucharkę. Zastawiłem więc na nią pułapkę, w którą dała się złapać. Powiedziałem, iż wiem, że jest wyśmienitą kucharką. Odpowiedziała: „Tak, rzeczywiście, wszystkie moje panie to powtarzały”. Ale jeśli pracuje się w charakterze pokojówki, chlebodawcy takiej osoby rzadko mają sposobność odkrycia jej talentów kulinarnych.

Teraz pan Hardman. Zdawało się, że na pewno nie należał do domostwa Armstrongów. Mogłem więc sobie tylko wyobrazić, że kochał francuską dziewczynę. Toteż pogawędziłem z nim o wdziękach cudzoziemskich kobiet i znowu uzyskałem oczekiwaną reakcję. Niespodziewanie w jego oczach pojawiły się łzy; udał, że to na skutek osłepiającego blasku śniegu.

Zostaje nam pani Hubbard. Cóż, mogę chyba powiedzieć, że pani Hubbard odegrała w tym dramacie najważniejszą rolę. Zajmując przedział sąsiadujący z przedziałem Ratchetta, w poważniejszym stopniu niż ktokolwiek była narażona na podejrzenia. Sprawy tak się ułożyły, iż nie mogła mieć niepodważalnego alibi. Aby zaś odegrać taką rolę — całkiem wiarygodnej, nieco groteskowej amerykańskiej matki–kwoki — trzeba być artystką. A w rodzinie Armstrongów była jedna artystka — matka pani Armstrong, Linda Arden, aktorka...

Urwał.

Wtedy miękkim, głębokim, barwnym, jakby sennym głosem, tak całkiem różnym od tego, jakim posługiwała się w czasie podróży, odezwała się pani Hubbard:

— Zawsze marzyłam o graniu w komedii.

I ciągnęła dalej miętko:

— Wpadka z torbą na przybory toaletowe była kompromitująca. To dowód na to, jak zawsze starannie trzeba przeprowadzać próby. Ćwiczyliśmy to jadąc w tamtą stronę, ale wtedy chyba zajmowałam przedział o parzystym numerze. Nie przyszło mi do głowy, że zasuwki mogą być na różnych wysokościach.

Wyprostowała się nieco i popatrzyła Poirotowi prosto w oczy.

— Domyślił się pan więc wszystkiego, monsieur Poirot. Jest pan niezwykle bystrym człowiekiem. Ale nawet pan nie potrafi sobie wyobrazić, jak to było tamtego straszliwego dnia w Nowym Jorku. Po prostu szalałam z rozpaczy, tak samo służba... Był z nami wtedy także pułkownik Arbuthnot. To najserdeczniejszy przyjaciel Johna Armstronga.

— Ocalił mi życie podczas wojny — wyjaśnił Arbuthnot.

— I wtedy od razu postanowiliśmy... może byliśmy obłąkani, sama nie wiem... że wyrok śmierci, któremu wymknął się Casseti, musi zostać wykonany. Było nas dwanaścioro... czy raczej jedenaście osób, gdyż ojciec Susanne oczywiście przebywał we Francji. Z początku zakładaliśmy,

że pociągniemy losy, kto ma tego dokonać, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się na ten sposób. Zaproponował go szofer Antonio. Szczegóły opracowali później Mary Debenham z Hectorem MacQueenem. On zawsze wielbił Sonię... moją córkę... i właśnie on wytłumaczył nam dokładnie, jak pieniądze Cassettego pomogły mu wymknąć się sprawiedliwości. Wiele czasu upłynęło, nim doprowadziliśmy nasz plan do perfekcji. Wpierw musieliśmy wytropić Ratchetta. Wreszcie się Hardmanowi udało. Potem próbowaliśmy sprawić, by zatrudnił Hectora i Mastermana, a przynajmniej jednego z nich. Powiodło się nam i to. Następnie skontaktowaliśmy się z ojcem Susanne. Pułkownik Arbuthnot bardzo nalegał, by było nas dwanaścioro. Tak według niego miało być bardziej w zgodzie z prawem. Nie był zwolennikiem użycia noża, ale zgodził się, że to rozwiąże większość kłopotów. Cóż, ojciec Susanne przystał na wszystko. Susanne była jedynaczką. Wiedzieliśmy od Hectora, że Ratchett prędzej czy później powróci do Europy Orient Expressem. A ponieważ Pierre Michel pracował właśnie na tej linii, okazja była zbyt dobra, by ją zmarnować. Poza tym, był to niezły sposób, by wyeliminować osoby postronne.

Oczywiście, o wszystkim musiał wiedzieć mąż mojej córki, który uparł się towarzyszyć jej w podróży. Hector zorganizował sprawy tak, by Ratchett na podróż wybrał właściwy dzień, kiedy Michel pełnił służbę. Zamierzaliśmy zająć wszystkie przedziały w wagonie Sтамбул–Calais, jednakże pech chciał, że jednego nie udało się nam dostać. Na długo przedtem zarezerwowano go dla dyrektora kompanii. Pan Harris, rzecz jasna, nigdy nie istniał. Ale trudno by było, żeby w przedziale Hectora jechał ktoś obcy. I wtedy, w ostatniej chwili, pojawił się pan...

Umilkła.

— Cóż — odezwała się ponownie. — Teraz już wie pan wszystko, monsieur Poirot. I co zamierza pan z tym począć? Jeżeli cała sprawa musi wyjść na jaw, to czy nie może pan całej winy przypisać mnie i tylko mnie? Z rozkoszą, własnoręcznie wymierzyłabym temu człowiekowi dwanaście ciosów nożem. Był odpowiedzialny za śmierć nie tylko mojej córki i jej dziecka, ale także tego drugiego maleństwa, które teraz mogłoby szczęśliwie żyć. Co więcej: przed Daisy ofiarą były inne dzieci, także w przyszłości mogły być następne. Społeczeństwo skazało go, myśmy tylko wykonali wyrok. Ale na ma potrzeby mieszać w to nas wszystkich. Te pocziwe, wierne dusze... i biednego Michela... i Mary, i pułkownika Arbuthnota... oni tak się kochają...

Jej piękny głos odbijał się dźwięcznym echem w zatłoczonym wagonie. Głęboki, pełen wzruszenia, porywający serca głos, który tylekroć doprowadzał do łez nowojorską publiczność. Poirot spojrzał na przyjaciela.

— Ty jesteś dyrektorem kompanii, Bouc — rzekł. — Co na to wszystko powiesz?

Monsieur Bouc odchrząknął.

— Moim zdaniem, Poirot, pierwsza teoria, jaką nam przedstawiłeś, jest bez wątpienia zgodna z prawdą. Proponuję więc, by takie rozwiązanie przedstawić policji jugosłowiańskiej, kiedy już do nas przybędzie. Zgadza się pan ze mną doktorze?

— Oczywiście — potaknął doktor Constantine. — Jeżeli zaś chodzi o kwestie medyczne, to chyba musiałem się w paru sprawach omylić.

— Wobec tego — powiedział Poirot — przedstawiwszy państwu moje rozwiązanie tajemnicy, mam zaszczyt zamknąć tę sprawę...